
SIGILLVM ACADEMIAE HARVARDIANAE IN NOV ANG
ET
VE
RI
TAS
CHRISTO ET ECCLESIAE

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH

Poetical works
of Stefan Garczyński
Leipsic 1863
(Polish)

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM PIERWSZY.

POEZYE

STEFANA

GARCZYŃSKIEGO.

LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1863.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM I.

POEZYE

STEFANA

GARCZYŃSKIEGO.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1863.

WACŁAWA DZIEJE.

POEMA.

The time is out of joint. — O cursed spite
That ever I was born to set it right!
SHAKSPEARE *(Hamlet)*.

ADAMOWI MICKIEWICZOWI

NA PAMIĄTKĘ KILKU MIESIĘCY Z ROKU 1831go RAZEM W DREZNIE PRZEPĘDZONYCH

POŚWIĘCA

PRZYJACIEL DOZGONNY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

WACŁAWA MŁODOŚĆ.

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca!
Adam Mickiewicz.

I.

WIELKI PIĄTEK.

Milczą dzwony pobożne wieżycy wysokiej,
Jak usta skąpe w słowa, gdy myśl śród pamiątek.
W strojny grób już złożono Zbawiciela zwłoki;
Lud bieży grób odwiedzić — święcić wielki piątek.

Smutno w kościele było — okna kirem czarnym
I ściany i obrazy zasłoniono kirem;
Ciche modły do koła — ten westchnieniem szczerem,
Łzą skruchy, albo datkiem kupuje ofiarnym
Przebaczenie za grzechy u świętego grobu;
Ten ufny że Bóg wznosi kiedy się unižem,
Ustami proch całując, rozpostarł się krzyżem:
Kiedy krzyż dźwigać w życiu nie widział sposobu.
U ołtarza w zakonne odziani kapice,
W dwóch rzędach, zasępionych mnichów stoją chóry,
Przed nimi świec dwanaście, i palą się świece,
Słychać hymny żałobne za zwykłe nieszpory.

Z hymnami nikną światła — w kościele mniej jasno —
Świece jedna za drugą, po kolei gasną.
Lud czeka — już zgaszono — już ciemno się stało —
Jedyna lampa błyszczy na grobowe ciało.
Zapukano — czas wyjścia — lud tłumnie wychodzi —
I księża się ruszyli — i w komżach dwaj młodzi

Przodem księgi wynoszą — a rzędem za niemi
Sandały mnichów słychać jak biją po ziemi.

Wyszli wszyscy — w kościele samotnie i głucho.
Czasem tylko u góry świergocące ptaki
Uderzą skrzydłem w okna, szukając wylotu;
Cicho i ciemno — przecież bardzo czułe ucho
Mogłoby więcej przejąć — ktoś westchnął — kto taki?
Nie wiedzieć — może grzesznik z żalu i kłopotu
Został jeden, by dłużej opłakiwać mękę;
Może — ktoś idzie — to ksiądz — on jego dostrzeże —
Ale cóż mu westchnienie — uklęknął przy grobie,
Głowę schylił, pod ramię kładzie prawą rękę.
Wydobył książkę — rozwarł — przemówił pacierze —
Znów się chylił, nabożnie składa ręce obie,
I odrętwiałym głosem tak śpiewa przy grobie:

A gdy na krzyż przybili — sługi wszystkie w tej chwili
Suknie pana porwali z pośpiechem,
I dział każdy chce stroju — czy przez zgodę, czy w boju
Bo to u nich zabijać nie grzechem.
Ale płaszcz tam był pana, jakby chusta utkana,
Bo nietknięty ni igłą, ni nożem;
Więc mówili do siebie: by go nie psuć w potrzebie
Losy w koło na niego rozłożym.
I co rzekli to było — bo tak pismo mówiło:
Suknie łotrów rozszarpią mi zgraje,
Ale na płaszcz los padnie, jeden tylko płaszcz skradnie.
A tak dzisiaj to wszystko się staje.

Śmiech jakiś niespodziany — gwałtowny i dziki
Przerwał śpiewy pobożne — ksiądz schwycił krzyżyki
U różańca wiszące przy habita sznurze,
Schwycił, i głowę swoją zasłonił w kapturze.
Aż w końcu śmielszy w myśli, jak dowódca, który
Nim bój zacznie, szkłem zmierzy szyki nieprzyjaciół,
Spojrzał — i w znaku krzyża dłoń wznosząc do góry,
Już mówić jakieś słowa tajemnicze zaczął,

Gdy widzi, — gdy poznaje człowieka, w kształt głazu
Stojącego opodal jak marmur smętarzy;
Czarny płaszcz wisiał na nim — blady był na twarzy,
Zdawał się być bez ruchu — czucia — i wyrazu.
«Kto jesteś — mnich zawołał — czy cię złe obsiadło,
«Człowieku! że chcesz wichrzyć spokojność klasztoru?
«Milczysz — jeźliś nie żywy — jeżeliś widziadło
«Jest przedemną i w ciele tajny duch potworu,
«Mam sposób — bicz na ciebie — czy znasz godło krzyża?»
«Znam — krzyknął nieznajomy — wielka to obrona!»
Rozśmiał się, i tym śmiechem, jak głaz Pigmaliona
Całowaniem ożywion — do księdza się zbliża —
Czarny płaszcz swój zarzucił z ramienia na ramię,
Z pod brwi, choć jasne oko, wypadł wzrok ponury,
I rumieniec gwałtowny, chorych myśli znamię,
Błysnął w twarzy, jak wstęga piorunu w mgle chmury.

KSIĄDZ, poznawając nieznajomego.

To ty młodzieńcze tutaj?

MŁODZIENIEC.

Krzycz — żegnaj — przeklinaj!
Duch stoi — jako waszych kościołów wieżyce,
Choć deszcz leje — grzmią nieba — palą błyskawice,
One stoją — nuż śmiało egzorcyzm zaczynaj.
Tylko pomnij że płaszcz mnie słów więcej nie mami,
Że choćbyś drgał językiem, jak wicher potokiem,
Jam zawczasu ten potok zbadał myśli okiem,
I płaszcz twój czarodziejski zdarł myśli zębami.
Że żartuję —

KSIĄDZ.

Młodzieńcze! nie bluźń nadaremnie.
Takież to odebrałeś nauki odemnie,
Na tożem cię wychował, ażebyś w kościele,
W dzień dzisiejszy, przy grobie Zbawiciela świata,
Bluźnił wiarę najświętszą?

MŁODZIENIEC.

Poznaj się w twem dziele!
(Z ironią.) Tyś mój mistrz!

KSIĄDZ.

Słuchaj tedy — burzliwe są lata
Młodości — wiele ludzi na zawsze w nich ginie.
Jam to wiedział — jam ciebie chcąc zbawić jedynie,
Chcąc ratować —

MŁODZIENIEC, przerywając z zapałem.

Na zawsze zgubił bez ochyby.
Tlało we mnie przeczucie wolności szlachetnej,
I mocne miałem ramię i do czynów dzielność;
Tyś mi odgadł mą duszę — miałem w myślach szyby
Do przejrzenia — tyś przejrzał i jak dąb stuletni
Upadkiem strzaska drzewka — Bogaś nieśmiertelność
Spuścił na mnie, na duszę, myśl strzaskał ogromem:
Wzgardziłem tem co dawniej w oczach stało bóstwem,
Ojczyzną i miłością, przyjaźnią i domem,
Otoczyłem się waszą pokorą, ubóstwem;
Jam wiarą waszą świętą jak tarczą się składał —
I cóż stąd? jam nareszcie wiarę i was zbadał.
Chcecie, pokory suknie zawdziawszy na pychę,
Zamieniając pałace na ustronia ciche,
W duszy gmachach zarządzać — i chatą i tronem;
Mieszkańców ich jak ptaków łapiąc w szpon sokoli,
Sami zimni — bez serca — męczyć, gryźć dowoli?
Chcecie, martwi — spokojni jak klasztoru ściany,
Na czas nieczuli, jako na pył śmierci wianek,
Patrzyć zimnawo na łzy, gdy kto łzami zlany,
Albo gdy ginie człowiek — wolny lud — kochanek? —
Wam wolność, miłość niczem — płakać nie myślicie.
Jleż razy wam w duszy złorzeczyłem skrycie!
Wyrwałem się nakoniec! — lecz czarowne słowo
Wiary waszej i klątwy i modlitw i sztuki,
Wisiało, jak na włosie miecz, nad moją głową.
Drżałem żeby nie upadł! — dziś czas — dziś nauki —
O! dzisiaj już inaczej — rozumiem was mnichy —
Dzisiaj — żarty to żarty — wszystkich was zbadałem
W głos pytam: gdzie jest słowo co się stało ciałem?
W głos krzyczę: wiara wasza jest to dziecko pychy.

KSIĄDZ.

Panie, odpuść mu, bo on sam nie wie co robi.

MŁODZIENIEC.

Tyś rzekł, tylko za mało! Panie: serce dobij,
Którem tak ciężko zranił: oto treść modlitwy.
Wy mnichy, wy myślicie, że choroby, bitwy
Tylko człowieka gubią!

KSIĄDZ.

Na krzyżu rozpięty,
Natchnij go mocą swoją, i przywróć mu zmysły!

MŁODZIENIEC, patrząc na grób.

Jezus Chrystus — znak krzyża — znak ofiar — znak święty!

(Z uniesieniem.)

Czemuż krwi twojej krople na ludzi nie prysły,
I mózgów im nie spalą wieczystem zażewiem?
Ot twój sługa — tyś cierpiał, jak żaden z śmiertelnych,
A ten śmierć twoją święci w kantyczkach kościelnych,
I żyje, i szczęśliwy — spokojny — jak nie wiem
Żadnego szczęśliwszego!

KSIĄDZ.

Grzesznicy my, prawda,
I bardzo grzeszni ludzie — lecz za to pokora —

MŁODZIENIEC.

Jutrem odkupujecie grzechy wasze z wczora.

(Udając głos księdza.)

A dziś do was należy: grzesznicy my prawda!

KSIĄDZ.

Nie bluźń, nie bluźń młodzieńcze — któż ogród potępi,
Dla tego że w nim drzewo spruchniałe lub chore?

MŁODZIENIEC.

Kto dom przeklnie, ja pytam, gdy dom z wszystkiem zgore,
Albo sępów, gdy z głodu: siebie pożrą sępi?
Ot słuchaj — dom ten dusza — tyś podłożył ognie;
Ot słuchaj — sępem człowiek — kiedy w duszy świta!

A obca przemoc — wiara — myśli, jak jelita
Wydzierając mu z głowy, głowę w proch mu dognie.
Cóż za dziw, jeźli biedny człowiek przy upadku,
Widząc i sił zniszczenie, i niemoc swych chęci —
Jeźli cierpiąc, tysiące w koło męczeństw wkręci,
Albo wzniosłszy kark nad was, plunie na ostatku.

KSIĄDZ.

Szalony, milcz na Boga!

MŁODZIENIEC.

Milczyć? toć milczałem:
Długo i bardzo długo — dziś mówić przychodzi.
Dziś krzyczeć będę, słyszysz, krzyczeć gardłem całem!
Chciałbym po słów mych fali, na myśli mych łodzi,
Z duszą moją żeglować i wpędzać się w dusze.
Niechajby moja mowa, jako bystra rzeka,
Wszystkie strumienie myśli korytem swem zlała!
I zleje — bo ja myśleć — bo ja mówić muszę.
Słuchaj, z duszą mą wpadnę w głąb serca człowieka,
I jak szkło młota gromem, wiara pryśnie cała.
Mówić mu chcę wolności świętemi słowami,
Mówić mu chcę niemowląt — nieszczęśliwych łzami,
Krzyczyć nad nim, jak matka nad śmiercią dziecięcia,
Gdy je z pod piersi matce, wyrwie ptak straszliwy;
Zaklnę go na najświętsze uczucia zaklęcia,
Na śmierć ojca, na przodków szereg nieszczęśliwy.
Niech wszystkiemu zawierzy — wam jednym nie wierzy!
Bo wy słudzy nikczemni, zamiast Boga słudzy,
Wy, kiedy ludzie giną, męczeni są drudzy —
Wy, jakby to nie ludzkie trafiało przygody,
Choćbyście jednem słowem krwi wstrzymali strugi,
Patrzycie zimnem okiem jak giną narody,
Ledwie trupom oddając ostatnie przysługi.
Toż więc jest wiara wasza? na to macie władzę,
Aby cnót się wyrzekłszy, dawać przykład zbrodni?
Nikczemni ludzie! boskich przydomków nie godni!
Od mleka matki waszej ziemi was odsadzę,
Kiedy litości ziemskiej, cnót w sercu nie macie.
Wyprą się was rodzice, jak wy się wyparli,

I siostry, przyjaciele, i brat was po bracie
Kląć będzie, i tam z grobu powstaną umarli,
I kląć będą, i wołać o zemstę wszechwładną —
I głowy wasze w końcu pod żelazem padną,
A wiara — —

KSIĄDZ.

Stój! — nic więcej!! —

Zegar bił w tej chwili
I na hymny wieczorne księża nadchodzili.
Twarz swoją nieznajomy płaszczem więc osłonił,
Coś jeszcze prędko wyrzekł, zwrócił się z pośpiechem,
Idzie — krok nagli — śpieszy — nim zegar wydzwonił,
Trzask drzwi mocnem się odbił o sklepienie echem.

II.

POWRÓT Z KOŚCIOŁA.

Zachód się blaskiem purpurowym pali,
Jako żar węgli, chmury błyszczą w dali,
Już słońca nie ma — po dziennych mozołach,
Wieśniak znużony powraca do domu;
Jest co zastawić, jest usłużyć komu,
W chatce ma żonę, dostatek w stodołach.
Szczęśliwi ludzie zagrody ubogiej!
Macie skarb wielki, nie żądając więcej.
Cóż, że na palcu błyszczy kamień drogi,
Że skrzynie ciężkie krociami tysięcy,
Kiedy myśl, dusza w ustawicznej wojnie?
Wam dni i nocy mijają spokojnie:
Nie chciwi sławy, nauk nie żądliwi,
Zdala od świata żyjecie szczęśliwi!

Lecz co za tentent — patrz — krzyknęły dzieci,
Że jakiś czarny jeździec przez wieś leci.
To on — pan młody — wybiegają z chaty
Widzieć go; bo on rzadko jest widziany.
Na czarnym koniu, sam czarno ubrany
W czwał leciał, dziko rozpuściwszy szaty —
Płaszcz jego czarny, jako skrzydło ptaka
Wiatr pod się chwytał — a piana rumaka,
Pęd jego nagły, nozdrza rozognione,
I jeźdca oczy na dół pochylone,
Że wracał gniewny i śpiesznie, świadczyły.
Przeleciał wioskę — drogą tylko pyły
W kłęby się wznosząc z piasku ciemnej chmury,
Długo wisiały jak orle pazury,
Nim ptak drapieżny ciała swego brzemię,
Znużony wiatrem, opuści na ziemię.

Tak uczą gminnych poetów ballady,
Że w dzień zaduszny o północnej porze
Duch świeżo zmarłych z wysoka zejść może,
I dzielić z ludem zastawne biesiady.
W chmurnym on, mówią, z nieba ciągnie dymie,
Z gęby żar ognia płomieniem wybłyska,
A czyje najprzód wywoła on imię,
I czyje najprzód wywoła nazwiska,
Tym lub przekleństwo, albo śmierć jest bliska.

III.

SNY PROROCZE.

Śpią wszyscy — w całej wiosce milczenie grobowe —
Jeden jest tylko człowiek, który spać nie może.
Oczy jego biegają, niby czujne stróże,
Dzikich marzeń, które mu zawichrzyły głowę.

Myśli jego, na wieki potępione więźnie!
Gdy wioska cała w miękkim spoczynku zagręźnie,
I sen, jak chmury niebo, zasuwa powieki:
Podróżny go spotyka u spienionej rzeki,
Leżącego na brzegu; albo też u wzgórza,
Gdzie rozpadlin bez liku, bystrej wody ścieki,
On się w bystrzejszych myślach — dumaniach zanurza.

Wacław jest imię jego — lecz ojców nazwisko,
I herbów rzędy zwykłe milczeniem pominę.
Z przodków wsławionych może od trzech wieków blisko,
Nie jeden za brzeg Elby, za Dniepr i za Dźwinę,
Dosięgając orężem, obcym był znajomy;
Nie jeden w radzie siedział i sławnym był w radach.
Wiele mówić o jego dziadach i pradziadach;
Jednem słowem: Wacława wielkie rodzą domy.

Czyny z ducha wynikną — ale i krwi związki
Pokoleniem tajemnie zarzekają ducha.
I jako kiedy dębu spadnie gałąź sucha,
Z niej pewno nie wyrosną zielone gałązki;
Jak z nocy, choćby trwała czasy nieskończone,
Światło nie błyśnie, ani gwiazda się zapali;
Jak z struny, choćbyś długo w jedną brząkał strunę,
Głos nie wyjdzie dźwięczący harmonijnej skali;
Tak człowieka duch, myśli, czyny, przewinienia,
Są dźwiękiem różnych śpiewów, pieśni tajemniczej,
Którą długo tworzyły całe pokolenia,
Którą echem tajemnem, późny wnuk dziedziczy.

O syna dziwnych losach, sny porocze wcześnie
Ostrzegały Wacława matkę przed połogiem.
Widziała chmury, niby czarne byki we śnie,
Co rycząc jako gromy, błysk ciskając rogiem,
Uderzały na siebie — i jak morze w burzy,
To raz piętrząc swe wody, okręt w niebo miecie,
To znowu przyczajone, na spłaszczonym grzbiecie
Okręt aż do mielizny, w piasku dna zanurzy,

Tak one rogi swoje raz wspięły wysoko,
Aby ich żadne ludzkie nie mogło dojść oko;
To znowu karki niżąc, ostrym zębem roga
Z dołu sieką, prą, gonią ryczącego wroga;
I nie tak błysk za błyskiem leci w pędzie dzikim,
Jak rogiem najeżonym ścigał byk za bykiem.
Tak jej się we śnie zdało; w tem z góry czy z dołu
Niewiedzieć jakiś nowy olbrzym w szranki bieży;
On jeden pragnie walczyć; zbyć wszystkich pospołu;
Był to człowiek jej znany, z twarzy i odzieży;
Młody, miły, powabny; wielki miecz miał w dłoni,
Jasną zbroję na piersiach, przyłbicę na skroni.
Zaczęła płakać matka, wyciągnęła dłonie
Ku niemu, lecz na próżno — on nie widział matki —
Wyciągnęła ku niebu. — Bóg przyszłe wypadki
Skrył w zasłonie.

Drugi raz sen był inny — śniła się jej łąka,
Którą zdobiły kwiaty i ptaki i trzody,
Wszystko piękne, piękniejszy jednak pasterz młody,
Siedzi obok kochanki, i na lutni brząka.
Chłodem tchnęło powietrze, słońce błyszczy mile,
Ptaki śpiewem, pasterza powtarzały tony;
Aż nagle wicher zawył — przeciągły motyle
Z wschodu w zachód, i było ich jak myśli tyle,
Różne, kraśne i w wstęgach jak pawie ogony.
Spojrzała na dół matka — gdzieś znikła kochanka,
Pasterz tylko sam jeden błądził po tem polu,
I plótł wieniec, lecz zamiast kwiaty brać do wianka,
Brał pokrzywy — chwast — oset — i liście kąkolu.
Gdy skończył, wieniec włożył sobie sam na czoło,
W ręku strzelbę ognistą piastował za lutnie,
I spoglądał ku niebu dziko i okrutnie,
I na głos śmiać się zaczął — ale nie wesoło,
Rozpaczy jednej tylko takie jest roześmianie.
Długo czekał — noc przyszła — znów błysło zaranie,
A z niem z chmur jakiś orzeł wyleciał straszliwy,
Szpony nad nim zawiesił, okiem mu był w oko,

Pióra jego groźniejsze były od lwa grzywy,
I olbrzymem się zdawał, choć wisiał wysoko.

Widziała matka walkę — zwarli się zarazem
Jeden groził szponami a drugi żelazem,
Młodzieniec pierwszy strzelił i krew z orła boku
Prysnęła nawałnicą jako deszcz z obłoku;
I orzeł na dół zleciał, ale swoje pióra
Jak wachlarz roztoczywszy przed obliczem słońca,
Skrył ziemię czarnym puchem, od końca do końca,
A w głowę dumną wroga wcisnął ostrz pazura.

Takie były sny matki, Wacława proroki.
W sny nie wierzym; lecz często i znaczą nie mało:
Gdy oczy noc zasunie, martwe leży ciało,
A duch zbywszy zmysłowej, ćmiącej go powłoki,
Na granice przyszłości lekkiem skrzydłem wzleci,
Okiem twórcy, na wszystkie spojrzy swoje dzieci,
I w zmysłów chmurę znowu obleczony wcześnie,
Tem okiem i w tej chmury tęczę rzuca we śnie.

Dzień Boga narodzenia był i dniem Wacława.
Później gdy wyrósł chłopiec, czy jego chęć dzika,
Czy myśli religijne, matki snów obawa,
Dały powód — to mniejsza — habit zakonnika
Włożono Wacławowi, zamknięto w klasztorze.
Śród murów rosło dziecię i piękne i choże,
Jako owa roślina co w cieniu dojrzewa,
Gdy inne w słońcu tylko kwitnąć mogą drzewa;
Opuścił klasztor z czasem, nie wiem w jaki sposób,
Chociaż znajomych jemu wiele znałem osób.
On często — później jeszcze — zwyczajnym nałogiem,
Samotny lubił jeździć do klasztoru swego;
Dla czego? nie powiadał nikomu dla czego.
Może lubił samotnie mówić z panem Bogiem,
Może Bóg go natchnieniem czasami obdarza;
Może głośniej przemawia grobowiec smętarza,
Kościół pusty, szmer liści, lub strumienia mruki,

Do serca czującego, duszy skołatanej,
Nad świat pełny — trzask ludzi — książki i nauki.
Bez tchu — blady — w noc późną — i łzami zalany,
Wracał z klasztoru zwykle — wtenczas pióro chwyta,
W oczach jego myśl jakaś dnieć zaczyna skryta —
Były to chwile wieszcza, zachwycenia chwile.

Mnie dziennik podpadł jego — na czele dziennika
Czytam wiersz — myśli dumne — pieśń, melodja dzika
Ale silna, zaświadcza o wewnętrznej sile.

ODA

NA CZELE DZIENNIKA WACŁAWA UMIESZCZONA.

Geniuszu! ty jeden nie opuść mnie w życiu!
Skrzydłem twem boskiem obwiewaj mą duszę,
A śpiewać będę, i śpiewem poruszę,
Siły tajemne, choć w piekła ukryciu!

Kiedy chmury jak duchy powietrznego gmachu,
W olbrzymich kształtach, odzieniem ciemnoty
Niebo zakryją — zadrży świat w przestrachu,
Niechaj mnie wzniosą skrzydeł twych poloty
Tam w chmury czarne —
Pieśń i tam zadźwięczy;
A okiem tęczy,
Chmury w krąg ogarnę!

Geniuszu! gdy burza ześle wiatry mściwe
I niebo morzem ognia się zapali,
Chcę jak rumaka schwycić fali grzywę,
I twojem skrzydłem popędzić na fali!

Niechaj nadpowietrzne żagle
Serce moje, duszę wzmogą;
Wiatry zdepcę moją nogą,
I do jarzma wiatry znaglę!

Geniuszu! gdy ludzie uśpieni bezwładnie
Od burzy legną, co zmysły ich głuszy,
Śpiew ty mój natchnij! a z duszy
Jak słońce w oko, śpiew mój błyszcząc, wpadnie.
Wszystkie siły wstrząśnie na dnie,
Wstrząśnie cały świat uśpiony,
Jako lutni mojej strony
Kiedy niemi ręka władnie!

Geniuszu! ty i piersi natchniesz zemsty pieśnią,
I śpiew mój będzie czuły, jak płacz matki,
Mściwy, jak w piekle zemsty sobie nie śnią,
I ludzie — niebo — staną mu na świadki:
Jako sercu, myśl wysoka,
Jako myśli, czynów dzielność,
Jako czas — pieśniom proroka,
Jako prawdzie — nieśmiertelność!

A gdy przyjdzie godzina, wieszcz słaby zaginie,
Geniuszu! ty i śmierci bądź moim aniołem,
Niech życie kończę, jak życie zacząłem,
Życie i śpiew mój, ach w jednej godzinie!
Niech ostatnie głosy moje,
Jak dźwięk lutni w echa brzmieniu,
We śnie miłym tam dostroję,
Tam dosłyszę — w przypomnieniu?

IV.

NAUKI.

Przyjemną była wioska rodzinna Wacława.
Dworzec ojca mieszkalny, wspaniała wystawa;
Budową staroświecką przedrzeźniając wieki,
Stał na górze o podal wielkiej, spławnej rzeki.
Dwa skrzydła i dwie wieże wyrastały z dworca,
Z obydwóch wiewał przez dzień biały znak proporca,
Godło bytności pańskiej — a gdy po zachodzie
Wiatr, chmury rozpędzając, zatlił blask wieczorny,
Z obydwóch widzieć było na obłoków spodzie
Meteorem błyszczący — krzyż wieży klasztornej.
Klasztor to był fundacyi Wacława pradziada.
Grono ojców wielebnych świętego Bernarda,
Liczne cele wypełnia i zakon ten składa:
Znane jest ich ubóstwo i świata pogarda.
Tamto w dziecinnych latach Wacława zamknięto;
Tam — choć kościół daleki — pobożna gromada,
Ze wsi śpieszy obchodzić każde wielkie święto.

Trzeci dzień wielkanocy przemijał z wieczorem,
W tysiącznym osiemsetnym dziewiętnastym roku.
Chłopi drogą wracali w posuwistym kroku
Z nieszporów dnia świętego — a w rzece — za dworem,
Prócz trzciny wiatrem kwietnia lekko kołysanej,
Albo jaskółki rychłej co wodę przelata;
Cicho. — Inaczej w dworcu — krzyk wypadł z za ściany,
Przytłumiony lecz mocny — to jego komnata,
Jego głos — przecież nikt mu na pomoc nie bieży.
On pracuje — bo dawno światło w oknie mruga,
Słychać ilekroć nogą w posadzkę uderzy,
Widzieć przez okno — zdala — jakaś postać długa,
To cień Wacława — widny w szybach źwierciadlanych
Jak w przezroczystem niebie słup tumanów rannych

Znów głos — woła służących — wierny wchodzi sługa:
«Ciemno! nie dosyć światła — czyż na ogniu zbywa?
«Zapalić drugą świecę, trzecią świecę, czwartą!»
Uciął — ale wzrok podniósł — ową broń wypartą
Z duszy — która jak gwiazda błyska nieszczęśliwa.
Zadrżał przelękły sługa; bo choć pan łaskawy,
Takiego coś ma w mowie, takiego coś w oku,
Że gdy spojrzy, nikt nie śmie dotrzymać mu kroku,
Że gdy mówi, drży sługa jako liść z obawy.

Już w trzech lichtarzach światła zabłysły na stole:
Jemu ciemno — «Niech ogień zagrzmi całą siłą
Tam» na komin pokazał — i w gardle komina.
Świeci — dym się ulatnia w czarnych kłębów kole,
Ogień buchnął, skier tysiąc powietrze rozcina:
I w pokoju się wszystko razem wyiskrzyło.

Z rozwartych ksïąg na stole, czarnych liter półki
Wyjrzały, jak z pod śniegu pnie zgorzałych borów,
A z szaf liczne narzędzia, machiny, ampułki,
Służące do fizycznych, chemicznych rozbiorów,
Raz pierwszy z pleśni kurzu krwawą świecę łuną.
Dwa tylko twory inne — czaszka martwa trupa,
Blada, między księgami, jakby kawał słupa,
Który z marmuru cięty wznosi się nad truną,
I twarz blada Wacława — ona jak śnieg góry,
Światłem się nie maluje, dymem się nie plami:
I kiedy myśli czasem w kształt przechodniej chmury
Zawichrzone ze sobą w wewnętrznej niezgodzie,
Po twarzy się przesuną jako wiatr po lodzie,
Nikną na niej. — Dziś jednak — widać w jego chodzie,
(Bo gwałtownemi mierzy komnatę krokami,
I pot z czoła mu spada gwałtownemi łzami);
Że ta bladość jest czucia gwałtownego świadek.
Włos spadał mu na czoło w dzikim nieporządku,
A wzrok jego? — tak czasem okiem dziko strzeli,
Że gdybyś chciał aniołów malować upadek!
Owych przed światem jeszcze nieba wichrzycieli,
W jego oku szatańskich myśli badaj wątku.

«Ciemno jeszcze — daleko ciemniej niż z początku,
«Okna wszystkie otworzyć!» — i okna otwarte —
I chustkę z szyi zrywa — duszno — suknie zrywą,
nów stanął — nagle księgę przed sobą rozłoży,
Ciekawie okiem śledzi rozpostartą kartę,
I jakby wyrok jego na niej odpoczywa;
«Eritis sicut Deus» przeczytał znów czyta —
Milczy — ale myśl jego jak magnes żelazem
Rozdrażniona słowami — jak strumień alpowy
Pędzi, gdy go raz wypchnie z góry moc ukryta;
Jak koń spięty ostrogą mknie na wiatr kopyta;
Tak myśl jego wzbudzona tym jednym wyrazem,
Na skrzydłach oka rwie się z zadumanej głowy,
Pewna swojego lotu, jak orlica z gniazda.
Zaiskrzyły się oczy — widzi ogrom świata,
Przeszłość — przyszlość! — z trzech liter wybija się gwiazda
Pędzi za nią — wzrok podniósł — do góry ulata —
Zadrżała — on ją okiem dogonił na niebie —
W niebie — w ziemi — on jeden — on Bóg — on zna siebie
Wstaje — myśli że głową obłoków dostanie,
Że wielki!! — Kiedy nagle z rąk mu pada księga,
W duszy coraz to mniejsza przestrzeń widokręga,
Przed okiem znowu tylko pokój — księgi — banie!
Wszystko tak, jak przed chwilą; sługa przy drzwiach czeka;
Na stole świece — ogień skry do koła ciska —
A dusza! — dusza która Boga była bliska,
Jako pielgrzym do domu, wraca w kraj człowieka!!
«Precz mi z oczu,» drzwi wskazał — sługa na znak idzie.
On nie zniesie ażeby człek go jaki w wstydzie,
I to przed sobą samym, przydybał z nienacka.
Gdy wyszedł, znów krokami zadrżała posadzka,
Wacław samotny chodzi — «niechaj gmin zwyczajny
«Serce swoje jak papier na jaw pokazuje!»
Wacław inny — im większą boleść w sercu czuje,
Tym bardziej w słowach skąpy, w myślach swoich tajny:
Przejrzeć go jednak można! spojrzyj mu w oblicze,
W oczy, na usta jego — i choć świadkiem gardzi
Myśli swoich — wyśledzisz myśli tajemnicze;

Wyśledzisz, że od ludzi, cierpi, czuje, bardziej.
Oczy ma jasne — przecież jakaś mgła, powłoka,
Jakoby w żalu ciągłym wieczna łza stopiona,
Spojrzenie mu łagodzi, żar mu studzi oka.
Na usta śmiech nie zbłądzi — ale nieraz z łona
Dawniej może z potrzeby, dziś zwyczajem częstym,
Westchnienie się wyrywa i na ustach kona.
Czoło jego ściemnione spadkiem włosa gęstym,
Krok wolny — twarz bladawa — i zwyczajne szaty
Czarne i zaniedblane dodają żałoby.
A kto słyszał głos jego, gdy mówi — i ktoby
Ludzkie serce rozumiał, ten zrozumie postać.
Lecz myśli jego tajnię, daremnie kto bada;
Jak z przepaści nic z niego nie można wydostać;
Gdy kto mówi do niego, krótko odpowiada,
Sam nigdy nie zaczepi — dla czego? — nikt nie wie.
Czasem słów kilka znanych z pism lub ojców świętych,
Z dumą rozumnym ludziom prędko rzeknie w gniewie,
I zamilknie — czasami nie skończy zaczętych,
Jakoby słów żałował — może bydź że z dumy,
Albo że głupstwem mieni zwyczajne rozumy.
Był czas i on pracował — nie raz zorze ranne
Bezsennego zdybały przy książek czytaniu,
A gdy późno w noc usnął, wstawał o świtaniu.
Znękały go zapewne prace niustanne,
Bo później długo w rękę żadnej książki nie brał.
Dziś znów szał przyszedł dawny — nad stołem od rana
Zasiadł i tysiąc książek prędką dłonią przebrał,
Czytał i składał znowu — do skąpca podobny,
Któremu choć na rozkaz skrzynia złotem tkana,
On się z tem złotem zamknie, jak pająk osobny,
I liczy i przelicza, lecz chleb suchy gryzie.
Jedna przecież w Wacławie wielka jest odmiana:
Dawniej — myśli powagą ksiąg trzymane w ryzie,
Nie wznosiły rokoszu chociaż jarzmo czuły;
Dziś inaczej — sam siebie w odmiar nauk kładzie,
I jak śmiało rozdarłszy ornaty i stuły.
W serce, w czyny religii posłanników wgląda,

Tak dziś nauk zdarł formę, i w myśli osadzie,
Nie sentencyi, nie zabaw — prawdę znaleźć żąda.
Żąda, lecz nie dostrzeże, chyba cień za ciało,
Kreski planów za gmachu węgielne kamienie;
Osobno mur do niego — dach — ściany sklepienie,
A gmach? — na powiązanie gmachu rąk nie stało.

Czuł to Wacław — czuł więcej — bo dumne nauki,
Jako w białość papieru nasadzone druki,
Splamiły mu niewinność — serce mu wykradły:
Tak mówią, że na ludzką krew upiór zajadły,
Gdy ofiarę wybierze z której soki pije,
Gfiara umrzeć musi — lecz zmarła, ożyje,
I mordercy swojego postępując torem,
Znów niewinnych krew chłepcąc, staje się upiorem.
Tym jest rozum nabyty, alboliteż raczej
Tym przez rozum z krwi dusza wyssana, człowieka;
Jaka śmierci opieka, taka jej okieka;
Komu serce drga w piersiach temu nie przebaczy:
Czujesz świata cudowność, i myśl w świecie bożą?
Nauki ci świat, boga, na części rozłożą;
I poznasz błąd twój dawny — kiedy niebo gromy
Ręką rzuca olbrzymią, błysk świeci po błysku,
To chmury trą się z sobą — a co chmury, niebo,
Fizycy wytłómaczą, wiedzą astronomy.
Kochasz się — patrz czy miłość przyniesie co w zysku,
Gdy nie — miłość jest głupstwem bo pieniądz potrzebą.
Masz przyjaciół, ojczyznę? jeżli kraj cię wzywa,
Rozpatrz się jakie cele, korzyści i skutki;
Czy co zaczną dokończą, czy pora szczęśliwa,
Czy po nagłej roskoszy nie nadejdą smutki;
Inaczej — niechaj inni krew swą marnie leją,
Tobie lepszej przyszłości cieszyć się nadzieją!

Wacław przecież za dumny, aby nakształt węża
Zatruwał jadem złego niewinności serce:
Toć on sam w pomoc książki nie wziął lekkomyślnie!
Kiedy blask wiary dawnej zciemnili mu księża,

Myslił tedy, że z nauk iskrę po iskierce
Zsypując, znowu światłem jasnem duch zabłyśnie.
Oszukał się okropnie! — rozumowań słowa
Słyszał ciągle — w nich jakaś treść — ziarno — osnowa,
A duszy ani śladu — Czasem, niecierpliwie
Rzucając książkę z ręki, wołał na głos cały:
«Gdzież jest bóstwo, które ja w piersiach moich żywię?
«Przyjaźni zapał — miłość — wolności zapały,
«I myśl co człeka tworzy i różni od zwierza?
«Gdzie jest Bóg, stwórca świata?» — Książki nie wiedziały!
One jak taktyk stary, gdy wojnę zaczyna,
Zwycięztwo liczbą kreśli — ustawi żołnierza,
Ale mu wiara wyższa nie staje jedyna.
Wiedzą ile jest zwierząt, zkąd która roślina,
Tylko czem zwierzę, kwiatek; czem człowiek — nie doszli,
Byli i tacy prawda, co innych przerośli
Myślą o rzeczach wyższych, lecz w ich nauk szkole,
Kto wytrzyma? — gdy w słowa myśl — jak w nurt potoku
Ziarno zboża rzucone, tonie — a na dole,
Na dnie choćby i rosło — nie dojrzeć je oku!

«Rozbrat więc z niemi wieczny,» — pomyślił — wykona.
Wacław czucia i myśli na frymarkę nie ma:
Raz jeszcze w świat ów martwy zatoczył oczyma,
Dzisiaj — i nic nie znalazł — dusza przesilona,
Kurzem już żyć nie może, głupcom ku podziwie.

Z pogardą więc pchnął stolik ręką niecierpliwie,
Słowa na wpół ucięte, niewyraźne zrazu
Chwilowo usta miecą, aż w głosie pomalu
Wyraz się coraz bardziej łączy do wyrazu,
Z dumań wypada mowa — jak deszcz śród upału:
«Niechaj mól życie nędzne w starych księgach pędzi,
«Niech się w kartę zbutwiałą z ciekawością wżera,
«Moja ręka naprózno tysiąc ksiąg otwiera,
«I warzy doświadczenia z tysiącznych narzędzi.
«Któż jak ja, z potem czoła, męczył się i czytał?
«Dziś gdym na równi z wami, gdybym się zapytał
«Czegoście nauczyli i co sami znacie,

«Wstydby wam czoło, serca i rozum wypalił,
«Jeźli wstyd znacie jeszcze — wam, gdybym się żalił!
«Zamknijciie księgi dumne, i w nauk warsztacie,
«Na każdej ścianie, każdej książkowej okładce,
«Zapiszcie jedną prawdę — wypadek zagadce;
«I ja z wami zapiszę: że człowiek zrodzony
«By wszystkiego dociekał, sam niedocieczony!

CHÓR MŁODZIEŃCÓW w oddaleniu.

Hulajmy, hulajmy — póki w worku grosze,
I dziewczyna, jak malina,
Młodości po trosze — młodości po trosze.

Tańcujmy, tańcujmy — póki noga skoczy;
Toć jest śpiewka — toć jest dziewka,
I skrzypek ochoczy — i skrzypek ochoczy!

Dziś pijmy, — kiedy gardziel sucha;
Dobry miódek, i dzban wódek
U naszego drucha — u naszego drucha.

Bo potem, bo potem — starość nas opęta,
Młodość zniknie — człek odwyknie,
Odwykną dziewczęta, odwykną dziewczęta.

CHÓR STARCÓW.

Bodajto czasy dawne — człowiek miał pieniążki,
Piękne śpiewki, choże dziewki
Od nich cacka, wstążki — od nich cacka, wstążki.

Każda się uśmiechała — każda była rada,
Dziewka wdówka — z mego słówka,
Dziś żartują z dziada — dziś żartują z dziada.

Nawet przyjaźń inną była — dobrzy przyjaciele
Wsparli ciebie w twej potrzebie,
Dziś nie warci wiele — dziś nie warci wiele.

Piję więc zdrowie dawnych — starcze w ręce twoje!
Choć w pamięci, niechaj święci
Człowiek szczęście swoje — człowiek szczęście swoje.

Śpiew ustał — przepadł drogą — w mętnym tonów zlewie;
Tylko echa dalekie zawrzasły po śpiewie
Coś o szczęściu i zmilkły — przy rozbiegłym chórze
Ciekawych gwiazd tysięcy, księżyc na lazurze
Twarz swoją bladą chyląc z błękitnego łoża,
Na którym zadumany żegluje w przestrzeni,
Włosy swe w kształcie srebrnych rozwiesił promieni;
Rzekłbyś że czołem bije u niebios podnóża.
I z okna dworca widać — czy muru kobierce?
Nie, to postać Wacława po murze się łamie,
I ku ziemi roztacza coraz większe ramie,
I rośnie, jako płomień zawarty w iskierce,
Gdy wiatr zarzew rozdmucha, rozprzestrzeni gwałtem;
Aż w końcu cień olbrzymim ziemię dopadł kształtem,
I zniknął — słyszeć tylko jak się okno zwarło;
Szyby brzękły z łoskotem, a ganek głęboki
Głucho odbił — znajome — prędkie — mocne kroki.
Cicho — tylko po chwili dozorcze psa garło,
Szczekaniem kilkakrotnem wiejskie strzegąc domy,
Dało znak, że ktoś po wsi przeszedł nieznajomy.

V.

OBCY CZŁOWIEK.

Za wioską stała karczma — przy karczmie trzy drogi
W różne ciagnęły strony — jedna szła ku miastu,
Druga w lewo — a trzecia pełna głogu, chwastu,
Dawno widać nie tknięta od człowieka nogi;
Do zamku pono wiodła za dawnego czasu
Rycerzów tych okolic — dziś bujna w pokrzywy,
Przerzynając wężykiem urodzajne niwy
W gęstwinę wchodzi leśną i ginie śród lasu.
Słup drewniany przy drodze, i krzyż nad mogiłą,
Oto wszystko co widzieć na rzut oka było.

Tylko gdy pies zaszczekał przeraźliwym głosem,
A na hasło wzbudzone kądle wioski całej,
Długim, przeciągłym wrzaskiem, nagle zaszczekały,
Z krzyża, wrony przelękłe rwały się ukosem,
I śladem drogi starej gdzieś lecąc na prawo,
Odciągały z łoskotem i szumem i wrzawą;
A ze wsi jakaś postać, niewyraźna zrazu,
Coraz to prędszym krokiem, gwałtowniejszym bieży,
I im bliżej podchodzi, tym oddycha szerzej
Aż w końcu u starego staje drogoskazu,
I spoczywa — tu zmiana całego obrazu:
W karczmie jakby z pod ziemi śpiew, tańce, kapela,
Słychać: grzmią śmiechy, krzyki, hulanka, zabawa.
Wędrowiec okiem gniewu, na około strzela
I opuścił drogoskaz — idzie bliżej — stawa:
«Oni się bawią — słudzy — a pan wasz majętny!
«Napiętnowany pracy i rozpaczy godłem,
«Na świat cały — roskosze — wszystko obojętny.
«Marzyłem — ach okropnie duszę mą zawiodłem!
«Oni się bawią — słyszę ich śpiewy, ich tańce,
«A pan wasz! — panu gdyby świat rozwiódł swe krańce,
«Ciasnoby jeszcze było! — gdyby Rzym, trzy Rzymy
«Dla niego ogniem buchnął, roztoczył się w dymy,
«Nudnoby jeszcze było! — gdyby nektar boski,
«Anieli w złotych czarach przynieśli mu z nieba,
«Gorzkoby jeszcze było — gdy oni — bez troski
«Mając zaledwie codzień kęs suchego chleba,
«Świat w duszy ciasny jak ich codzienne potrzeby,
«Szczęśliwi i spokojni. — A nam — a mnie żeby
«Bóg się w płomiennym krzaku pakazał Mojżesza
«I morzem wszystkie świata wylały się skarby,
«Mnieby Bóg nie pocieszył — mnie jednego dar-by
«Żaden świata nie zajął — jak dziś nie pociesza!»

ŚPIEWY W KARCZMIE.

Hulajmy, hulajmy, póki w worku grosze!
I dziewczyna, jak malina
Młodości po trosze — młodości po trosze.

JEDEN Z MŁODZIEŃCÓW.
Pisz pałkę, krysek nie chcę — wódki tu! półkwarty!

STARY ŻOŁNIERZ.
W marjasza? — kiksa? — ćwika? — karty! kto chce w karty!
Śpiewa sobie:
Hej! tam na górze,
Stoją rycerze!
Puku, puku, w okieneczko
Otwórz, otwórz panieneczko,
Bo ułan jedzie!

MŁODZIENIEC.
Jakież nudy przeklęte! siedzicie jak mruki.
Bodaj was kaduk porwał! — lepiej zbijać bruki
Niż w takim żyć barłogu —

DRUGI NA PÓŁ PIJANY.
A w jakim barłogu?
Ej z nami nie zaczynać!

PIERWSZY.
Patrzcie — dajgo bogu!
Zuch, frant, tego mi trzeba!

DRUGI.
Milcz ty darmojedzie!

PIERWSZY, porywając się.
Co? mnie? ty kręciwąsie, moczymordo, trzpiocie,
Ja cię gwizdać nauczę!

JEDEN ZE STARYCH.
Sąsiedzie, sąsiedzie!
Poco te swarki głupie przy naszej ochocie?
Toć cygan się obiesił dla dobrej kompanii.
Hej wódki! czyż to od nas lepsi są cygani?
W ręce wasze!

MŁODZIK DO DZIEWCZYNY.
Tam miejsce — u tamtego stołu
Przy miodu szklance sporej siądziemy pospołu.

NAUCZYCIEL SZKÓŁKI do mieszczanina.
Ależ ja wam tak mówię — Ksiądz dziś na ambonie
Nie o tem prawił — mówił o Chrystusa zgonie
O jego śmierci za nas.

JEDEN Z MŁODZIEŻY, podając szklankę bakalarzowi.
W ręce panie kumie!

NAUCZYCIEL.
Dziękuję — człowiek niby czasem zarozumie
Słówko jakieś, i zaraz chce kazanie prawić.

MŁODZIK, pokazując na szklankę.
To mi to jest kazanie, lepiej się zabawić!

MIESZCZANIN.
Aleź przecie jam myślił......

NAUCZYCIEL, przerywając mu.
W waszej mózgownicy,
Wygląda jako w pustej odludnej dzwonnicy:
Jeźli człowiek nie przyjdzie, serca nie poruszy
Cicho — rozkołysz serce — brzęk ciebie zagłuszy.

GOSPODARZ.
Prawdę mówi pan Józef — co tam gadać o tem!
Mamci ja innym głowę nabitą kłopotem.
Pokupu nie ma w mieście — robotników mnóstwo,
Dzieci huk — żona krzyczy — wszyscy krzyczą chleba;
O tem to raczej myślić i mówić potrzeba,
Jakby powiększyć zmniejszyć ubóstwo,
Niźli bajać w około co tam ksiądz zapowie.
Nad wszystko panie bracie, milsze życie, zdrowie!

NAUCZYCIEL.
E, bo wy też znów tylko myślicie o grdyce.

MŁODZIK.
Cóż to znaczy, czy ducha nie ma już w muzyce?
Rżnąć od ucha — niech skrzypek odwrotnego utnie.

JEDEN Z STARSZYCH.
Kościuszki!

DRUGI.
Dąbrowskiego!

WSZYSCY.
Kościuszki — hej zgoda,
Tylko żwawo i ostro!»

— Rozmowy i kłótnie
Ustały jak deszcz, kiedy zaświeci pogoda,

Albo gdy kur zapieje, złych upiorów harce.
Na jednej stronie w myślach zatopione starce,
Słuchając znanej nóty w milczeniu głębokiem,
Spoglądali na młodzież smutnem, łzawem okiem.
Dalej chór śpiewał nótę — lecz w tej nócie słowo,
Tak dziwnie w ustach brzmiało młodzi śpiewającej,
Tak każdy ton był czuły, i wolny, i drżący,
Że wziąłbyś hymn wesela za pieśń pogrzebową,
Albo za pieśń rozstania i zimnej rozpaczy.
Wacławowi jednemu inaczej się zdało;
Wacławowi jednemu zabrzmiała inaczej:
Bo w myślach, w duszy jego, obudziła ciało,
Ciało z letargu, wspomnień wywołała znakiem,
Uczuł że ma ojczyznę — wspomniał że Polakiem.
Tak czesto tonącemu w bezdennej topieleli,
Rzuć z brzegu nitkę słabą rwącej się kądzieli,
On za nić jak kotwica za grunt morski chwyci:
Ale patrz — ledwo sięgnie — wiotkie rwą się nici,
Tak słowo w dobrej ludziom powiedziane chwili,
Jak trąba archanioła, stworzy ich czem byli.
«Ojczyzna! — krzyknął Wacław — o dzięki wam, dzięki
«Za znak życia nowego! — póki stanie ręki,
«Ręka do niej należy — póki myśli stanie,
«Myśli jej niechaj będą! — Zabłysło zaranie
«Świateł nowych — Bóg w nowej zabłysnął postaci.
«Nie w księgach Go wynaleźć: On w żywocie braci
«Mieszka, jak w swym kościele, jak w arce przymierza!
«Niebo rodzinne — oto świątyń jego wieża;
«Ziemia rodzinna — oto, budowa kościoła;
«A w piersiach tron jest Jego — w piersiach głos anioła!
«Posłyszałem — uczułem — rozumiem cię Boże!
«Chcesz ofiar — ja mój żywot w ofierze położę,
«Przyszły i teraźniejszy — chcę jak lud na puszczy
«Łaknąć, byle ojczyźnie tem pomódz można;
«Każda myśl moja, będzie jako hymn pobożna,
«Język mój ustom, słowa samej czci poduszczy,
«W modłach noce przepłaczę, dni przemęczę w trudzie
«Tylko niech kraj mój wolnym — wolni będą ludzie!

Tak Wacław rzekł ze łzami i padł na kolana.
Lecz i śpiew nagle ustał — czyby okna ściana
Mowę jego w głąb wniosła? — i słuchacz ciekawy
Chciał śledzić jego myśli i mowy i sprawy!
Wacław z obawą, trwogą, porwał się z pośpiechem.
Inaczej przecież było — płacz się mija z śmiechem
Na tej ziemi, jak orszak weselny z pogrzebem,
Albo słońca blask czysty z zachmurzonem niebem.
W karczmie, kędy przed chwilą zadumani wszyscy
Śpiewając piosnkę dawną płaczu byli bliscy,
Zapomniano o smutku, śmiano się z kolei:
Bo jakiś nieznajomy, krzepki, rzeźwy młody,
Wszedłszy nagle do karczmy, zażądał gospody,
I zdumionym młokosom plótł smalone duby.
To w dowcipnym słów zwrocie wspomniał o nadziei,
To śmiał się z zbytniej starcom właściwej rachuby,
I przepijał niezgorzej do gromady całej.
Z ubioru zdał się Polak — z wzrostu nie był mały,
Wytartą miał bekieszę, pas u niej wytarty,
Przecie śmiech wiecznie prawie do twarzy przyrosły,
Oczy bystre — włos rudy — nos w górę zadarty,
Nie najlepsze świadectwo duszy jego niosły.

W ręku kij i tłomaczek na plecach zwieszony,
Świadczyły podróżnego — jakoż gdy pytano,
Z kąd idzie, rzekł z uśmiechem, że dziś wyszedł rano
Z miasta o pięć mil drogi — że rodzinne strony
Chce zwiedzić, bo tam pieniądz ma do podniesienia,
Właściwie z Zgorzelskiego księstwa prosto idzie *).
Dodał w końcu twarz niby zapuściwszy w wstydzie:
«Co się zaś tycze mego nazwiska, imienia,
«To ukrywam bo zresztą komuż chodzi o to,
«Kto tam teraz ciekawy jak się kto nazywa?
«Jan, Paweł — Niemiec, Polak — czyż to daje złoto?
«Imię spasłym nie czyni — więc lepiej z ochotą
«Wypić jeszcze!»

*) Kromer nazywa Zagorzelskim Brandeburgią.

(Śpiewając przytłumionym głosem jak gdyby dla siebie, tak jednak żeby wszyscy słyszeli.)

«Gdzie dobrze urodzajna niwa,
«Pop ma litość, król z ludem przyjaźń zobopólną,
«Gdzie wszystko myśleć wolno, wszystko mówić wolno,
«A sędzia ubogiemu sprawiedliwość przyzna;
«Tam kraj mój — moje imię — rodzina — ojczyzna!»
A czyż jest kraj gdzie taki? zawołali młodzi,
Dziwnie kręcąc głowami —» czy jest? — odrzekł na to —
«Zapewne kiedy człowiek nigdzie nie wychodzi,
«I życie spędzi między stodołą i chatą,
«Trudno żeby go znalazł, i wy nie znajdziecie
«Ale świat jest obszerny, dziwy różne świecie!
«Wódki tylko, hej wódki, cuda wam opowiem.
«Tylko pijcie, jakiemże rozpoczniemy zdrowiem?
«Dziewcząt ładnych! nie prawda? — niech żyją dziewczęta!
«Co mają piersi pulchne i lubieżne oczy.

(Piją wszyscy powtarzając zdrowia.)

«Drugie zdrowie! młodzieży ochoczej!
«Lepszy młodzik pijany, niż osoba święta.
«Niech żyje jak przystoi!

(Piją.)

«Hej — na trzecie wodki!
«Wesołości i śmiechom! — niech przepadną smutki.
«Więc śpiewać! — kto zaśpiewa? — ha — pieśń na myśl wpada.
«Słuchajcie tylko pilnie» — to rzekłszy usiada
A cała koło niego kupi się gromada:

Na pewnego króla dworze *)
Żyła wielka, piękna pchła
I kąsała, była zła.
A cóż pyszczkiem pchła nie może!

Król piękności każdej znawca,
Kochał ją jak dziecko swe,

---

*) Z Goetego.

Dla tego że dobrze ssie,
Toć dla niej zawołał krawca.

Krawcze, rzecze, weź mu miarę
Paniczowi zrobisz frak,
I wykroisz sukno tak,
Żeby miał i spodni parę.

Pchła się stroi w axamity,
Na ramieniu duży pęk,
Orderowych wiesza wstęg,
Na piersiach ma krzyż wyszyty.

A że i wykręty w głowie,
Skoczne nogi koło łba,
Pieczęć państwa, władzę ma.
Pchłami wszyscy są panowie.

Była ich ogromna mszyca,
Cały był kąsany dwór,
Król, królowa, dwoje cór,
Babka, ciotka, siostrzenica.

I nikt nie mógł się podrapać
Bo nie drapał pan i król.
Co za męka, co za ból,
Kiedy pchły nie można złapać.

WSZYSCY ŚMIEJĄC SIĘ NA GŁOS.

Ha, ha, ha, to komedya!

MIESZCZANIN, poważnie do nieznajomego.

Ale gdzież podobna
Ażeby pchła tak mała, gadzina tak drobna,
Miała mieć frak i spodnie pęk orderów przytem,
Toćby trzeba ażeby frak był dla niej szytym
Chyba łapkami mrówki, i tkanką pajeczą
Dla tego niech mi wszyscy ludzie za to ręczą
Ja wierzyć w to nie mogę.

WIELU.

Jaki on też głupi!

OBCY CZŁOWIEK.

Dobrze mówi — któż kota w worze ślepo kupi.
Na tym świecie wątpienie do mądrości drogą.
Lecz do rzeczy — widziałżeś drzewa liść co wiewa?
Nie prawda że ma szewki — a krawiec zkąd? — z drzewa.
Gdy więc drzewo tak szyje, cóż ludzie nie mogą!

JEDEN Z MŁODZIEŻY do drugiego.

A to mu jak kotowi utarł z pyska mleko.

DRUGI.

Widać że się gdzieś w świecie wycierał daleko.

OBCY CZŁOWIEK, wciąż dalej mówiąc.

Wszak dziś już po powietrzu latają nad ptaki.
Owym worem dymami z kądsiś wydmuchanym,
Mierzą słońce i księżyc — wiedzą gwiazd przychody,
I jeszcze czas nadejdzie, dziwaczny czas jaki,
W którym człowiek nie kontent że jest ziemi panem,
Węborkiem czerpać zechce w chmurach czystej wody.
(Wszyscy milczą — Nieznajomy znowu po niejakim czasie dalej mówi.)
Wy prawda, biedni ludzie — wy niewiecie o tem.
Dla panów waszych z czoła pracujecie potem,
Dla drugich — a ci drudzy! — wściekłość mnie pożera!
Każdy z nich próżniak, skąpiec, obłudnik, kostera,
Robi z wami jak z młynkiem, co mu się podoba —
Ależ prawda — was święta uczyła osoba,
Choć świętość więcej grzeszy niż wy wszyscy razem,
Że panów słuchać — wiecznym religii rozkazem —
Że —

JEDEN Z MŁODYCH przerywając

Co tam gadać o tem — nie zmienić wszelako.
Lepiej więc Waszmość powieść kredensuj nam jaką!

WIELU.

Powieść! coś o pchle znowu!

KILKU.

Nuże — wódki żwawo!

OBCY CZŁOWIEK.

Nie mogę — pilno mi jest — zbyt późna dziś pora
Gdzie jutro stanę ledwie — miałem już być wczora,
A i jutro uciecze z dzisiejszą zabawą.
No! — z resztą — jedną jeszcze — ale pod warunkiem
Że potem ni pytaniem, ni mocą, ni trunkiem,
Niczem mnie nie wstrzymacie.

KILKU.

Spiesznie mu za katy!

OBCY CZŁOWIEK.

Przed stu, dwustu może laty,
Kościelne, wychudłe szczury,
Widząc co dzień msze — ornaty,
Wszystkie razem wyszły z dziury,
Bo im bardzo w gust przypadło,
Naprzód białe prześcieradło,
Dalej pasek, a za paskiem,
Ornat ze złotym obrazkiem.
Lecz krom tego, co nie lada,
To, co ksiądz codziennie zjada.

Więc na radzie jeden rzecze:
Do pomysłu dobra pora,
Proboszcz gdzieś wyjechał wczora —
A zwodne zmysły człowiecze.
Jutro więc niech na dzwonicy,
Kilku w spiż wali ogonem;
Ręczę, wszyscy katolicy
Na mszę przyjdą za tym dzwonem,
A ja w ornat się ubierę,
I zaśpiewam miserere.

Jak uradził tak się stało:
By czem przykryć szczurze ciało,
Strzygli ornat przez noc całą.
Gdy się na niebie dzień bieli,
Był to właśnie dzień niedzieli,
Koło siódmej zadzwoniono.

Cóż? — zaledwie w dzwon urżnięto,
Katolików na mszę świętą,
Jedno, drugie wali grono.
Szczur na ołtarz wlazł w gałganie,
Inni grali na organie.

Próżna praca — modlitw, płaczu,
I krząkania, dzieci krzyku,
Było wprawdzie aż bez liku,
Lecz któż myślił o kołaczu?
Próżno szczurek okiem strzyże,
Rychło która pani matka
Przyniesie choć kęs opłatka;
W ręku same książki, krzyże,
Więc z ołtarza prędkim szustem.
A i kościoł stanął pustym. —

Śród odludnej, chudej fary,
Szczury więc na radę znowu.
Wtenczas ojciec siwy, stary,
(Wszystkie były jego chowu)
Tak im rzecze: głodni, chudzi,
Cóż nam zwodzić ludzi potem;
Głupstwo prawda w sercu ludzi,
Ale w myślach człowiek kotem,
Nuż nas zdybie! — lepiej zatem
Będąc szczurem, przestać na tem!

Wacław z całej powieści nie stracił syllaby,
Odgadł ją — wyrozumiał — i zdradę ocenił,
Chciał wołać — lecz głos jego przesilony, słaby,
Skonał w ustach. — Wzniósł rękę — ręka mdła upadła;
Spojrzał — źreniczne oba ciemnią się zwierciadła,
A twarz jego żar jakiś rozpalał, rumienił,
To znowu jak z zapału ostudzona bladła.
I Wacław był podobnym do owych zbrodniarzy,
Którym sędzia gdy wyrok z dziejów czyta zbrodni,
Czucie winy, występku, jako strach przechodni,
Siły zniszczy — wzrok stępi — i siądzie na twarzy.

Słuch jeden zimny został — słuch — ów świadek skryty
Tysiąca grzesznych myśli — jak Tantal niesyty,
Jako skąpiec łakomy, bystry jak sumienie,
Podobny do Charona co przewozi cienie,
Na powodzi zdań własnych, żeglarz myśli innych
Sto razy potępionych, raz może niewinnych!
On umie wszak i zdania dla wiecznej katuszy
Podobieństwem złowionem — śpiewem — słowem — rysem,
Wpędzać w duszę, lub raczej wywoływać z duszy,
Jak mistrz z księgi gdy karty obciążył zapisem. —
On śpiew przejął — już ucichł — drzwi skrzypły w zawiasie
Szmer jakiś — i większy — coraz większy — głosy!
Byli to starcy którzy krzyczeli po czasie
Językiem prawdy wiecznej: «Nieszczęsne młokosy!
«Miecz boskiej zemsty na was z nieba ciężko spada.
«Słuchacie głosów kłamstwa pożądliwem uchem,
«Opętani jesteście nieczystości duchem,
«Poprawcie się bo biada, stokroć na was biada!»
Ledwie zmilkli, ktoś przeszedł jak kłąb liści z szumem,
I w kształt ognia co z dymem wlecze się po ziemi
Zgniłym pniem lub drewnami wzbudzony mokremi,
Schylona jakaś długa przeciągła się postać.
«Stój nędzny» — krzyknął Wacław — jakby wspomnień tłumem,
Do życia przywołany. — «Stój!» krzyknął raz drugi,
«Choćbyś był i szatanem musisz kroku dostać!
«Kto ci dał moc kupczenia twym nędznym rozumem?
«Trujesz ludzi pod barwą zabawy, usługi;
«Plamisz im czystość duszy, obudzając chęci,
«Których nigdy dopędzić, uiścić nie mogą.
«Jak złodziej drzesz się w serca — wyrywasz z pamięci
«Wszystko co świętem mieli — świętość depcesz nogą!
«Szatanie czy człowieku! jeźliś twarz człowieka
«Oblekł, by zbrodnie szczepić, jeźli —» tu powieka
Odsłoniła źrenicę — nie było nikogo.
Wiatr tylko gałęź drzewa przeginał z daleka,
Słup głuchawo przy drodze skrzypił drogoskazu,
A cień do wytartego podobny obrazu,
Mknął się nagle przed okiem i przepadł gdzieś drogą.

Lecz wrażenie zostało — bo kiedy po chwili
Zamyślony do domu krok Wacław obrócił,
Pozór go jeszcze w myślach uwodzi i myli,
Stawał często i słuchał, jakby pieśń kto nucił.

VI.

ODMIANA.

Młodym był Wacław jeszcze — ledwie rok dwudziesty
I wiosen może kilka liczył w pasmie życia.
Młody i smutny ciągle — od ludzi pożycia
Jak od węża uciekał — z tej przyczyny? nie z tej?
Różnie twierdzą, bo trudna duszy jest zagadka.
Mówią tylko że kiedyś umarła mu matka,
Ale ją ledwie zaznać mogło chłopcze młodę.
Przyjaciół nie miał żadnych, i kochanki żadnej.
Wacław choć sam z postaci przyjemny i ładny,
Zimnem okiem spoglądał na dziewcząt urodę.
Z nikim serca swojego, czucia nie podzielał,
I nigdy myśli swoich nie zwierzał innemu.
Gdy czasem z śmielszych który zapytał się, czemu
Tak samotny — pytanie dowcipem rozstrzelał
Albo gorzko się roześmiał — milcząc po dawnemu.

Jedna mu przecież droższa istota nad inne,
Siostra jego Helena — twarz — oczy niewinne,
Często go zająć mogły — westchnął nie raz przy niej,
Czulej rękę uścisnął, łzę uronił w oku.
Tak Pan Bóg się zakocha w ołtarzu świątyni,
Tak potok kroplę ściśnie, tak w szumnym potoku
Kropla rosy uwięznie! —

Kiedy czasami błądząc w odludnem ustroniu,
Albo na rozhukanym, na zdziczonym koniu

Jakby ciała sileniem, smutek cieńczał w sile,
Pędził chciwie za czemsiś, z wiatrem się uganiał,
I cios jakiś wymierzał i piersi odsłaniał:
Gdy powrócił — przy siostrze wypoczął na chwilę
Bladość nikła mu z twarzy — pierś mu wolniej biła
Dusza jeszcze czasami o szczęściu zaśniła.

Co knuje w samotności ? naprożnobyś badał.
Powiadają, że jakieś stare miewa księgi
Z których moc dziwną czerpie — zaklęcia — przysięgi:
Słyszeli go, jak nie raz sam ze sobą gadał,
Pozawieszał na siebie różnobarwne wstęgi
I znów książki brał do rąk, i karty rozkładał.
Druga wieść przebąkuje o smutku, rozpaczy;
Inna mówi — świadkowie zazwyczaj niezgodni —
Że nie duchy zwołuje, lecz przekleństwa zbrodni,
Jakiej ? czemu? — nie wiedzieć co to wszystko znaczy.

Upływały tygodnie, miesiące i lata
Wacław jak dawniej dziwny — gruchnęły posłuchy
Że choruje a nawet język jakiś głuchy
Więcej dodał — że jasna jego zmysłów strata;
Że nie po ziemi chodzi, po niebiosach lata.
Jedni radzą spokojność, drudzy miękkie puchy,
Inni znowu rozrywkę dla myśli otuchy,
A biedna siostra płacze — przyjaciela — brata!

Lecz słuchajcie! odmiana wszystkiemu zagraża
Odmiana choć nie zmiana — bo człowiek nie zmienia
Głosu wiecznego — prawdy — głosu przeznaczenia!
Tak się roślina każda na wiosnę przetwarza,
Tak potok zmienia wody, a przecież potokiem,
Tak upływa dzień za dniem, ginie rok za rokiem,
A czas, jak świat odwieczny!

Wacław przestał bydź dzikim — nawet i oszczerce
Jego rozumn widzą odmianę w Wacławie;
Dawniej żył tylko we snach, dziś żyje na jawie,
Każdy chwali poprawę, nikt nie spojrzał w serce!

«Podajcie kielich, roskosz, młodzi przyjaciele
«Wacław spełni go z nami, — dawniej — ale na co
«Przypominać co było? niech myśli i dumy
«W nabożnych pieśniach zabrzmią w parafii kościele,
«Niech starzy głową żują, gdy siły utracą.
«Nam młodym nie potrzebne książkowe rozumy,
«My — kiedy tryskać zacznie płyn czystego wina,
«Kiedy w gronie przyjaciół pieśń zabrzmi dokolna,
«Kiedy wdzięków użyczy lubieżna dziewczyna,
«Dusza podobna wiatrom, swobodna i wolna.»
Takie, i tym podobne dziecinne łakocie
Rzucali Wacławowi młodzieńcy radośni;
Tymczasem wieść gruchnęła — głośniej, coraz głośniej,
O jego nagłej zmianie — o zmysłów powrocie,
Z tąd mnogie zapraszania, powinszowań krocie;
Wacław wszystkie przyjmował, zimno lecz uprzejmie,
Jak zręczny wódz przyjmuje wroga przy rozejmie
Zanim skutków pewniejszy, nowe bitwy zacznie.
Wesołym nie był przecież — chociaż go zabawa
Na pozór zająć może — weseli — rozśmieszy.
Smutek się mocny ściera jako rdza — nieznacznie,
Choć żelazo trzesz, plama długo świeci krwawa!
Często więc śród biesiady i krzyczącej rzeszy
On jakby obcy wszystkim w milczenie zapadnie,
I że duma o czemsiś, dostrzedz z oka snadnie.
Zrywa się postrzeżony — coś mówić zaczyna,
Uśmiecha się zmieszany — sięga do kielicha,
Nieprzytomnie nalewa w kielich pełno wina
Spełnia go nieprzytomnie, lub znowu odpycha,
I patrzy wzrokiem dzikim — czasem w jego stroju
Coś widać dziwacznego — czasem w jego mowie
Jakby wszystkich pięć zmysłów razem nie miał w głowie,
Obłąkanie wyraźne — na środku pokoju
Stanie i patrzy — milczy — nic nie odpowiada
A przytem oko smutne, twarz jak dawniej blada.

Ale dla czegóż Wacław odmienił swe życie?
Czemu, jeżeli myśli niezgodne ze światem

Własnego serca zostać zaprzysięgłym katem?
Ciemne wieści, i jakieś mistyczne zakrycie
Na wszystkie kroki jego zwieszone szeroko.
Czy może chciał badawcze w świat zatopić oko
Aby lepiej zdrożności i błędy ocenić?
Szuka ludzi, jak dawniej uciekał od ludzi
Najmniejsze słówko często ciekawość mu wzbudzi
Ale zimną ciekawość. — Dawniej bez powodu
Zwykł się był gniewać, lica wybladłe płomienić,
Dziś serce i myśl jego podobna do lodu
Zwierciedli wszystko, alęć i wszystko odbija!
Jedno go wzruszyć może — jeźli mowa czyja
Wspomni czasem o kraju.

Jak rosa spada, słońca wypłakana okiem,
I ta co we mgle ćmiła, ożywia naturę,
Albo lotna w tumanach rozkłębi się w górę,
Aby mdłe części z złotym połączyć obłokiem
Tak myśl jego na kraju, na wolności wzmiankę
Nowem życiem oddycha — oko się rozżarzy
Usta drgają od czucia — mieni się na twarzy;
Powiedziałbyś że śmierć mu zabrała kochankę
I że z nią w niebie mówi, anioł odpowiada.
Czasem w gronie znajomych dawną pieśń zanuci,
Albo przodków waleczne przypomina dzieje,
Lecz gdy skończy, zaledwie warga pieśń wyleje,
Znów się nagle zasmuci, w milczenie zapada,
Z nim wszyscy — jako ludzie z nadziei wyzuci
Gdy serce czasem stworzy, myśl strzaska nadzieję!

— Szczęśliwy! ty przynajmniej miałeś komu śpiewać!
Moich uczuć i pieśni, nikt ze mną nie dzieli,
Ty masz przed kim zapłakać, ulgi się spodziewać
Ja daleki od moich — nie mam przyjacieli!

Nie mam rady z kąd czerpnąć — trudno wyżyć z nimi;
Jeźli łza czasem spłynie, upływa samotnie,
Szczęśliwy kto świat zwiedził, szczęśliwszy stokrotnie
Kto nigdy nie opuścił rodzicielskiej ziemi.

Sam jeden pośród tylu, wichrzę się po świecie,
Może nawet powieki obca dłoń mi stuli —
O bracia! czem kraj własny, jeźli nie czujecie
Opuśćcie go na chwilę a będziecie czuli.

Ileż razy myśl moja w wasze grono leci,
I goni miłe duszy, przeszłości obrazy,
I do śnieżystych, zimnych, ojczystych zamieci
Wzdycha z raju natury aż po tysiąc razy!

U nas ziemia zmrożona, ale serce w wiośnie;
U nas mgła często niebo zachmurzone trzyma,
Ale przyjaźń ma błękit — ścisną dłoń radośnie;
A tutaj słońce grzeje ale w sercu zima.

Gdy o kraju przemówię żaden nie rozumie,
Gdy westchnę, ledwie echo westchnienie powtórzy,
Sam jeden ginę w obcym, nieznanym mi tłumie
Jak listek wiatrem zdięty od wiosennej róży.

Pierś tylko jeszcze kiedyś czucie z myślą żeni,
I co dusza w ukryciu stworzy i wymyśli,
Łaknącem kradnie uchem, w słabą pieśń zamieni,
Albo służebna ręka w martwy papier kryśli.

Życie nasze upływa jako chwile gończe
Które ledwie zabłysną, znikają na wieki.
Kto wie, czy nie zapadną i moje powieki,
Albo wasza nie skona, nim śpiewu dokończę!

Obcy, nieznani ludzie spotwarzą me chęci,
Zelżą przyjaźni tylko poświęcony datek —
Rzucą wzdychania czułe w otchłań niepamięci
I zniknę, jako we mgle konający kwiatek!

«Precz, precz z mego oblicza — co chcecie odemnie
«Zimny księże dla czego zbliżasz się do łóżka

«Chcesz mi myśli wysączyć, i serce tajemnie?
«Mylisz się — to nie twoja okoliczna duszka —
«Cudzoziemiec umiera — uciekaj od niego!
«Ty jeszcze stoisz — patrzysz — czekasz niby czego —
«Kto jest ten drugi z tobą? — nieznane mi twarze —
«Wasze oczy ciekawie śledzą na zegarze
«Każdy popęd skazówki, jak gwiazdy obrotów,
«Dla czegoś tak utopił we mnie wzrok ponury;
«Rękę twoję podnosisz, wskazujesz do góry —
«Ja śmierci się nie boję — umrzeć jestem gotów!
«Otwierasz puszkę księże? — czy lekarskie zioła?
«Mnie bóg nie chciał dopomódz — czemże kwiatek polny!
«Schowaj pokarm dla ciała co pokarmu woła:
«Schowaj trunek, dla duszy nędznej, nieudolnej,
«Kto mógł żyć pośród burzy nieugięcie wolny,
«Ten bez cudzej pomocy i umierać zdoła!
«Światło błysło — ha noc już — myśli krążą ciemno —
«Zimno mi — twardo w puchach i miękkiej bieliznie —
«Słyszę głosy — anioły śpiewają nademną —
«Ta myśl — wam przyjaciele — rodacy — ojczyznie!»

Lata przejdą nie jedne i kamień grobowca
Mech okryje i zielskiem mogiła porośnie;
Zamilkną wszystkie dawne o życiu krajowca
W kraju własnym — rodzinie — nowiny donośne.
Nie widać go, nie widać — nawet nic nie pisze —
Jeden westchnie, zapłacze może dusza czuła,
Czasem jeszcze ktoś wspomni — i znów ciągłe cisze —
Grób ci drugi, młodzieńcze, pamięć już usuła.
Wieść jedna tylko czasem w dalekiej krainie,
Jak strumyka szmer zimny, w ustach zimnych płynie,
Że kiedyś — przybył zdala — samotny młodzieniec. —
Pokażą gdzie spoczywa — i śmiertelny wieniec
W kościele wisi dotąd — u wstążek zawiązki.
Tam na wschodzie grób jego i ta na wschód rzeka
Mawiał on, że daleko gdzieś pędem ucieka,
I dla tego w nią wrzucał zerwane gałązki,
Ze łzami na nie patrzał — i tam spoczął przy niej.

Na twoich brzegach może wyrośnie sitowie
I z liścia tego wianek kochanka uczyni;
Rybka może nie jedna splątą się w połowie,
Która łzę wędrownika w obcym kraju piła.
Gdzie serce — tam przeczucia niezgadnięta siła!
Gdy listeczek sitowia w rączce białej wiewnie
Wszyscy zapłaczą rzewnie;
Gdy ryba uwięziona w mętnej wodzie pluśnie,
I kropelka na siostry czułe lica pryśnie,
Jej myśl młoda w marzeniu o przeszłości uśnie
I na startym obrazie pamięci zawiśnie.
W jego strony popłyń rzeko
Tam daleko — tam daleko!

Nielitościwy, łzami wykarmiony duchu!
Więc i po śmierci jeszcze pragniesz łzy za datek?
Łzami ma bydź żywiony grobu twego kwiatek?
Wzdychaniami twa pamięć? i cóż masz z pamięci?
Już ci się kark twój pyszny dzisiaj nie łabęci:
Lica zsiniały zsiadłej krwi twojej sinością.
Ręka się już nie ruszy, by wydać rozkazy!
Jedna pamięć, podobna do błędnej oazy
Będzie pływać gdzie wszystko znikomem — nicością!
Może zawsze? niestety nazbyt, nazbyt krótko!
Gdy kochanka — przyjaciel — jak ty żyć przestaną
Co będzie twych przypomnień u innych pobudką?
Jak pył z wiatrem, z ich śmiercią pamięć twoja zwianą —
Z ich śmiercią? — nie — za życia zapomną cię jeszcze,
Za miesiąc — rok najdalej — skoro od ich szyi
Odczepisz się — alboż to pamięć w sile czyjej?
Ta ręka, którą dzisiaj w ręku mojem pieszczę,
Te usta, które wierność przysięgły ci nieraz,
Wiesz czem były — czem dzisiaj — najlepiej czem teraz —
Ależ o jutro tylko nie pytaj się próżno,
Świat postaci ma różne — ludzie duszę różną.

Więc żartować z pamiątek! — z owych mar i cieni!
Gdy umrę nie chcę modlitw i ciężkich kamieni —

Mniejsza że obcy prochów moich nie odgadnie;
Niech każda pamięć o mnie wieczyście przepadnie,
Niech się wiatr z trupem bawi — a drapieżne zwierze
Zbierając rozniesione po przestrzeni szczątki,
Niech ostatnie istnienie, ostatnie pamiątki,
Spokojności grobowej, paszczęką odbierze!! —

CZĘŚĆ DRUGA

WACŁAWA MŁODOŚĆ.

Was machst du an der Welt — sie ist schon gemacht!
Der Herr der Schöpfung hat Alles bedacht!
Dein Loos ist gefallen — verfolge die Weise;
Dein Weg ist begonnen — vollende die Reise.

Goethe.

STOLICA.

I.

BAL W ZAMKU.

Z zamku wiewa chorągiew królewskiej bytności.
Cesarz na przywitanie, przyjazd cesarzowej,
Daje ucztę wspaniałą, wielki bal maskowy:
Na bal zewsząd ciekawych tłumy jadą gości.
W podwórze oświecone, jak błędne komety
Wpada tysiąc powozów — jeden drugi goni,
Przytem krzyk — kół warczenie — dzikie rżenie koni —
Dzwon odwachu, żołnierze, panowie, kobiety,
Francuzi i Polacy, Anglicy, Moskale —
Zgiełk powszechny jakoby w rzymskim karnawale.
Schody kobiercem słane prowadzą do sali,
Dwudziestu czterch laufrów z pochodniami w ręku
Wiewają ogniem u stóp — im kto idzie dalej
Tym ich więcej — aż w końku drzwi otworzą w szczęku
I sześciu razem imię gościa zawołali.
Głos i gość wleciał nagle i każdy przepada —
Tak wrzask mocny, tak liczną balu maskarada.

Wszystko jak w czarodziejskiej suwa się latarni.
Maski w różnych kolorach, i dziwacznych strojach,

Biali — zieleni — żółci — czerwoni i czarni,
Przebrani w wieki różne, chodzą po pokojach;
Ten w żelazo okuty z oszczepem u boku
Waży się w śmiałym, mocnym, niezachwianym kroku,
Tuż przy nim Pers ubrany w kaszmiry bogate,
Tamten znów oblókł dworu francuzkiego szatę,
Lub trubadur zaśpiewa słuchać ballad chcącym,
O kochanku nieszczęsnym, o kochance drogiej;
Przy śmiertelnych boginie, bogi i półbogi.
I oko widza błądzi między mask tysiącem
Jako śród elizejskich różnorodnych cieni,
Którzy jakkolwiek różni — do nieba stworzeni.
Tem niebem cesarz dzisiaj — on gwiazdą Syonu,
Jemu chcą służyć wiernie do samego zgonu.

Wtem zagrzmiała muzyka — trzask drzwi — cesarz wchodzi!
Jak w kościele gdy boskie podnaszają ciało,
Tak zmilkli wszyscy razem — tak się cicho stało.
On jeden był bez maski; bo jemu się godzi
Pokazywać wszem w obec i twarz swą i czyny;
Cały kraj prawa swoje czyta z pańskiej miny.
Twarz jego państw obszernych żywym barometrem,
Gdy brwi zmarszczy — Jowisza brwią pioruny budzi,
I jeźli Piotr był wielkim, on krok ma nad Piotrem,
Tamten brody ciął ludzkie — ten głowy tnie ludzi!
Dziś łaskawy — za rękę wiedzie cesarzową —
Uśmiechnął się — bal cały odetchnął na nowo!
Dwóch tylko ludzi do stóp pana się nie tłoczy—
Obadwa w czarnych maskach, w płaszczu zawieszonym,
Widocznie pogardzają wielkością i tronem
Bo ku sobie ich ciągle obrócone oczy,
I coś mówią pocichu — żyć muszą w przyjaźni
Kiedy na społeczeństwo — zimni — nieuważni —
Czasem nagle zamilkną — znak im pewnie dano —
Z pośpiechem wstają nagle, i znowu przystaną
I znów coś jeden mówi — «Siedem lat w więzieniu?»
«Tak jest — któż ujdzie kiedy swemu przeznaczeniu!
«Ale widzisz ten przepych — tę dumę — tę postać

«Widziałżeś wojska jego, którym rozkazuje?
«Patrz, na te piersi biedne — on światu panuje!
«A z tej ducha przepaści nie mógł nic wydostać!
«Czuję całą moc w sobie — i wyższość nad niemi!
«Gdybyś wiedział com cierpiał — śród wilgotnej ściany
«Ściemnionego więzienia, okuty w kajdany
«Leżałem lat trzy blizko — łoże kawał ziemi,
«Strawą chleb, woda, była — i nic nie wydałem!
«Przenieśli mnie gdzieindziej — pokój był obszerny
«Ale w pokoju ciągle noc i dzień, oddźwierny
«I sześciu drabów stało — nocą nie sypiałem,
«Bo cześć świec zapalonych wnieśli co dnia z mrokiem
«I jak stado drapieżne za umarłem ciałem
«Tak oczy drabów, światła, za mem biegły okiem,
«I tak lat dwa przeżyłem i nic nie wydałem,
«Później znów loch zamknięto nie widziałem słońca
«Ani świec, ani ludzi — ciemności zamknięto.
«Dni okropne, bez światła zdały się bez końca
«Sznurem mi chleba kawał i wodę zsyłano
«W nocym tęsknił do rana — do nocy znów rano,
«Bo gdym usnął noc była — później w jakieś święto,
«To święto bydź musiało, ktoś nagle wszedł do mnie
«Ze światłem w ręku słabem — zrazu mówił skromnie
«I prosił o wydanie, i płakał nademną,
«Lecz gdym milczał, zakrzyknął z gniewem i zapałem
«Żem wiecznie potępiony. — I znów było ciemno
«I wszyscy mnie odeszli — i nic nie wydałem!»

Skończył — słuchacz już w własnem dumaniu zagrzęzły
Widać myślom się zwierzał — i myśl go uniosła
Do reszty stargać duszy narzucone węzły.
Wypłynąć chciał na ocean wolności, swobody,
Wznieść maszt większy, uderzyć z całą siłą w wiosła,
I bujać jak po niebie buja orzeł młody —
Stanęły mu w pamięci ludzie i narody,
Gdyby on je mógł zbawić! — tak myśląc wzniósł ręce,
I kiedy głowę podniósł chociaż w czarnej szacie

Jemu się należały godności książęce
On w duszy — na wolności zasiadł majestacie!

Obudził się nakoniec — kończ, kończ» rzekł z pośpiechem
«Twoją powieść — jam prawda — bo wrzawa i tańce —
«Kiedyś wyszedł?» — Przed rokiem uznany niewinnym»
«I odtąd?» — «Myślę równo, nie liczę różańce.
«Słuchaj, nieczynność bracie jest największym grzechem,
«I tobie, tak jest, tobie potrzeba bydź czynnym.
«Dziś jeszcze — chcesz ze mną? — godzina już bliska
«Naszych schadzek, brat brata z przyjaźnią uściska
«Rękę twoją!» — «Tę daję» — Muzyka balowa
Zagłuszyła ostatnie nieznajomych słowa
I znikli — tak dwa listki lżejsze do polotu
Z tysiąca które drzewo otrząśnie w jesieni
Lada wiatrem powiane, rwą się bez powrotu
I popłyną tam gdzie je spólny wiatr pierścieni.

II.

ZWIĄZEK.

Śniegiem ziemia pokryta, noc jasna i mroźna.
Z szafiru niebios gwiazdy, jakby pełną dłonią
Wysypane brylanty w szatę nocy wbito,
Roziskrzone świeciły — pora była późna —
Śnieg błyszczał — w spiż zegary czasami zadzwonią,
Ulice puste niby z wód wyschłe koryto.
Gdzie niegdzie tylko słychać chód krokiem mierzonym
To szyldwach z bronią w ręku głucho się przechadza,
Albo gdy rond nadejdzie, lub policyj władza,
Do przeglądu żołnierzy, woła głośnym dzwonem.
Czarno sterczały domy — jak w księżyca blasku
Pompejum wygrzebane z popiołu i piasku.

W jednym tylko coś miga na bocznej ulicy,
Słychać szmer jakiś w górze, i światło od świecy
Łuną z okna wygląda choć je w głąb wciśniono,
Choć okno czarną jakąś opięto zasłoną.
Tam idą dwaj nieznani — przyszli — patrzą wszędzie —
Cicho — nikt ich nie zoczył — więc jeden w dłoń klaśnie —
«Hasło» — ktoś pyta z sieni. — «Jest, było i będzie» —
«Dobrze» — drzwi się otwarły — Czy są? — wszyscy właśnie»
Tak mówiąc znowu mocne zatrzasnął podwoje
Ręką wskazał — i w górne wiedzie ich pokoje.

W niezamieszkałej dawno, sali wielkiej, pustej,
Zwykły stół był na środku — krzyż czarny na stole
A przy nim osadzeni związkowi w półkole.
Milczenie głuche w sali — trwożliwemi usty
Nikt nie śmiał ruszyć wprzódy aż doszedł z pewnością
Czy sami bracia tylko między liczną gością;
Bo dzisiaj wielkie rzeczy mają wnieść na radę
Koniec mąk — wolność kraju ciemiężcom zagładę!
Tak więc nim do słów przyszło, każdy wzrok badacza
Podnosi na przytomnych i w koło zatacza
Każdy chciwy znać drugich, ich myślenia sposób
Ściga oczy, i okiem maca duszę osób.

Wtem drzwi się otworzyły — wszyscy wzrok podnieśli
Ku drzwiom — drzwi znów zamknięto — dwaj nieznani weszli.
Maski czarne obydwom taiły oblicza;
«Kto jesteście?» — najstarszy zawołał śród grona,
«Ja» — jeden z dwóch odrzecze — «między was się liczę,
«Ten chce bydź policzony» — tu twarz odsłoniona
Stwierdziła mówcy słowo — skłoniono się nisko.
«Bracia!» — rzekł dalej przybysz — «on krew i pieniądze
«Niesie w darze ojczyznie, dar ten godnym sądzę,
«Wacław jest imie jego — znajome nazwisko.
«Bracia — dajcie mu w związku narad wolne krzesło
«Niech ja pierwszy uściskiem bratnim go przywitam.»
Gdy skończył — wiele głosów o przyjęcie wniosło —
«Dobrze więc» — rzekł najstarszy — «wprzód jednak przeczytam

«Rotę przysięgi naszej którą wykonano.
«Młodzieńcze — ot znak krzyża — zegnij twe kolano
«Rękę podnieś do góry i słowo po słowie
«Powtarzać za mną będziesz w następnej osnowie:»
Umikł — wziął księgę — wszyscy powstali za stołem.

«Przed rzeczą nieznajomą, bić nie umiem czołem,
«W kościele jednym tylko gnę kolano moje,
«Przeczytaj a zobaczę» — tak Wacław powoli
Pewnym głosem i z śmiałą odrzeknął postacią.
Ta mowa niespodziana — jego czarne stroje
I twarz — wszystko zdziwiło — choć więc między bracią
O wyjątkach zdań mnóstwo — każdy dziś zezwoli —
Przeczytano wprzód rotę z związku czarnej księgi,
I Wacław z chęcią słowa powtórzył przysięgi.

Po skończonym obrządku do rad przystąpiono,
W bliższe, węższe półkole skupiło się grono;
A najstarszy wskazując ręką na swe łono,
Wzniosłszy do góry oczy, tak mówić zaczyna:
«Patrzcie bracia na ten włos, siedemdziesiątletni
«Starzec mam życia mało — lecz jeźli godzina
«Nie wybiła mi dotąd, chwilę pożyć wolno
«Chciałbym dłoń moją jeszcze podnieść nieudolną
«Na obronę praw naszych — a wtenczas mi zetnij
«Głowę boże — a wtenczas niech olśnią te oczy,
«Niech sam wróg krew niewinną po ziemi rozbroczy,
«Ja będę najszczęśliwszy! — Mnie prawda pacierze
«Albo psalmów Dawida odświeżone żale
«Bardziejby w wiek przypadły — niż mowy — zachęty,
«A przecież słowa moje dziś od Boga dzierżę,
«Bóg raz jeszcze to serce roznieca w zapale.
«Mówić — prawo jest moje — obowiązek święty!
«Słuchajcież tedy bracia! — codzień z słońca wschodem
«Okropności zwiększają — pełne są więzienia
«Ofiar, niewinnych ofiar jak syn Abrahama.
«Dzieci nam zabijają — z niemi ród za rodem
«Ojców w kajdany kują — giną pokolenia —

«Ledwie że ziemia pusta ostoi się sama,
«Prawa nasze zgwałcone jako kiedyś ludu
«Wybranego od Boga — podłość, nicią złotą
«W tkankę ojczystej sukni, podstępem się wdziera;
«Woła lud i ja wołam wszechmocnego cudu,
«Wołam co dzień do Boga, że niewinność gniotą
«Że lud jego — że naród — ojczyzna — umiera —
«Bóg cudów dziś nie czyni — a więc własnej sile
«Poruczeni jesteśmy — ratujmy — czas jeszcze,
«Wkrótce zapóźno będzie — bo znaki złowieszcze
«Wróżą zło — krzywd już tyle — i ofiar już tyle
«Ratujcie bracia moi!»

WIELU Z SPISKOWYCH.

Zemsta wrogom naszym!

JEDEN Z NICH.

Łukasiński w kajdanach, Dobrogojski, inni —

DRUGI.

Tysiączni, naszej ręki wołają niewinni.

TRZECI.

A więc czego się wahać — przetnijmy pałaszem
Ten węzeł który żadne słowo nie rozprawi,
Czwarty półk jest za nami — cesarz w naszej sieci!

CZWARTY.

Jutro więc —

PIĄTY PRZERYWAJĄC.

Niech się słońce w zachodzie zakrwawi!
Niech dłużej niż codziennie, szkarłat zorzy świeci —

WIELU RAZEM.

Śmierć tyranom! —

INNE GŁOSY.

Śmierć z hańbą!

Z GRONA JEDEN który milczał dotychczas.

Słowo — bracia moi!
Zapał was za granice słuszności uwodzi;
Bez doświadczenia majtków burza niepokoi,
Bez sternika rozumu często błądzą młodzi.

WIELU RAZEM.

Sternikiem naszych czynów — zapał nasz i serce!

POPRZEDNI.

Zapał słuszny rozumu nie ma w poniewierce,
Więc słuchajcie rad moich — słowo i nic więcej.
Chcecie czynów — a z działań czyż pewne wypadki?
Chcecie czynów — i śmiałych — a ze stutysięcy
Ledwie się jeden uda, i ten jeszcze rzadki.
Cóż tedy! — broń zachwycić — zabić — zginąć łatwo,
Ale cóż po nas będzie — co z żonani, dziatwą,
Co z ojczyzną jeżeli sprawa chybi celu? —
Nas tu mało — lecz w kraju, w potomności wielu;
Tym wszystkim miecz wrazimy nieuważną dłonią,
Tych wszystkich zabijemy niedojrzałą sprawą.
Pytam więc tych co dzisiaj za czynami gonią,
Kto im nadał zabijać, i mordować prawo?
Nikt mi nie odpowiada? — milczą wszystkie głosy,
Więc ja wam chcę odsłonić kraju przyszłe losy:
Zginiemy: — to na wieki — jak wał jeden ginie
Gdy szturm morze rozsadzi, wiatr tysiąc napędzi,
Porwiemy się i zginiem, jak ów głos łabędzi,
Który dźwięczy i kona w tej samej godzinie.
Wojska ich niezliczone — a nasze orszaki
Garstka słaba — skarb u nich — u nas skarbu nie ma.
Cesarz dwie części świata w dłoni swojej trzyma,
Skinie — a zewsząd lecą pod cesarskie znaki
Nie żołnierze — narody! — tak, narody całe.
My prawda rękę mamy, serce mamy śmiałe,
Ale cóż jeden znaczy środ licznych zastępów?
Skowronkiem jest — orszakiem wytropiony sępów
Wywinie się do góry — zaśpiewa — i padnie!
Przyszłość jak morze zdradna, burzę chowa na dnie;
Człowiek jak majtek często, czas nagli do biegu,
Uderzy raz dwa wiosłem, odbije od brzegu,
Aż łódź chwiać się zaczyna — wiosło pada z dłoni,
A wały rozpienione w kształt zbieganych koni,
Łódź, majtka, w mgnieniu oka mokremi kopyty
Przelecą — popchną na dno — i wbiją w otchłanie —
Niostrożny! on marzył wód podbić błękity
A jak błoto uliczne zdeptanym zostanie!

Bracia! tak my zginiemy, jeźli nieroztropnie
Myśl wasza celów swoich, i zamiarów dopnie.
A z resztą gdzie szlachetność? — Który Polak w domu
Zdradził kiedy gościnność? — śpiących rzezał mieczem?
Dotąd życia wziąźć zdradą nie umiał nikomu,
Myż tylko wyrok hańby na siebie wyrzeczem,
Myż gościnność Polaka zhańbimy na wieki?
Cesarz nie wyszedł dotąd z świętych praw opieki,
Bęben jeszcze nie wyciął hasła krwawej wojny,
Jestem pewny, jak w Moskwie, spać może spokojny,
Za odroczeniem wszystkich planów śmiało radzę!»

Skończył — i usiadł w zwykłej rozsądnym powadze,
Oczekując w milczeniu związku odpowiedzi.
Dano znak głosowań — z rzędu jak kto siedzi,
Głos swój wznosi z kolei, a w sprawie tak ważnej
Każdy w myślach rozumny, zimny i poważny.
Zbierają kryski — Wacław jeden wstrzymał zdanie;
Gdy nagle jakby duchem obudzony bożym
«To on!» krzyknął i z krzesła gwałtownie powstanie,
I rzucił okiem swojem jak zabójczym nożem
Na mówcę poprzedniego — «To on» — dodał znowu,
«Znam się dumny podstępco!» — «Co za on?» — szmer w koło —
Żaden nie wie jak wierzyć dwuznacznemu słowu —
«Znać się dawniej musieli» szeptano po cichu.
«Może jakie zatargi, kłótnie przy kielichu,
«Bo obydwóch wzrok gniewny, zachmurzone czoło»
Tak szeptali i zmilkli. — «Jutro» — rzekł nareszcie
Oskarżony — «Pojutrze — znajdziemy się w mieście;
«Dziś do kłótni czas nie jest, czas nie był» — wstał z krzesła
I Wacław; widać obu jedna myśl wyniesła —
Pobiegł spiesznie — gdzie poszli! — śledzą ich ciekawie,
Noc obydwóch zakryła — czyliby na jawie
Jeden z nich był czem innem i w sercu czem innem?
Czyby chciał zdradzić braci? — przecież od zawiązku
Pokazywał się zawsze tak gorliwym, czynnym!
Dziś tylko — długo bracia rozmawiali związku,
I radzili co czynić, aż gdy kół turkoty,

I miganie się świateł i stangretów wrzaski
Dały znać, że już z balu wyjeżdżają maski.
Związkowi tajemnemi — wynieśli się wroty,
Każdy płaszczem obwinął zadumane lice
Wszyscy się w różne miasta rozpierzchli ulice.

III.

OBRAZY.

Gdzie mnie wiedziesz? — stolica została za nami,
Księżyc schodzi z niebiosów — zorza nie daleka —
Kiwasz i kiwasz ciągle — czy mnie wzrok nie mami?
To smentarz — grobów pełno — z trumien zdjęte wieka,
Groby porozwalane — oszukańcze podły!
Słowa twoje bezczelne serca mi nie zwiodły,
I strachy niczem dla mnie — znam się ja z strachami!

NIEZNAJOMY.

(Siada na grobowcu, bierze duże trupie głowy i bijąc jednę o drugą poważnym głosem mówi.)

Geniuszu! kiedy burzaześle wiatry mściwe,
I morzem ognia niebo się zapali
Chcę jak rumaka schwycić fali grzywę
I twojem skrzydłem popędzić na fali,
Niechaj nadpowietrzne żagle
Serce moje — duszę wzmogą;
Chmury zgniotę moją nogą
I do jarzma wiatry znaglę*).

(Do Wacława.)

Tyś mój pan — jam twój sługa!

WACŁAW.

Jakto — co to znaczy?

*) Z pierwszej części.

NIEZNAJOMY.

To moje wieczne prawo — tak jest, nie inaczej —
Moje prawo, mój w końcu obowiązek święty,
Temu się z chęcią oddać w poddaństwa usługi,
Kto jak Mojżesz, jak z resztą wielki prorok drugi,
Przeszedł ludzi — w swej duszy boski, niepojęty —
Jestem na twe rozkazy!

WACŁAW.

Pochlebco nikczemny!
Myślisz, dumę podniosłszy, w obłok wzbiwszy myśli
Duszę prędzej ujarzmić — stopić ze złem ściślej —
Nie Szatanowi — będę przyjazny, wzajemny!

NIEZNAJOMY.

Krzywdzisz mnie, bardzo krzywdzisz!

WACŁAW.

Znam ciebie dokładnie.
Człowieka postać wziąłeś, ale w duszy na dnie
Piekło całe — tem parzysz kogo schwycić łatwo;
Znamy się już oddawna — czy nie pomnisz o tem?

NIEZNAJOMY.

Widziałem cię dwa razy — raz pod karczmą — potem —
Nie — wprzódy — gdyś z kościoła miedzy mnogą dziatwą
Na czarnym twojem koniu przez wieś pędził cwałem,
A raz trzeci dziś ciebie na radzie spotkałem.
Więcej nigdy, zaręczam!

WACŁAW.

By poznać, dość wiele,
Że prędzej ogień z wodą w jedno zlejesz ciało,
I czucie bijącego serca z zimną skałą
Niźli nas dwóch pospołu.

NIEZNAJOMY *z udaną pokorą.*

W jakim my rozdziele,
Wiem za nadto — jam sługa — tyś wszechmocnym panem.
Boli mnie tylko jedno — że nad moim stanem
Masz wątpienie — przysięgam — nie jestem Szatanem,
Chcesz dowodów? — Na piersiach, patrz, krzyż święty wisi
Chcesz abym się przeżegnał? — Żegnam się w trzy znaki
Ojca, syna, i ducha — czyż może bydź jaki

Dowód większy — ten szkaplerz darowali mnisi,
Mam i koronki z sobą — nabożeństwa księgę.

(do siebie)

Dawno te wszystkie znaki straciły potęgę!
Zewnętrzność martwa kiedy dusza jej nie grzeje,
Ludzie iuż braćmi memi — i ty — mam nadzieję
Śmiałku, nim ty zostaniesz!

WACŁAW.

Jeźliś katolikiem
Jak mówisz, czemuż język twój czarta językiem?
Najhaniebniejsze rady z ust twoich wychodzą.
Pamiętasz rzeczy któreś chłopstwu niewinnemu
Kredensował bez liczby? — Czemu, powiedz czemu
Ludzi nieobeznanych z myśli wartką wodzą
Rozumowaniem wichrzyć! — Czemu dzisiaj znowu
Szatański dając stempel i myślom i słowu
Rozchwiałeś w mgnieniu oka wszystkich wolę świętą?

NIEZNAJOMY.

Jeźli śmiało nie poszło jak było zaczęto,
Widać że sprawa jeszcze niedojrzałą była.
Kiedy co w czasie leży, tego żadna siła
Wstrzymać nigdy nie może.

WACŁAW.

Lecz opóźnić może.

NIEZNAJOMY.

Chwilę tylko. — Niech całą obronę rozłożę.
O chłopstwie mi wspomniałeś. — Jak od cedru fiałek
W królestwie roślin rósny, tak różni są ludzie.
Czyliż wart który z chłopstwa kłótliwego śmiałek,
Ażeby mu o wiecznym mówić, prawić cudzie,
Jak o piątem z przykazań żołnierzowi w boju?
Wszedłem prawda, jeżeli pomnisz, do pokoju
W innym czasie — śpiewali piosnkę narodową
Ale właśnie ten śpiew mnie rozgniewał na nowo.
Ciebie widziałem smutnym, i rozpaczy bliskim —
Widziałem — twego ducha, jak nowym rozbłyskiem
W nowe się światła stroił, w nowe tajemnice.

Szczycić się będę wiecznie jak się dzisiaj szczycę
Żem cię wtenczas mógł przejrzeć, i wielbić tajemnie;
Zdawałeś mi się wielkim — tak wyższym odemnie,
A przecież serce moje, twe serce odgadło!
W natchnieniu, w snach uroczych — nie marzyłem cudniej!
Rozchwiali mi sen cały — ludzie w sercu brudni!
Łzy pianstwo zastąpiło — śpiew ojczysty — jadło.
Gniewny, nadzwyczaj gniewny, chciałem im przyznaję
Myśl zwichrzyć i umęczyć — dla tego im kraje
Inne, obce chwaliłem — dla tego im pieśni
Śpiewałem nieprzystojne — i gdybym miał koło,
Koło na myśli zawrót — byłbym ich wesoło,
W zawrót puścił, i kręcił, i nie wstrzymał wcześniej
Ażby ich myśli nędzne wartkości nabrały.
Jeźli to grzechem, oto zbrodnia, grzech mój cały;
Ty mnie potępić możesz, inny nie ma prawa.
I ja cierpiałem w życiu, i mnie praca krwawa,
Zmęczyła w mej młodości, zgubiła niestety!
Straciłem wiarę wcześnie — książki mnie znęciły
W książkach ostatnie ducha wytępiłem siły,
A świata roskosz płocha — miłość i kobiety
Obaliły do szczętu — oto życia powieść
Krótka — lecz dostatecznie powinna ci dowieść
Czem byłem — czem być chciałem — czem jestem niestety!
Nieszczęśliwemu jedno zostało w podziale
Wyższych wielbić — o siebie z wzgardą nie dbać wcale!

Wichrzę się z dnia na drugi, bez zamiaru, celu,
Gdzie przyjdę, rzadko znajdę przyjaznych mi wielu,
Bo trudno na tym świecie o szczerych przyjaciół. —
Tu inaczej — tu zaraz do tajemnych związków
Wprowadzony zostałem — z których — później — z czasem —
Przyznaję, gdybym myśli, serca ich był zaciął
Cożby nie przedsięwzięli? — Lecz z suchych gałązek
Drzewo się nie urodzi — nie rozrośnie lasem.
Tak więc, to com powiedział — jest — było koniecznem,
Jak czas który ma nadejść kołowrotem wiecznym!
Przyjdzie — przyjdzie zapewne — i ja zdanie zmienię;

Ale to całe zginąć musi pokolenie
Z tego już nic nie wzrośnie!

WACŁAW.

W przyszłych losów urnę
Chwytasz ręką zbyt śmiało.

NIEZNAJOMY.

Bo przejrzenia górne,
Zwiastowanie poprzedza.

WACŁAW.

Bóg świat stworzył wolą!

NIEZNAJOMY.

Ale i prawa z światem — podług tego prawa
Słońce choć codzień ginie, codziennie powstawa;
Planety i gwiazd tysiąc koło słońca kolą,
Człowiek pewnym sposobem z dzieciństwa wyrasta,
Narody jednym trybem powstają i giną
I Polska, kolebana od rodziny Piasta
W młodości ciało swoje, Elbą, Dnieprem, Dźwiną,
Jak potrójnym łańcuchem opasała silnie.
W trzech stolicach: Królewcu, Krakowie i Wilnie
Orzeł z zamku powiewał — a ręką rozrosłą
Ująwszy flag tysięcznych sternikowskie wiosło,
Dwa morza zhołdowała — północ i południe!
Po tej wiośnie, niestety, — nieszczęśliwe grudnie,
Siły jej —

WACŁAW.

Dość już tego — wam zimnemi słowy
Kredensować i bluzgać — gdzie czynić wypada,
W wielkich rzeczach nie z myśli, z serca płynie rada.

NIEZNAJOMY do siebie.

Nie trafiłem, choć przecie jako szczur grobowy
W jego się ciało, myśli, i duszę wżerałem,
Spróbujmy teraz z większym przemówić zapałem.

DO WACŁAWA.

O gdybym klucz mógł znaleźć do serca podwoi!
Pokazałbym ci ducha ludzkiego narodu!
Dwa lata człowiek tylko ma serce za młodu,
Potem i w myśli nawet działania się boi.

Tobie ludzka przewrotność ledwie w słabem echu
Zdaleka znana była — lecz rozpatrz się bliżej!
Egoiści, obłudni, głupcy i nieszczerzy
Rozpatrz się tylko bliżej, a pełen pośpiechu
Wciągniesz skarb twojej duszy do wiecznych kryjówek! —

(Jakoby myśl mu niespodziana przyszła.)

Ha!! — czy wierzysz w magnetyzm?

WACŁAW.

Nie widzę w tem grzechu!

NIEZNAJOMY.

Zmianą miejsca i czasu, dawniej czarem zwano,
Dziś głupstwem, przesadzeniem nazywa półgłówek.
A przecie, czem dla duszy, wieczór, noc lub rano?
Czem dla myśli granice? — Kiedy w mgnieniu oka
Przeszłość w czas teraźniejszy zmienić dusza może,
Przez najciemniejsze do gwiazd przedrze się bezdroże
I w przyszłość strzelić umie źrenicą proroka.

WACŁAW.

Nie rozumiem dotychczas do czego to wiedzie.

NIEZNAJOMY.

Napomknąłem jedynie, że nie zawsze czarem
Co z czasu albo miejsca mija się rozmiarem.

(Do siebie.)

Dziś wszystko ich sposobem tłomaczyć wypada!
Ale od czegóż zacznę? Niech na samym przedzie
Serce mu zajmie piękność nieszczęśliwa — blada!
Bądź co bądź — ja od czynów odstraszyć go muszę!

DO WACŁAWA w ciągu poprzednim.

I duszą ma swe oczy i przegląda w duszę!
Umiem magnetyzować!

WACŁAW.

Cóż z tąd?

NIEZNAJOMY coraz prędzej.

Poznasz w chwili
Tych, którym życie twoje chcesz ponieść w ofierze.
Ha! już mnie pierwsze drganie magnetyzmu bierze!
Na ciebie je przelewam — niech w kształcie motyli

Co prędko bawią oko i nigdy nie znudzą
Obrazy się mijają — rzucam ręką na cię.

(Robi magnetyzmu znaki.)

Raz pierwszy, drugi, trzeci, w białej, pięknej szacie
Czy nie widzisz osoby?

WACŁAW w letargu.

Nieznajomą, cudzą —

NIEZNAJOMY.

Ja przez mgłę tylko widzę — bo oko i ucho
Stępione już jest moje!

WACŁAW.

Głosy jakieś słyszę!

NIEZNAJOMY z ironią.

Wielki duchu, ty w słowa możesz ubrać cisze!
W moich piersiach jedynych, w wrzasku nawet głucho.

(Obrazy różne pokazują się jeden po drugim.)

OBRAZ PIERWSZY.

(Młoda dziewczyna w bieli ubrana na łóżku spoczywa, przy niej trzy inne osoby.)

GLOS DZIEWCZYNY.

Płyńcie, łzy moje płyńcie, ostatki pociechy!
Gdy się dzień zabieli,
Ujrzycie lica blade w małżeńskiej pościeli,
Z niemi serce zastygnie, i ciężkie oddechy
Z ostatnią łzą skonają — pożałujesz córki
Smutek ci marszczki gniewu z czoła wypogodzi
Ale córki nie będzie, córki nie odrodzi —
Nie szukaj jej do koła, na rzeki i wzgórki
Nie wybiegaj, i drogi nie krzyżuj daremno
Tam gdzie ja będę ojcze — tam wieczyście ciemno
Słońce nigdy nie błyśnie, ani dróg tam nie ma.
Bez celu, bez dążenia, wycieńczone duchy
Chodzą tylko i milczą i myślą — i słuchy
Wyciągają ciekawe — i trupa oczyma
Gonią w ciemności jakieś obce, dziwne ślady!
Ale tam same tylko szkieletów pokłady.
Jeden chce wyrzec złowo, a słowo w paszczęce
Wypalonej jak w puszczy ciemny wiatr zawieje,

Drugi wyciąga zeschłe, potrzaskane ręce!
Lecz próżno gonią pamięć, stracili nadzieję.
(Mocniej.)
Ha! jakoż obca, nagła, nieznana mi trwoga,
Jak dreszcz śmierteluy wszystkie żyły wskroś przenika
Ojcze, ojcze, ach ojcze! — oko się zamyka
Tracę blask — tracę życie i Boga i Boga!
(Po pauzie.)
Kto woła Ludmiłę!
Toś ty o duszo moja — ty serca aniele
I ty tutaj? — tak zimno, tak smutno w kościele
Ty mogłeś żyć — twe życie tylom drogie — miłe —
Ale nie tyś winny!! —

Dla czegoś mnie nauczył że nad ojca, matkę
I ciebie kochać można? — tyś mi tę zagadkę
Która w postaci obcej jak motyl zdrętwiały
W głębi leżała serca — wskrzesił, rozgrzał okiem,
Stałeś się wróżką duszy i szczęścia prorokiem
Pokazałeś mi z ziemi nieba okrąg cały,
A dzisiaj —

Dziś dla mnie ślubny wieniec z rozmarynu plotą!
Jutro, o boże wielki, skronie mi uwieńczy —
Tak chmurę czasem zwiąże żywa wstęga tęczy
Póki wiatry jej kształtów jasnych nie rozmiotą!

Słyszysz Ludmiło! dzwonią — gdzież jest ślubna szata
I myrtu gałązka —
Białą mi suknię dajcie, bieluchną sukienkę
Lekką, żebym ją w wieczność, za tysiączne lata
Unieść mogła — nie dobra — za ciężka — za wązka —
Lekką dajcie i białą do tego sukienkę!
Księże wiąż prędzej ręce — czy chcesz tego męża?
— Wy zawsze woli chcecie niedorzeczni księża!
Wiąż prędzej mówię ręce — zimna twoja stuła
A dziewczyna ma serce — a dziewczyna czuła —
Mój ojcze — słuchaj córki — chmurne twoje czoło!
Już po ślubie, i czegóż stoicie w około?

Dalej w weselne tany!
Ojciec łzami zalany
Pan młody ściska usta — gdzie ojcze córeczka?
Księże gdzie twa owieczka?

Dzwonią — dzwonią — i dzwonią? Ktoś umarł z okolic
Kto umarł? Jakiś obcy, nieznajomy pyta.
Toć zobacz! — Patrz — dziewczyna kirem jest okryta,
A kir nie jest kamieniem — ni przyrosłym do lic.
Odkrywa i zakrzyknął — czegóż krzyczysz bracie
Czy tę biedną dziewczynę, czy Ludmiłę znacie?
Umarła gdy ślub brała
Nazbyt, nazbyt kochała!
A on ściska i płacze i tuli do łona!
Ale darmo zapóźno — nie żyje już ona!

DOKTOR.

W malignie dywaguje —

OJCIEC.

Ale gdzież w malignie,
Szał romansów — kochanie — oto jej nieszczęście.

DOKTOR.

Puls jej coraz wolniejszy — serce bardziej stygnie —

OJCIEC.

Ludmiło słuchaj — wiecznie zerwane zamęźcie,
Ty sama sobie męża obierzesz do woli.

DOKTOR.

Puls mocniejszy — przychodzi do zmysłów powoli.

LUDMIŁA budzi się.

Gdzież jestem? — Toś ty ojcze — czemuś nie wesoły?
Ja w tej chwili słyszałam mówiące anioły!
Trzech ich było — mówili — ah o czem — nie powiem.
Jeden wziął suknię ślubną — tę samą złoconą
Którą mam — drugi rączką obdarzył mnie zdrowiem,
Trzeci wzbił się do góry, zwabił większe grono
I wszyscy mi śpiewali — (z bojaźnią) ojcze, wszak ja żona?
Chcę bydź — będę — tyś kazał — głowa moja głowa!!

INNY GŁOS.

Tylko jej dobrze pogróź a wnet będzie zdrowa.

Udanie! — sztuka kobiet! — a ty przyjacielu
Który żagle popuszczasz kaprysom dziewczyny...

TRZECI.

Jak wieść gruchnie — przepędzi dom wojewodziny,
Księżnej pani i innych uszu dojdzie wielu,
Utracisz sławę twoją, dotąd utrzymaną,
Wiesz dobrze jak się wczoraj z takich rzeczy śmiano.

DOKTOR.

Być może — ale jednak podług Hagemana...

GŁOS KOBIECY.

W ustach sina — na twarzy już blada jak ściana,
Księdza, księdza co prędzej. —

DOKTOR.

Zapóźno umarła!

WACŁAW z uniesieniem.

Krzyczcie ze mną co mocy, co siły, co garła!
Biada, ah biada ojcom, gdy dzieci zabiją!

NIEZNAJOMY dając znak.

Giń obrazie — niech obłok przepaścistą szyją
Połknie senne zjawienia —

(Do siebie.)

Rozdrażniłem serce
Teraz tylko iskierkę rzucać po iskierce. —

(Robi znaki.)

OBRAZ DRUGI.

(Pokój — kilku wyższych officerów grają w karty.)

JEDEN Z NICH do ciągnącego bank.

Piątka — czwórka i wygrywa dziesiątka —
Cały bank pękł od razu; niech żyje ojczyzna!
Od ran, głodu, niewygód, lepsza to pamiątka,
Z resztą każdy czy volens czy nolens mi przyzna
Że złoto nie jest słowem.

(Chowa pieniądze.)

DRUGI.

Żarty, wolne żarty
Ale teraz bank ciągnij! —

POPRZEDNI.

Nie gram więcej w karty!

INNY.

Rewanż nam dziś dać musisz.

POPRZEDNI.

Służba przed zabawą,
Jutro na mnie przypada, żegnam was koledzy.

JEDEN z przegranych.

Otóżto parafianom wdawać się z Warszawą,
Przyszedł, zabrał i poszedł prawie bez mej wiedzy.
To brzydko — wam odnoszę pod sąd czyn tak czarny!
Postąpił nieuczciwie —

WIELU.

Honor militarny
Nic o tem nie wspomina, grać każdemu wolno.

POPRZEDNI.

Ale przecież grać można z wiarą zabopolną
I z uczuciem, nie ślepo.

JENERAŁ.

Gra jest jako wojna;
Żołnierzowi nie wchodzić w cele i zamiary.
Na posłuszeństwie ślepem stoi siła zbrojna,
Gdy podniosą sztandary, stawaj pod sztandary
Uderzą w bęben — bij się — śmierć, rany, niewola
Wszystko niczem — grunt rzeczy: nie uchodzić z pola.

PUŁKOWNIK.

I honor swój zachować! — dla tego z mej strony
Nigdy nie zaprzestanę potępiać legiony.
Z czegóż powstały? — z zbiegów — zbieg, zdrajca, toż samo
Gdy służy się królowi — cześć, honor wojskowy
Żąda abyś go bronił do deski grobowej.

DWÓCH grających z sobą.
(Jeden:)

Za pozwoleniem — kralkę twoję biję damą
I areszt.

DRUGI.
(Rozgniewany już na wygrywającego, już na mówiących.)

Mniejsza o to — mniejsza mówię o to.
Przegrałem — dobrze — u mnie kruszcem tylko złoto;
Ale tych maksym waszych, nie myślę podzielać.

Więc człowiek niczem więcej prócz nędznej machiny?
Gdy każą strzelać — musi ślepo bić i strzelać?
Ojciec do swoich dzieci? do swych ojców syny,
I te honor wojskowy — to wasze wawrzyny?

(Obraz się chmurą zasuwa.)

NIEZNAJOMY.

(Patrząc na tworzący się obraz nowy, mówi do Wacława.)

W starej gotyckiej sali zbierają się goście,
Na sześciu dużych stołach kilkaset talerzy,
Jako w sześciu okrętach, na pokładnym moście,
Żołnierzy pięćset w zbrojach snem ujętych leży.
Srebra w górę sterczące i wetów zastawy
Jak maszty podniesione żeglującej nawy
Wspinają się ze środka — a śnieżne kryształy
Malowane kosztownym, różnofarbnym sokiem,
Sypią iskry na obrus rozpostarty biały,
Jak gwiazdy kiedy błysną nieśmiertelnem okiem
Za jasnym lub w lazurze rozbitym obłokiem.
Dano znak — jak na flocie w tył zbiegłe armaty
Patrz — krzesła się ruszyły — i jak od naboju
Każde cięższe na powrót wlecze się do stołu.
Miękkie jedwabne kobiet powiewają szaty
Czy słyszysz brzęk talerzy? — wyzywa do boju —
Przyjaciel, nieprzyjaciel siadają pospołu.

OBRAZ TRZECI.

(Biesiada.)

DAMA do sąsiadki.

Jutro bal jest u księżnej.

MŁODY CZŁOWIEK do sąsiada.

Czy panu znajoma
Świeżo przyszła broszura francuzka z Paryża?

INNA GRUPA.

On został, panie hrabio, kawalerem krzyża —

MŁODA DAMA do drugiej.

Co za czułe małżeństwo — obok męża żona.

DRUGA

Widać że im nie znany obyczaj, świat wielki.

MŁODY CZŁOWIEK do towarzysza.

Nudy okropne, gdyby nie było butelki!

INNA GRUPA.

Ależ tak panie pośle — sprawiedliwość, prawo,
Jest najświętsza człowieka i ludów ustawą
Pereat mundus, fiat justicia divina!

DRUGA GRUPA.

Patrz, patrz, otóż znów swoje formułki zaczyna.

POSEŁ NA UCHO drugiemu.

Konstytucyi chcę uczyć dzieci przed pacierzem.

DRUGI.

A jak królów nie będzie? —

POSEŁ.

Cicho tylko, cicho!
Przynajmniej krząknij mocno, lub brząknij talerzem.

INNA GRUPA.

Cóż pan za książki czyta? —

DRUGI.

Jak zwykle, Woltera
To pisarz, to poeta!

PIERWSZY.

Dowcip nie umiera.

LITERACI STARZY.

W tak młodym wieku jeszcze, a już z taką pychą,
Powstaje na prawidła nieśmiertelne sztuki,
Nam odmawia talentu, zdatności, nauki,
A jego czemże dzieła?

DRUGI.

Czas wszystko obali.

PIERWSZY.

O! temu nie dowierzać — z czasem rosną mali;
I chociaż pewny jestem że on w nic zapadnie,
Jednak, tak nas pohańbić, oczernić szkaradnie
To za nadto. —

WACŁAW.

(w letargu myśląc że i on na biesiadzie, mówi do nieznajomego:)

Patrz — kielich — witajże kielichu!

NIEZNAJOMY korzystając z jego błędu.

Nie tak głośno Wacławie — po cichu.

WACŁAW.

Chcę im zdrowie zawrzasnąć, z całej duszy z serca,
Każdy zadrży jak listek, prawdy przeniewierca.

NIEZNAJOMY.

Ha! już ze złota niosą roztruchan ulany —
Patrz, patrz! — przeżył on zmianę niejednej kolei
Nad ludzi droższe takie stare roztruchany!
Ten zabytkiem jest jeszcze Batorego wieku,
W różnych on czasach różne myśli budził w człeku;
Dawniej bytu trwałego — dziś słabej nadziei!
Tak z portu migająca wysoko latarnia
Szczęśliwych, nieszczęśliwych do siebie przygarnia,
Gospodarz wznosi toast —

PAN BIESIADY w obrazie mówi.

Kielich przy biesiadzie,
W dniu dzisiejszym — jest jako myśl w słowa osadzie,
Nierozdzielny, konieczny. — Kielich z dawnych czasów
Jest jako droga wolna śród zarosłych lasów
Daleko nią iść można — któż więc zdrowie wzniesie?

WACŁAW podnosząc rękę.

Ja — kielich — do mnie — tutaj — na zdrowiu niezbywa!

NIEZNAJOMY dając znak.

Za cieniem, marą tylko ręka twoja drze się,
Niechaj na obraz cały spadnie chmur pokrywa.

(Obraz znika.)

WACŁAW obudzony.

To czary są szatańskie!

NIEZNAJOMY.

To magnetyzm zwykły;
I skutkiem przytem myśli, które świat przenikły;
W powietrzu widzę zdala, jeden obraz jeszcze.

(do siebie.)

On poetą — ostudzę mu zapały wieszcze.

OBRAZ CZWARTY.

(Sala — na środku trumna — ludzi pełno.)

NIEZNAJOMY do Wacława, tłómacząc obraz.

W sali gotyckiej znowu pełno świateł błyska,
Nie biesiadnicze przecież widzę w niej kielichy,

Na żałobne obchody zmieniono igrzyska;
Koło trumny rzędami zasępione mnichy.

Patrz — usta ma w uśmiechu — oczy lekko mruży,
Jakby do obudzenia przeznaczone z czasem,
Biały atłas pod głową a lilja przy róży
Wygląda z rozpuszczonych włosów nad atłasem.

I wiele ludzi płacze przy dziewczyny trumnie!
Trzech tylko łzy nie spuści — spoglądają dumnie —
Wyżsi oni od gminu, choć nie możni w lata.
Każdy z nich ma czcigodny tytuł literata!
Niechaj więc inni płaczą, ich pisać rzemiosłem,
Niech żołnierz z prawa życie wystawia na kule,
Oni piórem po czasie pływają jak wiosłem,
I kiedy kto umiera, oni piszą czule. —

(W obrazie.)

JEDEN Z POETÓW.

Nie zła treść do ballady.

DRUGI.

Co mi tam ballady!
Historya, to prawdziwa do kopania mina,
Alboż to nie posiada skarbów Ukraina
Litwa — Wołyń — Podole — niech więc stare dziady
Jęczą, płaczą gdy umrze znikoma dziewczyna —
Mnie innych trzeba rzeczy, wyższych lutni strojów.
Śród niepogód, zdrad, nieszczęść, walki, krwawych bojów,
Tam wiersz płynie — gdzie indziej wlecze się z oporem.
Teatrem moich marzeń są całe narody.

PIERWSZY.

Między literatami nigdy nie ma zgody,
Któryż na swe kopyto nie chce być autorem!

POPRZEDNI.

Trzeba patrzyć jak stwarza, nie na to co stwarza.

PIERWSZY.

Ależ to tym sposobem każdy co wiersz kleci,
Bajkę jaką napisze, lub powieść dla dzieci,
Byle dobrze, na imie zasłuży pisarza.
Dla czegóż tak rzadkimi wielcy są poeci?

POPRZEDNI.

Stylem dobrym, w dźwięczącym poematów rymie,
Nieśmiertelności łatwo przekazać swe imie.

TRZECI POETA.

Słuchajcie! i ja prawo mam do odpowiedzi,
Kto nie ma serca, bracia, ten próżno się biedzi
Pisać choćby wiek cały, lecz i serce mało.
Tylko ten kto w natchnieniu wiek swój porozumie,
Komu ów tajny popęd jak stworzenia słowo
W świat się cały rozłoży, rozrośnie się w ciało;
I on to ciało widzi — w samotności — w tłumie
W dzień i w nocy — i tego ciała jest połową;
Tylko ten który jako ksiądz w ubraniu świętym
Ludziom wszystkim mszę czyta przed wielkim ołtarzem,
Czy od razu pojęty — czy będzie pojętym —
Tylko ten mistrzem w sztuce — wielkim jest pisarzem.

(Obraz znika.)

NIEZNAJOMY do Wacława.

Widziałeś różnych ludzi — ciż więc powołani
Do czynów nieśmiertelnych, do myśli wysokiej,
Ciż spełnić mają stwórcy wszechwładne wyroki?
Spełnione będą z czasem — lecz słuchaj — nie raniej
Aż całe pokolenie w proch się i kurzawę
Rozsypie ręką śmierci — wtenczas boje krwawe
Jnaczej zrozumieją — honor, cześć wojskowa —
Owe bożyszcza wszystkich przejdą w pośmiewisko,
Ojczyzna, wolność, wiara, bitew będzie hasłem;
Wtenczas prawników zimnych na wiatr pójdą słowa,
Bentama, Benjaminów, zaginie nazwisko
I jak martwą tę czaszkę o kamień roztrzasłem
Ich nauka, ich formy, w zaburzonym czasie
Na prochy się rozprysną — wtenczas ludów massie
Przewodniczyć olbrzymi, wielcy ludzie muszą,
I powstaną poeci — natchnieni prorocy,
I lud jeden drugiemu pójdzie ku pomocy
A narody zostaną stwórcy jedną duszą —
W myślach tylko odmienne! — Wtenczas działać przyjdzie!

WACŁAW.

A teraz? każdy niechaj utajony w wstydzie
Ręce swe założywszy zdaleka, swobodnie,
Zimnem okiem spogląda na męki i zbrodnie!
Otwórz więzienia wszystkie, ty który w rozumie
Wieszczów natchnienia dzierżysz, i spojrzyj w więzienia,
Przybliż się do serc młodych, jeżli z przeznaczenia
Serce ci w dział przypadło, i czuć mocno umie,
Komu te serca biją! — spytaj lud prostaczy,
Spojrzyj na naród cały w smutku i rozpaczy,
Dowiesz się że czas blizko i będzie inaczej. —

(Słońce wschodzi — z miasta przybliża się orszak pogrzebowy — słychać śpiewy i modlitwy księdza.)

CHÓR DZIEWCZYN.

Nie każdy kwiat ginie w lecie,
Róża więdnie często w wiosnie,
Życie jako sen na świecie,
Ledwie zasniesz jużci po snie.

CHÓR CHŁOPCÓW.

Ojcze, za córeczki wiano
Złóż na trumnę deski cztery
I łzę w oku — żal miej szczery,
Łzy przyjęte tam zostaną.

(Ksiądz posępnym głosem odmawiając modlitwy:)

Domine exaudi orationem meam!

NIEZNAJOMY do Wacława.

Słuchaj? to tą dla ciebie, dla nas głosy wieszcze.
Raz ciebie proszę jeszcze, raz zaklinam jeszcze,
Dla miłości ojczyzny, bliźnich, i rodziny
Zaniechaj przedsięwzięcia — opóźnij twe czyny!

WACŁAW.

Jam ci się z nich nie zwierzał.

NIEZNAJOMY z zapałem.

Biada stokroć biada!
Gdy człowiek wcześnie zedrze z czasów swych zasłonę,
I widzi pod nią stare bóstwa obnażone,
Każde jak Saturn z dzieckiem — każde swój płód zjada.
Wiem o tem, wyrok wyższy i tych bogów strąca

Bo żelazną koleją pędzi w czas pierzchliwy,
Ale tylko ten wielki, ten człowiek szczęśliwy
Który śród głosów mylnych, śród wrzasków tysiąca,
Uchem duszy rozpozna przeznaczeń kół grzmienie
Wskoczy w rydwan wyroków, i zajmie siedzenie
I po czasie przejedzie jako Przeznaczenie!
Tyś w myśli innych przerósł — tyś ręką twą śmiałą
Sięgnął do pana Boga po laury, po wieniec
Tyś w myśli Bogu blizki — a jeszcze młodzieniec!
Poznaj godność twą całą — twą wszechwładność całą;
Nie brudź duszy tak wielkiej robakami ziemi.
Jak orzeł ty w obłokach wznosisz się nad niemi.
Czyń — rozmawiaj — lecz tylko z duchani świętemi;
Ludzie — niech tobie służą jak ja służyć myślę!
Rozkaż, a wszystko zrobię.

WACŁAW.

Jdź — puść mnie — dziś — teraz —

NIEZNAJOMY.

Trzeba — dobrze — lecz w sercu, w pamięci, w umyśle
Z tobą będę — i ciebie wielbić będę nie raz.
Jedno tylko mi przyrzecz — twą pomoc, opiekę
W razie potrzeby nagłej!

WACŁAW.

Tego nie przyrzekę.

NIEZNAJOMY.

Z litości chrześciańskiej — słudze i bliźniemu!

WACŁAW.

Mniejsza o to. —

NIEZNAJOMY do siebie.

Więc dobrze — smętarz moim świadkiem.
Ująłem cię sił ostatkiem,
Teraz nie wydrzesz się złemu!

(Pogrzeb się zbliża — wpuszczają trumnę do grobu)

CHÓR DZIEWCZYN I CHŁOPCÓW.

Oczki młode zwir przypruszy.
Ziemia grzmi na trumny desce
Dajmy jej po szczerej łezce
I paciorek dla jej duszy!

KSIĄDZ. (Kończąc swoje modlitwy.)
Ex ore infantium — ut destruas inimicum!
(Nieznajomy znika, Wacław zamyślony odchodzi.

IV.

ODKRYCIE TAJEMNE.

Trzy tygodnie mijały Wacława pobytu,
Gdy przedmiotem, gdy uwag ludzi został celem.
Nazwano go tajemnym prawdy przyjacielem.
Zkąd wyrosło nazwisko tak pełne zaszczytu
Trudno badać — to pewna że czasem, w zapale,
Odpowiadał na zwykłe pytania, zarzuty,
Ale częściej zamilczał, i nie mówił wcale.
Bądź co bądź — wątku rzeczy szukano dopóty
Aż długa o Wacławie rozeszła się powieść:
Mówiono w niej, o duchach, tajemnym upiorze,
O tajemniejszym jeszcze przyjaciół wyborze,
I w końcu, że czynami chce śmiertelnym dowieść
Czem prawda — że ukrytą wielkość w sobie chowa,
Wielkość duszy! — co więcej choć w nim skąpa mowa
Choć każdą myśl przed ludźmi starannie zamyka,
W obieg pismo puszczono, lub wyjątek raczej,
Zapewne z codziennego Wacława dziennika;
Ale jakim sposobem nikt nie wytłomaczy.
Tak odgłos dział jęczący gdy chmury rozbije,
Zarazem w otchłań ziemi wpada — i korytem
Pewniejszem od powietrza bo ciemnem, ukrytem,
Płynie jak rzeka bystra w przepaścistą szyję,
Aż gdzieś — uchem dybiącem, podróżny daleki
Zrozumie głos podziemny, nurt pojmie tej rzeki!

PISMO W OBIEG PUSZCZONE.

«Biada tym nikczemnikom w których duszy, jako
W stepach północnych krajów, czy słońce zaświeci

Czy wicher skrzydłem nocy z mrozem w paszczę wleci,
Zawsze głucho — samotnie — spokojnie — jednako,
Bo przyjdzie dzień jasności dla jasności powiek;
Czas nocy — jeśli w nocy duszą zagrązł człowiek!

Biada obrońcom wiary! którzy bronią wiary
Jako dawnych zwyczajów niedołężnik stary!
Ale spojrzyj w ich czyny, w ich zabiegi, cele —
Podłe, wierutne łotry, to ich przyjaciele!
Ich celem ziemskie tylko błyskotki i zyski;
Zabawą, na bliźniego rzucane pociski
A wiarą ich właściwą, ton jest towarzyski.

Widziałem ja i takich co w słowa bogaci,
W nauki jako w suknie dnia świętego strojni,
Tryb przytem pewny mając w ruchu i postaci,
Między głupimi mądrzy, szczęśliwi, spokojni.
Nigdy im niedostatek nauk nie dokuczy!,
Nigdy głód celów wyższych nie cieńczył im duszy,
Uczą drugich czego się każdy z nich nauczył!
I co dawniej słyszeli, uczniom trąbią w uszy.
Przyjdzie czas, ich nauki jako mgła na wietrze
Rozchwieją się, głos prawdy w proch ich głowy zetrze.
I Bóg wyrok pism świętych wszechwładnie dokona
Mędrzec w głupca się zmieni — głupiec w Salomona.

Biada ludziom bez serca! ludziom wiary małej,
Biada tym którzy sprawie nie uwierzą świętej!
Dusza ich — dom to z drzewa na węgle zgorzały
Od żadnego już ognia nie może bydź zjęty.
On do piekła na głownie od Boga przeklęty!»

— Słowa te tłumaczono, dziwacznie.
Jeden w nich tylko widział zapał kaznodzieja,
Drugi że Wacław pisać dzieło jakieś zacznie,
W innych przyszłej wstąpiła odmiany nadzieja,
Albo też, myśli w żywych przekształcając ludzi,
Papieża, krwawych rządców, mędrków ganił trzeci,
Papieża — że go wolność z letargu nie wzbudzi,

Rządców — że naród cały obracają w dzieci,
Każdy jednak przyznawał Wacławowi cele,
Które ojczyznie, ludziom obiecują wiele:
Tak prostak, wielkie często chcąc rozumieć myśli
Plany robi dziwaczne, domniemania kryśli
Aż w końcu, widzi biedak że pomimo woli
Zamiast wielkiego człeka, półboga obrazu
Myśl olbrzymią rozpoczął odgadywać z razu,
Ale na swojej płaskiej zakończył powoli. —

Co pewna — Wacław wyższy, od tych co z nałogu
Albo myśleć się uczą, lub cześć niosą bogu;
Dusza ich piękna w słowach, w uczynkach jest inną
Napróżno chcieć ją badać, bo nikt jej nie zbada;
Każde ziarno w nią wpadnie jak w ziemię rodzinną,
Ale i każde zmiecie lada deszcz, wiatr lada.
Wacław co czuje, myśli, to w życiu, to w czynach
Odgadnąć jako ojca z podobieństwa w synach,
Jak wesołość w uśmiechu, jako żałość w oku.
On, cokolwiek do duszy wielkiego wpłynęło,
Jako piasek Paktolu, wybiera z potoku
I na wieczyste, trwałe przeistacza dzieło,
Czasom przyszłym i ludziom, na dzieło nauki!
Ale nie — któż w uczuciu cel sobie zasadza!
Myśli w zapale twórczym jak napięte łuki.
Tam czyn, tam strzałę pędzą gdzie sięgnie ich władza!

V.

WYJAZD ZE STOLICY.

Początek był już marca — ranek zimny, śnieżny,
Ziemi białość błyszczącą jak piersi lubieżnej,
Chmur lekkie rąbki w górze niebu zasłaniały;
Słońce tylko ciekawe, kochanek jej śmiały

Wciskając oko przez mgłę wiewającej fali
Czasem lekkim rumieńcem lica swe zapali.
Taki dzień był wyjazdu Wacława z stolicy:
Śnieżny — zimny — ponury — sanki na ulicy
Zaprzężne w rzeźwe konie czekają od rana
Na znak pierwszy — i wyjazd pożądany pana.

Wacław przecież opóźnia — poranek już mija
Wacław pisze — dwa listy przed nim rozpostarte
Zapisał jednę, drugą i trzecią już kartę;
Nakoniec we dwa pisma odpowiedzi zwija;
I klàsnął — bieży sługa — oddał — «spiesz z powrotem,
«Czas wyjechać» — rzekł — prędko odchodzi służący;
Wacław znowu przy stole zasiada milczący
I znów czyta: «Dla ciebie każdy moment złotym,
«Szpiegi cię otaczają — wyjazd twój niezwłoczny;
«Wszystkich podstępów świadek sam jestem naoczny,
«Wyjeżdżaj — z kraju nawet — bo czas jest po temu
«Jutro już trudno będzie zapobieżeć złemu!»
On mnie to radzi? — nagli — który pierwszy duszę
Wyniósł w górę, nad poziom znikomości świata,
I dał uczuć gwałtowną moc woli człowieczej?
Ja uciekać? — i przed kim? — darmo — przecież muszę;
Zaklina mnie na przyjaźń, obowiązki brata —
Jadę! ale nie długo przyjdę ku odsieczy,
Wybiegam piórem ptaka, z orła wrócę szponą.
Kto cofnął się na chwilę czyż go już zwalczono!
I ten drugi list przytem! — jak siła z rozkazem,
Przybywa niespodzianie z pierwszym listem razem,
Czeka mnie za granicą podstępca nieznośny;
Dałem mu słowo — dobrze!» — Tak w myślach swych głośny
Wacław czytając mówi — schował listy wreszcie,
Wstał i poszedł do okna — nikt nie idzie drogą.
Co on robi? — znów słucha — nie słychać nikogo,
Tylko gwar zwykły ciągnie jako szum po mieście,
Albo krok własny, mocny, głucho się rozlega
O szczyty wzniesionego pokoju sklepienia.
Przyszedł w końcu — «Czy wszystkie spełnione zlecenia?

«Nie oddałeś przypadkiem? — komu? — w ręce szpiega —
«Albo —» — «Gdzie miałem rozkaz» — «Jedźmyż bez odwłoki!»
Po schodach zatętniały przyspieszone kroki;
Wsiadł — ręką wskazał — na śnieżnej zamieci
Konie i sanka pędem naprzód leci,
On sam jak w chmurze grom spoczywa cichy,
W płaszcza zawojach, ściemnił swą postawę,
Tylko na twarzy przelotne uśmiechy,
Tylko westchnienie, wpół ucięte słowa,
Jak wiatr, zwiastuje zbliżenie się burzy,
Zwiastują cele tak nagłej podróży,
Zwiastują falę co zagrzmieć gotowa.

Wacław przybył do domu — witają — on wita —
Cały dwór wesół — tysiąc pytań, odpowiedzi,
«Jutro zjadą się wszyscy znajomi, sąsiedzi,
«Jutro musi być uczta wielka, znakomita,
«Ojciec nasz gońców wysłał» — Wacław milczy na to;
Przez usta czasem tylko ciemne słowa cedzi:
«Jutro — nie dla każdego — przyszłość nam ukryta.
«Kto wie! dnia obecnego jutro zawsze stratą!»
I przytem, co się rzadko Wacławowi zdarzy,
Łza mu z oczu wytrysła — spłynęła po twarzy.
Co ta łza! co ta mowa? — nigdy dotąd jeszcze
Nie płakał — w łzach smutku nigdy on nie tuli,
Dla czego rękę siostry ścisnął mocniej, czulej?
Pieszczoty nazbyt wielkie, znaki są złowieszcze;
Trucizna w żywym zwykle tai się kolorze,
Chmura piorunów pełna świeci jako zorze!
«Ale, żarty!» powiada — «wszak jesteśmy razem;
«Tylkom ja drogą osłabł, i późna już pora.
«Muszę iść — chciałbym jeszcze wyjść tego wieczora,
«Nacieszyć się znajomym okolic obrazem.
«Lubię z resztą powietrze czyste — mroźne — ostre.
«Z tobą — jutro być może — później — rano — rychło!
«Zobaczemy się!» — skończył — pocałował siostrę,
I wyszedł ledwie słowo ostatnie ucichło.

Po prawej stronie dworca o dwa staje blisko,
Wpodłuż rzeki wieśniaków biedne stały chaty,
Po lewej widać było w ruinach zamczysko,
Wspaniałe może kiedyś przed stu, dwustu laty.
Dziś jako szkielet pusty sterczy tam na górze.
Znać jednak po wyniosłym i kamiennym murze
I po wale — po mostach — wpółzapadłej wieży.
Że pan jego, że dziedzic był z owych rycerzy:
Którzy ufni w moc własną i warownię grodu,
Z łaski tylko słuchali króla i narodu.
Dziś inaczej — dziś jodła swojemi konary
Mur zdobyła, ramiona wychyla przez szpary;
Dziś, jakoby czas zmienił ród ludzki w rośliny,
Bluszcz skromny pnie się w górę między rozpadliny,
Dziś tylko strumyk mruczy pod ciężkim kamieniem,
Który z wieżycy spadłszy przydusza bieg źródła,
I tam gdzie ludzie grzmieli całem pokoleniem,
Szemrze strumyk — bluszcz rośnie — i chwieje się jodła!
Ale w nocy — tam w nocy nie zachodź człowieku!
Głośna wieść postrach niesie — mówią że od wieku,
Od czasu kiedy zamku ostatni dziedzice
Mieszkać w nim zaprzestali — w samotnej komnacie,
Nocą się tak jak dawniej zapalają świece;
Twierdzę, że coś strasznego. w jakiejś dziwnej szacie,
Nakształt ducha rycerza, z górnej schodzi wieży
Brząka w koło, i stąpa, i puka i bieży;
A gdy ranny kur, trzeci raz na dzień zapieje,
Wtenczas jak mgła przed słońcem tak straszydło znika,
Wiatr wpada, z burzy szumem światła wszystkie zwieje;
Słychać jak drzwi zatrzaska i groby odmyka.
Nie raz nocni pasterze, bydło pasząc zdala
Słyszeli nad porankiem ów turkot grobowy,
Zdało im się jakoby łamano posowy,
Że mur cały z tumanem kurzu się obala,
I słyszeli jęk jakiś pogrobowy, głuchy —
I ze wsi nie raz widzieć, jak młode pastuchy
Pieczy ich poruczone opuściwszy bydło
Uciekali; zamkowe gnało ich straszydło.

Prócz strachów, zwykłych samotności dzieci,
Pająka, dawnych ruderów strażnika,
Sowa czasami w gmach ten nocą wleci,
I słychać smutne krzyczenie puszczyka.
Albo kurz wiatrem pędzony w półkole,
Przez drzwi otwarte wpada w to ustronie,
Albo myśl człeka puszczona na wolę,
Czasem w tym zamku przeszłości utonie —
Nie człowiek przecie — bo któż się odważy?
Młódź nie dla grobów — nie dla duchów starzy! —
Dziś co za zmiana? — jakaś żywa postać
Wchodzi i patrzy jakby dojrzeć chciwa,
Czy ją od świata dosyć gmach zakrywa,
I czy spokojnie w nim może pozostać!

Noc ciemniej coraz namiot z chmur utkany
Na światy rzuca, jak na paschy stoły;
Gwiazdy jak srebrne błysły roztruchany,
Z których blask czysty spijają anioły,
A ziemię ledwie mętną kroplą darzą.
Księżyc obchodził z zamyśloną twarzą,
Jak sługa wierny niebieskie obszary,
Dwónastą ziemskie wybiły zegary.

VI.

SCENÀ ZAMKOWA.

(Rudera sali dawnej, Wacław z pochodnią w ręku wchodzi:)

Sen pierzcha przed myślami jak ptak płochopióry
Przed nagłym strzelca chodem porywa się zdala.
Tak! — czuję — duch mój wyższy nad prawa natury!
On wszechmocnie świat tworzy, on w proch go obala,

Zwierciedli się gdy zechce, jak w krysztale światło,
W całym świecie — gdy zechce, odbiega porządku,
Inny świat mistrza ręką rzuca sobie na tło.
Bo on jeden bez ciągu, końca i początku!

Brzmią mi w pieśni tajemnej słowa przyjaciela:
«Patrz na tę dumną postać — zarządcą jest świata,
«Milionom śmiercią grozi, lub życie udziela
«Toporem zmiennej chęci głowy ludzkie zmiata,
«Z tych piersi nic nie dobył, z tej ducha przepaści!»
Zrozumiałem cię bracie, przyjęło się ziarno!
Czuję godność, wszechwładność, człowieczeństwa właści —
Wszystko mi wydrzeć mogą, ducha nie orgarną!
Ciągnij ciało na męki i wymyślaj męki,
Duch w postaci anioła wzbije się do góry,
Jak na łoże z bławatu, spojrzy na tortury;
Dumny kacie! duch jeden, żartuje z twej ręki!
Ojczyzną jego świat jest wielki, niedościgłe
Słońce, gwiazdy dziedzictwem — on odsuwa rygle
Zamku niebios, z niebieskich gmachów rzuca ognie,
On słowem, wody morskie w srebrne wały pognie,
On wiatrom tchnienie daje, gór pasma rozciąga;
On sprawił koło czasu, wiek spycha po wieku;
Jemu stanęła ziemia w kształt chwały posąga,
A ty sam, Boże wielki, widzisz się w człowieku!

Co za brzęk? — ha — dwunasta godzina wybiła!
To czas w którym najtęższa nocnych duchów siła,
Zadrżałem? — ja? — i przed kim? — czym nie wyższym duchem?
Ja, który myśli mojej olbrzymim łańcuchem
Ludzi samych krępuję jak nędzne robaki?
Ja, który myślą moją jako ptak nad ptaki
Wzbijam się w oka mgnieniu gdzie skrzydło jej niesie?
Chcę — i myśl jako ołów przeszłość do dna wierci,
Chcę — w przyszłość strzelam — przyszłość jako papier drze się;
Chcę — myślą czas uderzę, czas leci na ćwierci!
Ściganiem rzeczy ziemskich gdy uczucie znużę
Duch mój do nieba leci błyskiem wyobraźni,

Da znak — i twórczym znakiem wydmie skrzydła chmurze,
Olbrzymią wolą chmurę do burzy rozdraźni,
I sam na haftowanym rojem błysków tronie,
Gdy siądzie — niebo nad nim, ziemia pod nim leży —
Orle, monarcho ptaków! — czem moc twoich pierzy?
On wiatry nieścignione ujarzmił za konie!!

Dziś przecie — ha — dla czego tak mi głucho, ciemno?
Ze wszystkich gmachu kątów dym się jakiś wzdyma,
Każda cegła, przeszłości rdzawemi oczyma
Spogląda, jakby cały stary wiek był ze mną!
Dreszcz mnie zimny przechodzi — to zimne powietrze!
Nic więcej — czemże z resztą przeszłości obrazy?
Niczem! — są to umarłych języków wyrazy,
Którym czas życie dawne i znaczenie zetrze,
Potrzaskanym przez piorun gałęzistem drzewem,
Które było — a teraz wypróchniałe leży,
Strónami — które kiedyś głośnym brzmiały śpiewem,
Dziś ledwie brzęk wydadzą gdy w nie myśl uderzy!

Teraźniejszy świat tylko jest wielki, jest boski,
Przeszły, przyszły, są niczem! — Tak mi rzeźwiej, lepiej,
Duch mój — czuję jak leci — jak się niebios czepi —
Widzę gwiazdy! — nie gwiazdy — to stworzenia głoski
Pierwsze które Bóg skreślił — czytam w nich jak w księdze!
Czytam! czuję! — kto mojej zaprzeczy potędze?
Uciekacie? — na próżno — ja za wami pędzę
Na lżejszych myśli skrzydłach — chcę — zrobię was niczem
Chcę — z wschodu w zachód wszystkie, woli mojej biczem
Jakoby trzodę błędną, po mlecznym obszarze
Poprowadzę, i w wieczną przepaść was utopię! —
Ha — co to jest — gdzie gwiazdy? — ludzkie widzę twarze!
Ludzi pełno, miliony, światy przy ich stopie
Leżą jak sługi wierne, gdy rozkażą pany,
To nie światy — to chmury — jako snop przy snopie,
To nie chmury — zawoje — lśniące się turbany
Srebrem tkane — na wschodzie rozsypane w koło.
Ku wam więc wznoszę moje jak świat silne czoło!

Niechaj zawój rzeźwiący jak laurowy wieniec,
Orzeźwi skronie moje! — niechaj z nieba rosa
Spadnie tutaj — niech w tęcze zegną się niebiosa
I dotkną czoła mego — potrzebne ochłody!
Nie słuchacie! jam silny — jam w wieku młodzieniec —
W myśli jest dusza stwórcy! — Nie słuchacie pana?
Dobrze a więc zginiecie — w kroplę mętnej wody
Ścisnę was — albo skinę — i na rozkaz duchy,
Niższe duchy, jak wiatry ostrozębne zrana
Rozchwieją was na strzępki — na pierze — na puchy,
I bez śladu zginiecie! — nie słuchacie jeszcze? —
Wy więc duchy nadziemne sługi mej potęgi,
Posłuszne mi jak oku abecadło księgi,
Jak sercu czującemu są natchniena wieszcze —
Was wzywam — tu stawajcie — ziemim prawda synem,
Ale wyższym od innych, bom wolnym człowiekiem.
Mnie piersi macierzyńskie nie karmiły mlekiem;
Męczarniami jam wyrósł — myślą — czuciem — czynem,
I tak jak Cerber piekło, wrzaskiem trójpaszczęki
Obszczekiwał przed laty, stróżem będąc czujnym,
Tak ja was grzmiącą piersią, zaklęciem potrójnem
Wyzywam do stawania — znak daję mej ręki! —

Ha — głosy? — to ich głosy! — jakiś akord dzwonią!
Słucham was! — jak dech wiatru na Eolskiej lutni
Tak miłe, ciche głosy — płyńcie, płyńcie duszy
Mocniejsze — palce w biegu jedne drugie gonią —
Wolnieją — zkąd ta żałość? — brzmią słabiej i smutniej,
Ledwie czasem strónami ręka lekka ruszy.

ŚPIEW ZA MUREM.

Pośród śniegów i zamieci,
Gdzie w przepaściach dróg są końce,
Przewodnikiem białe słońce,
Któż tak śpieszy, któż tak leci
    To młodzieniec, zapaleniec,
    Szuka dawnej serca straty
    U nóg Alpy lodowatej!

Tam w dolinie, przy leszczynie,
Pełno kwiatów, pełno drzewa,
Strumyk cicho mrucząc płynie,
Słowik nad strumykiem śpiewa;
Lecz młodzieniec, zapaleniec
Szuka dalej, swojej straty
Minął strumień, chłód, i kwiaty.

Śmiech, zabawa — tańców wrzawa,
Ledwie miejsce śród natłoku,
Jeden tylko w kącie stawa,
Bladych liców, ze łzą w oku,
I żałobnej, smutnej szaty!
To młodzieniec, zapaleniec,
Stanął — płacze serca straty!

Czegóż wzdychasz zapaleńcze!
Świat ci się w koło uśmiecha
Ja ci kwiatem czoło wieńczę,
Czyż kochanka nie pociecha?
Próżne miłości wypłaty;
To młodzieniec, zapaleniec,
On wciąż dawnej płacze straty.

Sen ci wieczny, żony, może
Przyjaciela zamknął oko?
Smutek i płacz cóż pomoże?
Przecież on wzdycha głęboko!
I młodzieniec, zapaleniec
Jakby we łzy był bogaty,
Wciąż nieznanej płacze straty.

Czas się zmienił, ludzie z wiekiem,
Wiosna pierzchła, przyszła zima,
Ten co młodym był człowiekiem
Kij w zesłabłej dłoni trzyma.
Znikł młodzieniec, zapaleniec;
Starzec z niego wyrósł siwy!
Ale starzec był szczęśliwy!

On z wędrówki smutnej, długiej,
Szukając straty nieznanej,
O rodzinne trącił ściany
I rozpoczął żywot drugi.
Dziś weselne przywdział szaty,
Lubi ludzi, góry, kwiaty,
Bo w ojczyznie jak przed laty!

W ojczyznie? — kto to wyrzekł? — stójcie — nic już więcej,
Myśli moje się plączą, gdzie jestem? gdzie byłem?
Obrazy krążą jakieś przed okiem zawiłem,
Widzę krew! — głowy lecą ludzi stu tysięcy —
To bracia moi! — gdzie kat? — pomszczę się krzywd braci —
Broni! broni! chcę — muszę — ręka moja dzielna —
Dusza wolna — obrzymia — wielka — nieśmiertelna —
Gdzie oni? — gdzie ludzkości krwią spryskani kaci? —
Co za orszak żałobny kurzem z ziemi krwawej
Kłębi się i wysuwa — w oczy mi zachodzi?
Wiatr go pędzi, — nademną płaszczem się zawiesza,
Spada — spada już na mnie! — wiatr jak powiew sławy
Dawnej, zamilkłej, czuję — przypomnień powodzi
Tak jasno przy mnie, we mnie przodków wstaje rzesza! —
Znam was duchy zagasłe — ziemia waszą matką,
Niebo ojcem — ha! — błysło gwiazd czystych źrenicą,
W piersiach moich tak lubo — gwiazdy mi tak świecą!
Świećcie, świećcie, — bo serce — bije wolno — rzadko —
Usypiam jak ta piosnka, śpiew młodzieńca straty:
On w ojczyznie jak przed laty.

GŁOS ZA OKNEM.

Wacławie!

WACŁAW.

Moje imie? — kto woła me imie! —
Precz, precz, idźcie odemnie, nikczemna gawiedzi!
Jak z spalonego drzewa dym w niebo wyrasta,
Tak z wieków ognia duch mój błyskiem ciągnie w dymie,
Do wyższych świateł, kędy Bóg na słońcu siedzi!
Depczę znikomegroby, w gruzach — ległe miasta,
W ciele mojem jedynie wasze jeszcze ciało;

W duchu moim duch wieków, tkanką w myśli szacie,
Dziedzictwo wasze mojem dziedzictwem się stało:
Duchy dumne, dumniejsze dziecko, syna macie!

GŁOS ZA OKNEM.

Wacławie!

WACŁAW.

Znam głos. — Znikły — marzenia! — marzenia!

GŁOS ZA OKNEM po raz trzeci.

Wacławie!

WACŁAW przybliża się do okna.

Co za postać wyrasta z kamienia?
Lutnia w ręku — włos dziko rozpuszczony z głowy,
Rusza się — blada jakby posąg marmurowy,
Ten głos —

HELENA siostra Wacława wbiega i rzucając mu się do szyi.

Jest siostry twojej — przyjaciołki — więcej —
Twoje słowa — sny dzikie — żal jakiś dziecięcy,
Burzą i niepokoją — wybiegłam więc z domu,
Szukać ulgi, pociechy, której mieć nie mogę.
Wiatrom skarżyć się chciałam gdy nie mam nikomu;
Lutni brzmieniem łzom rzewnym przynieść zapomogę,
I błądzić, płakać chciałam. — Czy ręką anioła
Wiedziona, na te zamku wybłądziłam progę,
Nie wiem — bo wszystko było tak ciemno do koła —
Ale bracie! tyś blady — oczy twe zbłąkane —
Co ci jest? — milczysz — Boże! —

WACŁAW.

Co mi jest? — nic wcale!
Jam wesół, lecz patrz — widzisz — (wskazuje.)

HELENA.

Starą widzę ścianę
Twoja pochodnia gaśnie — to cień twej pochodni.

WACŁAW przychodząc do siebie.

Śmiej się! — prawda — człek czasem, w szaleństwie, w zapale —
Widzi — przecież nic niema teraz lepiej, chłodniej,
Ach śmiej się ze mnie siostro! — człowiek dziwny czasem!
Jakby od świata jakim czarnoksięzkim pasem
Oddzielony — ma swoje głupstwa, przywidzenia;

Gotów płakać choć nie jest w nieszczęściu, w ucisku;
Jak ten co na publicznem będąc widowisku
Łzy i śmiech, razem z sceną, z kulisą odmienia
Czasem myśli że widzi — a pusto przed okiem,
Czasem myśli że słyszy — a w około głucho!
Czasem myśli że czuje — a to krwi draźnienia,
I tak płynie dzień po dniu, rok zbiega za rokiem,
I czas zwodzi — i serce — i oko — i ucho. —
Siostro śmiej się — to wszystko głupstwo, przywidzenia.
Więc i myśl marą tylko? —

HELENA.

Uspokój się bracie!

WACŁAW żywiej.

Ale czemuż litości nad nami nie macie?
Co tobie szkodzić mogły sny moje dalekie
Żeby je rwać i niszczyć? — kiedy myśli lekkie
Wzbiją nas choć na chwilę, wyżej, trochę wyżej,
Otóż ojciec już biegnie — siostra — brat — znajomy,
Choć żaden się do ciebie na krok nie przybliży!
Każdy — jak ów przewodnik co z chmur sączy gromy,
Dla ostrożności domów wyrosły nad domy —
Stosunkami, przyjaźnią — wabi cię zdaleka
Póki na nowo w glinę nie wlepią człowieka!

HELENA.

Gniewasz się na mnie?

WACŁAW.

Gniewać? — tożby gniewem było?
O; nie wierz temu, mnie zawsze tak miło
Być w towarzystwie ojca, brata, siostry!
Dziś tylko — bo wiatr tak zimny i ostry
Dziś — noc tak ciemna — dziś — chmury tak płyną —
Gdyby nas ojciec, kto inny zobaczył?
Jakżeby dziwnie rzecz tę wytłómaczył!
Niewinna, sama byłabyś przyczyną
Szyderstw i obelg — kar i potępienia.
Ja może dzisiaj — jutro bez wątpienia —
Porzuć te płacze — Bóg czuwa nad wszystkiem,
On wszak ciebie nie puści z opieki,

On widzi listek i czuwa nad listkiem,
On jarzmi wiatry — oprowadza rzeki —
Wszystkim strumieniom bieg po świecie znaczy.
Miałżeby ludzi opuszczać jedynie?
Smutek ci łzami z serca nie wypłynie,
Nadzieja słaba — moc wielka rozpaczy!
Porzuć te płacze — zapomnij! — z kim innym —

HELENA.

A! tak się świadczę bogiem i sumieniem
Żem ja niewinną, aleś ty jest winnym!
Więcże myślałeś że jak wy — my zmienim?
Za każdą chwilę — duszę — ołtarz — boga?
Ach! kto anioła ocenił w swej duszy,
Ten się na słowo śmiertelnych nie wzruszy.
W piekło i w niebo nie taż sama droga!
O nie — tyś mocny — i ja mam przysięgę,
I jak ty mogę przekleństwami władać,
I jak ty słowa okropne wygadać,
I jak ty — dusza wszędzie ma potęgę,
Więc słuchaj, słuchaj, zapóźna twa rada!
Bóg moim świadkiem —

WACŁAW.

Biada, stokroć biada!
Kto Boga wzywa w zabronionej sprawie!
Tyś siostrą moją!

HELENA.

Czyż to sen na jawie?
Czyś mi sam lilją nie dawał w przykładzie,
Która kochanków w jednej ma łodydze?
Ależ ja błędna wierzyłam! dziś widzę,
Nie trzeba sądzić serca po ust radzie!
Wacławie! — bracie! — nie, ja mocy nie mam
Robić wyrzuty kiedy kocham szczerze.
Słuchaj! ja twoim wszystkim słowom wierzę,
Jako pacierza twych się sądów trzymam,
Tylko mi kochać nie zabraniaj siebie!
Przecież jeżeli Bóg w potężnem niebie
Grzesznika duszy nie odrzuca w gniewie,

I ty aniele, nie odrzucaj mojej! —
Kobieta czasem powie, sama nie wie,
Dla czego jej się taka myśl uroi,
A potem płacze nad każdą literą,
Kiedy jej myśli uczucia zabierą.
Wtenczas — o przebacz — przyjacielu!
Jam cię musiała rozgniewać w zapale,
Może po latach upłynionych wielu
Widząc łzy ciągłe, pokutę i żale,
Cudów nie zechcesz wymagać odemnie!

WACŁAW.

Wyrzutom służą wyrzuty wzajemnie.
O liljim gadał! — któż zaś nie pamięta?
I przytem ręce całował i usta!
I jam cię uczył że to roskosz święta!
Błąd pierwszy, rajski? — to była rozpusta!
Nie prawda siostro?

HELENA.

Nieprawda!

WACŁAW.

Przypomnij!
To rzecz jest wielka — wiem, późni potomni
Uczyć się tego będą na wyścigi!
Jam ciebie — tylko wspomnij sobie lepiej,
Jam cię zachęcał żartować z religji;
Bo jedna zbrodnia drugą zbrodnię krzepi!

HELENA.

Nieprawda!

WACŁAW.

Także? — wszelako o lilji
Mówiłem długo — pamiętam — wieczorem
Jam wracał, jeżli pamięć mię nie myli,
Z kościoła — przyszłaś pytać czy nie chorym,
Wszyscy pytali — byłem słaby mocno!
Lecz nie na ciele: na umyśle słabym! —
Czułość w słabości potrzebną — pomocną.
Źle ze mną było — bo wtenczas — ach jabym
Wszystkie roztargał człowieczeństwa węzły,

Byle te myśli co w duszy uwięzły,
Wysadzić z głowy, wyrugować z serca.
Siostro! tyś przyszła jako anioł do mnie,
Jam ci o lilji wspomniał bezprzytomnie —
I tak brat siostry własnej przeniewierca!

HELENA.

O nie — tyś wyrzekł — nie wtenczas — przypadkiem —

WACŁAW.

Więc z czystą duszą, Bóg jest moim świadkiem!
Czyż mogłem przeczuć że słowo, jak z ziarna
Kwiat zakazany, w twem sercu wyrośnie?
Dostrzegłem ale zapóźno, niestety!
Z białości plama nie wychodzi czarna!
Siły rodzącej nie zatrzymasz wiośnie!
Miłości z serca nie wydrzesz kobiety!
Chciałem! napróżno! — cóż pomoże słowo!
Gdzie czucie nie ma ucha dla wyrazu?

HELENA.

Nie mów tak, nie mów! - - jam była gotową
Każdy cień twego wypełnić rozkazu!
Tylko ta miłość! —

WACŁAW.

Zbrodnią nazwij raczej!

HELENA.

Miłość czy przyjaźń — cóż mi słowo znaczy?
Miłość czy przyjaźń — jam ciebie kochała!
Ty że mnie kochasz, już od tego razu
Nigdy nie słyszę — gdzież nadzieja cała?
Twój głos codziennie zimny, groźny bardziej. —
Wacław pieszczotą siostry swojej gardzi!
Mowa twa czuła — dziś jak księga mistrza!
Wiary nauką twoje myśli trącą,
Lodem wyziębiasz duszę mą gorącą!
Bodajby zimna Bogu była czystsza!

WACŁAW.

I będzie pewnie. — Słuchaj — czas już nagli —
Mnie wyższe z sobą porywają cele,
Wolność, ojczyzna, wrogi, przyjaciele.

Jutro — dziś jeszcze — polnym wiatrem żagli
Ja płynąć muszę — ty módl się za brata —
Powrócę może — za rok — za dwa lata,
Nie płacz — o prędzej, skoro będzie można —
W świat mnie dziś gwiazda wywodzi podróżna.
Może i kiedyś! — Lecz patrz — co za łuna?
Brzask dzienny świta, na dół zejść nam trzeba.» —

I w rzeczy samej, z nocnego całuna
Coraz się bardziej wysuwały nieba!
Z wschodu na skrzydłach porannej zamieci,
To śniegu tuman przez parowy leci,
To się na polach rozwietrza wir piasku.
A czujny rolnik wstawszy przed drugiemi
Widział jak z góry przy głuchym stóp trzasku,
Człowiek, jakoby duch z tamtego świata,
Unosił dziewczę jako duszę z ziemi,
I znikł na dole, jak cień co przelata.

ZAKOŃCZENIE.

Wacław wyjechał — dokąd? — na świata obszary —
Krótkim był w pożegnaniu — uścisnienie dłoni,
Łza w oku, bądźcie zdrowi! — Czyż spełni zamiary?
Czas okaże — a pióro wieszcz kiedyś odsłoni!
Jam chciał mu pieśń ostatnią, śpiew nócić podróży!
Ale zaledwie myśli skrzydłem się uniosły,
Wypadło pióro z ręki — bo pod piórem rosły
Inne, okropne słowa! i nie śpiewam dłużej! —

WIZYA.

SCENA FANTASTYCZNA.



WIZYA.

(Noc późna — pokój — na stole lampa, książki i papiery — przy nich młody człowiek, siedzi zamyślony — rzuca pióro z niecierpliwością:)

Darmo! pisać nie mogę myśli jako mary,
Przesuwają się we mnie, bez duszy i ciała;
Jak na wiatr rozpuszczone wojenne sztandary,
Rwą się w górę — unoszą — ale w nich nie pała
Orzeł, ich godło święte — tak myśli bez ładu,
Wznoszą ducha, lecz drogi nie wskażą poecie!

Chciałbym mu wszczepić w rysy, w twarz, brzydotę gadu,
Wynaleźć co najgorsze, najpodlejsze w świecie,
I tem mu serce wypchać — oczy mu tygrysa
Wzrokiem zatlić, a usta przepełnić zarazą.
Niech mu się w piersiach serce jako miecz kołysa,
Niech zabija uczuciem; a za każdą razą,
Gdy westchnie, niech to tchnienie, mór i dżumę szczepi.
Ale i to jest niczem — stokroć mógłbym lepiej —
Ha! — godzina wybiła — północ — lampa gaśnie —
Światła! światła! — nie służą — tak smutno — tak ciemno —
Co to za głosy? — wrzawę gdzieś słyszę podziemną! —

GŁOSY.

My tobie na ratunek przybywamy właśnie.

POETA.

Czary! czary! na pomoc! w imie ojca, syna! —
Sklepienie już zapada — ściana się ugina —
Znów światło — jakież cienie wzrastają na ścianie —

Jakie ich oczy, uśmiech! — wszyscy patrzą we mnie —
Idź precz w Imie Najświętsze przeklęty szatanie!
Bo broń przy mnie — już w ręku — jak psu w łeb wystrzelę!

GŁOSY.

Próżno się srożysz, gniewasz i krzyczysz daremnie!
Nie człowieka jest godnem ustawać w swem dziele,
Więc poznaj mnie prawdziwie, opiszesz dokładniej.

POETA.

Idzie ku mnie, a za nim tysiące tysięcy,
Każdy rośnie w olbrzyma — znów więcej i więcej —
Oczom moim nieznośni — okropni — szkaradni!...

(Cienie znikają, stara baba na kiju wsparta wchodzi i patrząc w oczy młodzieńcowi, mówi:)

He! — zkąd ta wrzawa tutaj! — cóż ci to paniczu?
Krzyczysz, jakby złe duchy obsiadły cię rojem;
Litość mnie szczera wzięła nad nieszczęściem twojem,
I dla tego przybywam.

(Śpiewa.)

Mam mego konika
Trzaskawkę przy biczu,
On w czwał się pomyka.

Czarny jest jak smoła,
Mój koniczek drogi;
Gwiazdkę ma u czoła,
I gwiazdkę u nogi.

Gdy siadam, przyklęka,
Gdy wsiądę, wiatr goni;
Tak zwrotny jak ręka,
Najlepszy koń z koni.
Falą jego grzywa,
Błyskawicą oczy,
Strumienie przepływa,
Parowy przeskoczy.

Mam mego konika,
Hej! piękny paniczu,
Patrz jak się pomyka.

(Do młodego, widząc że na nią nie uważa:)
Cóż ci się stało? Powiedz — nikogo tu niema,
A przecież gdzieś tak sięgasz głęboko oczyma;
Ocknij się!

POETA wciąż spoglądając w jedną stronę.
Tam — tam stoją — i grożą poczwary.

CZAROWNICA.
Dziwny z ciebie jest człowiek — tam pies leży szary,
I od niego na ścianę cień zwyczajny bije.

POETA przychodząc do siebie.
Kto tu jest — kto tu mówi?

CZAROWNICA.
Jak ty, człowiek drugi.
Widząc żeś przyjacielskiej potrzebny usługi,
I że ręce niczyje —

POETA spostrzega czarownicę, ale bez przestraszenia.
Co tu robisz — tak późno? W mojem całem życiu,
Nigdy takiej brzydoty nie widziałem jeszcze.

CZAROWNICA.
Wierzę temu — po wielkich domach się nie mieszczę;
Skromna, żyję nieznaną w dalekiem ukryciu,
I ledwie czasem kiedy wychodzę na zwiady,
Albo udzielać rady, lub potrzebna rady;
Z tej to właśnie przyczyny do ciebie przychodzę.

POETA.
Zkąd? dla czego? sam błądzę na złej świata drodze!
Drugiemu rad udzielać nie jest mym zwyczajem.
Więc prędko — czego żądasz? — Krótko zbądźmy sprawę.

CZAROWNICA.
Ze snów cię wyprowadzić i wywieść na jawę!

POETA.
Szalona, w snach nie błądzę!

CZAROWNICA.
A jednak poznajem
W cieniu czarta — a w kądlu złego ducha z piekła.
(Pierwsza bije.)
Patrz — godzina znów cała na niczem uciekła.
Gdy kur wrzaśnie, noc zniknie, z najrychlejszym brzaskiem

Ja daleko bydź muszę — nie traćmyż więc czasu.
Ty jeźli diabła poznać zechcesz bez hałasu,
Ja go przywabić mogę — słowem — bicza trzaskiem —
Zaklęciem — jak gdzie komu, bo różne sposoby.
Pewnieś i ty go nie raz widział, nie sto razy,
Tylko że zwykle w różne stroi się obrazy;
Tyś w nacisku prawdziwej nie odgadł osoby.
Dziś ci go więc dokładnie wskazać myślę palcem.
Źleś zresztą o nim sądził, że żmiją, padalcem;
Wyższym on tworem Boga, tak jak inni ludzie.
Patrz i słuchaj!

(Śpiewa, rzucając jakiś proch w lampę, która się jaśniej palić zaczyna:)

Niech w tym cudzie,
Pierwsza postać się ukaże;
Robię znak potrójny w kole,
Krzyżyk górą, krzyżyk w dole!
Ukaż się, nim wszystko zmażę.

(Podeszłego wieku człowiek pokazuje się — siedzi on przy stole — przed nim biblja — pióro trzyma w ręku i pisze.)

CZAROWNICA do młodzieńca.

Czy widzisz, czy poznajesz? — To mędrek zwyczajny,
Może jaki professor, albo radka tajny,
Greczyzną i łaciną wzniósł się trochę z tłumu,
Umie zresztą i prawo — ma dosyć rozumu,
Słuchaj bo czytać będzie:

(Człowiek ów podeszły mówi głośno piszący:)

Trzech jest w jednym? — Czyste duby —
Słowo ciałem? — Co za myśli! —
Kto mi w koło kwadrat wkryśli,
Kiedy łatwo mieć z rachuby,
Że co prosto, to nie krzywo?
Ha? Z tą biblją nieszczęśliwą! —
Stara, wszystkim męczy głowy,
Gubi ich testament nowy!

(Znika.)

(Czarownica sypie na nowo w lampę prochu — płomień coraz jaśniejszy: Śpiewa.)

Znak zrobiony, drugi — trzeci —
Znak uczucia i natury;

Niech się w tył posuną mury,
Płomień jaśniej niechaj świeci!

(Mury się wysuwają — pokój się zwiększa — widać grupę ludzi — u nóg ojca leży córka we łzach — opodal stoi jej narzeczony, na worze pieniędzy oparty.)

CÓRKA.

Ojcze, ojcze, lica miękną
Od łez które leję co dnia;
On ma duszę taką piękną —
Czyż anioła kochać zbrodnia?

Jego życie pełne troski!
W jego sercu zapał rzadki,
Nie ma ojca, nie ma matki,
Wygnany z rodzimej wioski.

Jeźli ty odrzucisz dziecie,
Któż dziecku pobłogosławi?
Żal mi duszę młodą strawi,
Zginę jako cień na świecie!

OJCIEC odpychając gwałtownie córkę:

Precz od nóg moich — idź wiatrom nieść żale! —
Ja nie mam ucha na romansów bluzgi —
Głupstwem, dubami wylepione mózgi,
Niczże z rozumu nie macie w podziale?
Nigdyż waszego dobra nie poznacie?
Od najbogatszych jeździł swat po swacie,
Napróżno! — Czemu? — Bo kocha biedaka.
Dzisiaj gdy znowu pan się wielki zdarza,
O rękę prosi — jej odpowiedź jaka?

(Podrzeźniając.)

«Nie pójdę za mąż — prędzej do klasztoru»
A ja ci na to: pójdziesz do ołtarza,
Tak ojciec każe — nie ma tu wyboru!

(Znikają.)

CZAROWNICA śpiewa.

Kubkiem morze w dołek zlewać,
Myślą nędzną mierzyć bóstwo,
Zaprzysięgło ludzi mnóstwo,
Czegóż po nich się spodziewać!

POETA.

Stara to piosnka! ci wyzwani cudem
Ludzie, są tylko ludźmi zwyczajnymi:
Znałem ja takich między prostym ludem,
Znałem ich tysiąc pomiędzy możnymi;
Zwykłe, codzienne, podobne wypadki —

CZAROWNICA.

Tem gorzej — widać że diabeł nie rzadki.

POETA.

Lecz jego postać? —

CZAROWNICA.

Chwilę jeszcze, chwilę!

(Kreśli koła, rzuca nowego prochu w lampę coraz jaśniej gorejącą: śpiewa.)

O wy, co w zimnej mogile
Spoczywacie;
Wy co niegdyś brat przy bracie,
Za cnotę, wolność walczyli,
I czy legli w bitwie, czyli
Dotąd jeszcze żywot macie,
Tą przysięgą, tem zaklęciem,
Temi prośby, tym rozkazem,
Nam co pamięć waszą święcim,
Ukażcie się wszyscy razem!

(Plac bitwy — widać dwa wojska daleko, walczące z sobą — bliżej dowódcy radę składają wojenną.)

NAJSTARSZY.

Tak stoją rzeczy — pięndziesiąt tysięcy
Mamy żołnierza — oni trzykroć tyle.
Zbijemy tych tu — pięćkroć poślą więcej —
I chociaż ufam narodowej sile,
Choć pod sztandary starzec i młodzieniec
Z zapałem biegnie, życie niosąc w darze,
Widzę ach — tylko męczenników wieniec!
Ten wam dać mogę, na śmierć was powiodę!

JEDEN z dowódców

Co rzecz bez skutku — ja przekładam zgodę.

DRUGI.

Układy mogą zakończyć się z chwałą.

TRZECI.

Gdy dzieło wielkie zaczętem zostało,
Niechaj krew płynie — a więc moją radą
Wciąż bić, mordować i wojną i zdradą.
Tylko prędko, tylko śmiało
A zwyciężym niezawodnie.

WIELU.

Szał! nierozsądek! marzenie!

CZWARTY.

Próżno krew utracać, mienie,
Zbrodnią! — Nie dam głos na zbrodnie. —

PIĄTY.

Krew o pomstę woła z czasem.

SZÓSTY.

Ale kiedy złe za pasem,
Kiedy żołnierz jest bez chleba,
Nie poezye pisać trzeba.

SIÓDMY.

Śmierć wymówić bardzo snadnie,
Tylko umrzeć nie tak łatwo.

ÓSMY.

Cóż się stanie z żoną, z dziatwą,
Jeźli nam zginąć wypadnie?

INNY.

Nieszczęśliwym Bóg jest blizki.

WIELU.

Do kreskowań — zbierać kryski.

NAJSTARSZY.

Sześć za wojną — trzydzieści głosów za pokojem —

WIELU.

Przystajemy na układy.

INNY.

Więc skończone już narady.

WSZYSCY wstając:

Z krwawym bojem!

(Znikają.)

CZAROWNICA śpiewa.

Wzgardzili myślą ofiary,
I dla tego upaść muszą!

POETA.

Widzę czary i nie czary!

CZAROWNICA.
(Znów koła robi — ogromny blask z lampy — widać kraj obcy za powalonemi ścianami pokoju: śpiewa.)

A wy co bez duszy z duszą,
Co bez serca, mając serce,
Ludy! cnoty przeniewierce,
Tu stawajcie na me słowo!
Braci waszych ciężkim jękiem,
Złota miłym dla was brzękiem,
I mówców głupich czczą mową,
Zaklina was moje słowo.

(Lud się pokazuje — w środku trybuna — krzyże obalają.)

LUD woła.

Zrzucić krzyże!

MÓWCA na trybunie.

Posłowie ludu! Żołnierze!
Minęły czasy ślepoty,
W których człek dla marnej cnoty,
Krew przelewał — gardząc zyskiem.
Dziś wiek złoty
Już nadchodzi, już jest blizkim.
I dla tego śmiało sądzę,
Że krew nasza i pieniądze,
Jak i ludzie naszej ziemi,
Tylko — tylko — są naszemi!

CZAROWNICA daje znak.

Precz szatanie!

(Znikają.)
(Robi koła ostatnie, śpiewając.)

Niechaj stanie
Teraz w oku
Szatana postać,
Jak po wieków, lat potoku
Ma zostać.

POETA.

To człowiek!

CZAROWNICA.

Bez serca!

(Znika — lampa dogorywa — poeta się budzi z letargu.)

NABOŻEŃSTWO

TEGOCZESNE

SCENA FANTASTYCZNA.

NABOŻEŃSTWO.

TEGOCZESNE.

(Kościół — w głębi ołtarz, przy nim ksiądz w ornatach nieszpornych. — Koło ołtarza chór kobiet i dzieci z jednej, chór starców z drugiej strony. — Na środku zakrystjan ustawia katafalk na egzekwie — koło katafalku klęczy młoda dziewczyna w żałobie, przy niej młodzieniec stoi zamyślony. — Lud w kościele; — babiniec na przodzie do którego różnemi czasami różni wchodzą.

KSIĄDZ obrócony do ludu mówi:

Pokój z wami!

CHÓR STARCÓW śpiewa:

W wieków wieki,
Prosić ze łzami
Będziem wszechmocnego Boga.
On synami
Nie pogardzi,
Wrogów Boga zdepce noga;
Oni hardzi,
Szydzą z dzieci wiary twojej!

CHÓR KOBIET.

Jako przed Matki obrazem
Zawieszone lilje, róże,
Tak my razem
W modłów chórze,
Boga, niebo, obwieńczemy.
Łaski chcemy, cudów chcemy,
Nie my, nie my,
Kraj — ojczyzna — wolność ludu.

Z twego cudu
Kiedyś człowiek trząsał światem,
Słońce w biegu się wstrzymało,
Słowo się przelało w ciało!
Dziś brat z bratem
Wojnę toczy mordów chciwy.
Ojciec, syn nasz, mąż nieżywy,
I krew płynie, i krew płynie
Ale Pan Bóg w niebios gmachu,
Słowo rzeknie, ręką skinie,
A z przestrachu
Padnie na twarz syn człowieczy.
Z twojej pieczy
Nie wypuszczaj nas o Panie!

CHÓR DZIECI.

Cóż się z nami dziećmi stanie!
Matka nasza we łzach tonie,
Brat nie żyje,
Nas, na łonie,
Nie pieszczą ręce niczyje!
Jeźli ty opuścisz Panie,
Cóż się z nami dziećmi stanie?

DZIEWCZYNA,
klęcząc przy katafalku w zachwyceniu.

Raz tylko jeszcze spojrzę w twoje oczy!
Zamykasz — giniesz — chwilę tylko chwilę —
Słowo nic więcej — jeden znak proroczy,
Jedyne tchnienie — tyle, tylko, tyle,
Bym twoich skrzydeł lekki ciąg słyszała! —

POSŁUGACZ KOŚCIELNY.

Od zmysłów prawi — przestrzedz ją wypada —
Hem! — W górze nie ma ni ducha, ni ciała.

DZIEWCZYNA wciąż w zachwyceniu.

Zniknął — nie — jeszcze plamka jakaś blada —
Patrz, patrz — to gwiazdka — jak błyszczy — jak świeci —
Pęka sklepienie — gwiazdka w górę leci —
W niebie — już w niebie — znikła — już jej nie ma.

POSŁUGACZ.

Czegóż tak w koło spoglądasz oczyma?
Ocknij się przecie — toć to nasza fara.

KSIĄDZ u ołtarza do ludu.

Niebem jest wiara.

DWÓCH LUDZI
wchodzi do babińca; jeden do drugiego.

Ot patrzyć tylko jaka to oświata:
I tento naród o wolność się kusi?
Żal święty boże — — próżna czasu strata,
Jeźli nie padł, upaść wkrótce musi.

DRUGI.

Nie — to nie potrwa — choć ja z mojej strony
Robiłem wszystko, robię dla obrony.
Wysłałem gońców z doniesieniem dworom,
Że, chcąc kres jakiś położyć zaborom,
Dla dobra wszystkich, wojna jest wydana.
Posłowie nasi, ludzie są z talentem:
Ale tak zmienić arbitralnie pana —
My! — darmo! — kończyć trzeba co zaczętem!

PIERWSZY.

Kończyć — zapewne — lecz sposobem jakim?
Do nieprzyjaciół trudno strzelać makiem;
A strzelby, kule, proch, nie starczą na to.

DRUGI.

Mniejsza o kule — ale cóż z zapłatą?
Skarb wycieńczony — miesiąc, dwa najwięeej,
Wojsko bez chleba będzie i odzienia.

(W rozmowie wchodzą z babińca do kościoła.

KSIĄDZ u ołtarza do ludu.

Dziś ewangelja o chlebie nadmienia:

(Czyta.)

A wiarą stworzył chleba pięć tysięcy.

CHÓRY połączone śpiewają:

Błogosławiony Bóg w świętym Syonie!
Ufajmy Panu w życiu i przy zgonie.

(Dwóch młodzieńców w rozmowie zbliżają się do katafalka przy którym dziewczyna klęczy.)

PIERWSZY.

Wiesz — ładna bracie — zaczepić ją warto —
Lecz patrz, czy widzisz — gębę ma otwartą,
Jak gdyby chciała ustami wiatr gonić:
A ręce jakże złożyła nabożnie!

DRUGI.

Tylko pomału — w tych rzeczach ostrożnie —
Kto nie chce kłębka, niech nie sięga po nić;
Początek tylko trudny na tym świecie.

PIERWSZY.

Ot to sentencya jedna dobra przecie!
Bo co do innych, lepiej kopać w ziemi,
Niźli ich słuchać, lub się rządzić niemi.

DRUGI.

Rozumnie — widać żeś w naukach biegły,
I choć w obozie myślisz po dawnemu.

PIDRWSZY.

Tak — jam był — jestem — będę niepodległy:
Zagadką życia: nie dać się drugiemu.

DRUGI.

Dobrze! lecz cnota, lecz miłość bliźniego?

KSIĄDZ u ołtarza do ludu.

A on się spytał: czego ty chcesz, czego?
A czart mu na to: jeźliś bożym synem
Skocz z tej wieżycy i zatwierdź to czynem.

CHÓR DZIEWIC.

Strzeż nas o panie! od pokusy czarta!
Niech nie zatarta
W pamięci naszej święta stoi męka:

CHÓR STARCÓW.

Patrz, przed tobą lud twój klęka:
I głosów tłumy,
Krzyczą o pomoc sercem pełnem wiary.
Strzeż nas od dumy;
Niech w sprawie świętej,
Serca nasze i zamiary

Czyste zostaną — niechaj czart — przeklęty,
Zdeptany już od ciebie Boże, wielki Panie,
Drugi raz od nas zostanie!

CHÓRY POŁĄCZONE.

Niech w sprawie tak świętej
Czart wiecznie przeklęty
Zdeptany już od ciebie, Boże, wielki Panie
Drugi raz od nas zostanie!

PIERWSZY MŁODZIENIEC wciąż z drugim w rozmowie.

O bliźnich, cnocie, idź nauczać baby.
Jeżeli która zaraz nie zadrzymie;
Cnota — cóż więcej nad czcze, marne imię? —
W myśleniu widać bardzoś jeszcze słaby.

CHÓR DUCHÓW NIEWIDZIALNY z prawej strony.

Rozpuśćcie tylko myśli waszej skrzydła,
A dzień dla was już ostatni;
Jak ptaki w sidła,
Jak ryby do matni,
Złudzone wbiegną, i już, już ujęte;
Jak orzeł ciągnie w słońce a w chmurach zatonie,
Tak po rzeczy niepojęte
Wy myślą chcecie sięgać — a Bóg wam w zasłonie
Chmury, iskrę dał rozumu;
A świat olbrzymi, człowieka krokiem
Nie mierzyć nikomu —
Bóstwo, zapału ujrzysz tylko okiem!

CHÓR DUCHÓW z lewej strony.

Głupstwo w świecie — żarty, żarty,
Żywo tylko w życia taniec,
Świat ten śmiechu tylko warty,
Jam jest zbawienia posłaniec!

(Tłum ludzi przechodzi na tę stronę z której glos ostatni byl słyszany.)

KSIĄDZ u ołtarza.

Już się stało!

CHÓRY POŁĄCZONE.

Zagaśmy światło,

DUCHY z lewej strony.

Tylko śmiało!

CHÓRY POŁĄCZONE.

Już zagaszono! Już ciemno!

(Młodzieniec który od początku całego nabożeństwa obok dziewczyny stał zamyślony, nagle budzi się jakoby z letargu i woła na wychodzących — lud wstrzymuje.

Stójcie! ze mną, bracia, ze mną!
Duszą wzajemną
Zatlimy zgaszone światło;
Ciemności na tło,
Rzucimy iskrę tajemną,
Iskrę wolności i wiary;
A słońcem błyśnie gmach cały.
Czyn śmiały
Jak błysk strzaska w mgnieniu oka
Ich zamachy, ich zamiary.
Zgłuszymy myśli bezczelne,
A ramie dzielne,
A serce z ogniem świat stworzy!
Duch boży
Przejmie śmiertelnych, jak słońce gmach nocy.
Wstaną prorocy,
I śpiewać będą tryumf dobrej sprawie.
Więc dalej, dalej!
A wy, co jako majtkowie śród fali,
Żyjecie w obawie,
Syny ziemi! precz z kościoła!
Oto głos z siódmego nieba
Grzmiącą piersią na was woła:
Wiary trzeba!
Wiara — mieczem archanioła,
Wiara z siłą — cuda czyni —
Syny ziemi, precz z świątyni!

KSIĄDZ

u ołtarza, chóry połączone i lud cały powtarza.

Wiary trzeba!
Wiara — mieczem archanioła,

Wiara z siłą — cuda czyni,
Syny ziemi, precz z świątyni:

(Drzwi się kościoła otwierają — widać zdaleka orły białe — słychać dźwięk muzyki wojskowej — za młodzieńcem cały lud wybiega.)

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ.

I.

Za miastem w polu stoi drewniana wystawa,
I krzesło poręczowe stawiają na górze.
Lud się zbiera z okolic — to pewnie zabawa,
Zręczny sztukmistrz podskoczy w tancerskiej figurze;
Nie — na krześle się spełni dziś ofiara krwawa!

Już z miasta turkot słychać — lud z okolic czeka;
Idzie wojsko rzędami, karet liczne cugi,
Na wystawie tymczasem zwijają się sługi,
Kładą chustę na poręcz — trumny zdięli wieka —
Taki zabieg na życie jednego człowieka!

Zbliża się wóz drewniany, i na słomy pęku,
Siedzi w bieli ubrany młodzian winowaty;
Przy nim kat, w purpurowym płaszczu, z mieczem w ręku,
Przed nim szarzą się księdza zakonnika szaty —
To dzisiaj wóz tryumfu — kaźnią był przed laty. —

Stanęli — wszyscy patrzą — weszli — sędzia trzyma
Wyrok — i po imieniu zawołał, i głowę
Przytem schylił — i wojsko broń ze szczękiem ima —
Znów cicho — sędzia czyta wyroku osnowę.
Podpisano — zakończył — przebaczenia nie ma!

Patrzcie na to spokojne, choć blade oblicze
Czyż zbrodnia w takiem oku kryjówkę mieć może?
On jak baranek boży, obelgi i bicze
I krzyż dla braci dobra podejmie w pokorze;
Dziś ty go z mąk uwalniasz umęczony Boże!

Płaczą w koło, łzy ludu ściekają obficie,
On tylko nie zapłacze — jego wzrok niebieski!
On w życiu nigdy westchnień nie zawziął kobiecie,
I dzisiaj mocny w duszy u grobowej deski:
Czynem silił i czynem kończy swoje życie!

Próżno ksiądz z krzyżem w ręku do spowiedzi nęci,
Do wyznania ostatnich grzechów na tym świecie,
Jego ducha już pieszczą aniołowie święci,
Do ojca swego wraca zatęsknione dziecię;
Nie dla niego są prawa — przeszłości — pamięci!

«Moja wiara na Boskiem objawieniu wsparta,
«Bóg lepiej w sercu czyta niźli ziemscy ludzie.
«Tam uczucie, myśl jedna, więcej stokroć warta,
«Niż tu czyny wyrosłe przy mękach i trudzie —
«Tam życia mego cała zapisana karta!»

Jeszcze, jeszcze nie skończył — a już kat przybiega,
Więźniowi oczy chustką zawiązuje białą
I porywa młodzieńca, jak nędznego szpiega,
Rzuca w krzesło — od bębna powietrze zagrzmiało —
Ciął — krew wytrysła — na dół zwaliło się ciało!

II.

Któż tam błąka się w nocy na rozstajnej drodze?
Przy pochodniach ktoś w głębi ziemi rydlem maca.
Natrafili na trumnę — ha! — szczęśliwa praca!
Wydzierają skarb krwawy wilgotnej podłodze,
Tulą w płaszcz — uciekają — zbawienie w ich nodze.

Jest w głębi gór odludnych pieczara podziemna,
Gdzie grzyby ledwie rosną, nikt z ludzi nie chodzi:
Tam biegną tłumem wszyscy zapaleńcy młodzi,
I światłem się rozwidnia nocy jama ciemna!
Tam każdemu cel wskaże przysięga wzajemna.

Składają ciało krwawe — najstarszy, z kadłubu
Płaszcz szeroki odrywa i miecza dobywa,
Miecz na pierś trupa kładzie — jakieś hymny śpiewa,
Wtorują mu żałośnie towarzysze klubu.
Niech się każdy gotuje do czynienia ślubu!

Najstarszy dał znak mieczem, reszta broń dobyła
Wszyscy wkoło nagimi błyszczą sztyletami
«Przysięgamy!» krzyknęli, «jedność między nami! —
«Pomstę za krew niewinną czyjaż wstrzyma siła?»
I «Przysięgamy» — skała głucho powtórzyła. —

Znów ciało martwe płaszczem szerokim spowili,
Składają w grób starannie sypany w pobliżu,
Na znak mogiły stawią dwa krzyże przy krzyżu —
Nim poranek zaświtał — robotę skończyli;
I korzystając z nocy rozbiegli się, skryli!

III.

Znacież ten gmach posępny, murem opasany,
Gdzie zaledwie ukradkiem wbiega promień słońca;
Gdzie od westchnień gorących zwilgotniały ściany,
Gdzie nadzieja dróg nie ma, a nieszczęście końca? —
Tam siedzi jeden z klubu okuty w kajdany.

Słońce zaszło — on usnął — lecz patrz, czemu we śnie
Tak się rzuca gwałtownie? Tak ciężko oddycha?
Imię jakieś po trzykroć wyrzekł zwolna, zcicha,
O kochance zapewne marzy on niewcześnie!
Sen go zapewne wyniósł za więzienia cieśnie.

Zrywa się — ciemno jeszcze — wiatr tylko na dworze
Skrzypi smutnie dzwonnicy pobliskiej krzyżykiem;
Zrywa się — po więzieniu krokiem biega dzikim —
Sen miał jakiś gwałtowny — zabłysnęło zorze —
I znowu zmordowany rzucił się na łoże.

Chciałby usnąć — napróżno! — Zamknięte ma oczy —
A przecież widzi ciągle — wszędzie — w koło, w sobie,
Jak się duch koło ducha wolnym krokiem toczy —
«To oni!» — Krzyknął z jękiem — «to oni — już w grobie!
«Widzę krew ich — jam winien! — zapóźno! Cóż zrobię!»

Brząknęła muszka głodna, którą codzień żywi,
Przybiegła myszka mała zwyczajna nałogiem,
Towarzysze więzienia jedyni, życzliwi.
Zląkł się ich szmeru, we drzwi bije, i przed progiem
Pada na wznak — on z duszą już przed sędzią Bogiem.

Tymczasem zwykłym kluczem zaskrzypiały rygle,
Wchodzi zimny oddźwierny, i nikczemną strawę
Stawia obok barłogu — spojrzał niedościgle,
Zdało się że w tym wzroku wyłożył na jawę,
Całego życia myśli, i uczucia krwawe!

Nigdy on tak nie milczał — nie spojrzał tem okiem.
Jako wicher najgłębsze morza wody ruszy,
Tak ten wzrok w głąb się wcisnął niewolnika duszy;
Zadrżał przed nim niewolnik jak łotr przed wyrokiem;
Ten wzrok był posłem nieszczęść, rozpaczy prorokiem!

Ale cóż mu nieszczęście? — On ma łaskę pana! —
On wolność swą okupił — zdradą — cóż mu zdrada?
Drzwi otwarte — gdy zechce, jeszcze tego rana
Wolnym będzie! — A przecież upadł na kolana;
«Biada mi» — krzyknął — mury powtórzyły: biada! —

IV.

Z bramy więzienia, wynoszą pod strażą
Ze czterech desek zbitą trunę białą,
Na wóz rzucają, za miasto wieść każą,
To więźnia ciało!
Więc Bóg zakończył jego długie męki!
Wezwał go z jamy, do raju-ogrójca?
Nie — to bezbożnik, z własnej zginął ręki,
To samobójca.
Nie był uczczony zgon jego dzwonami,
Nie odprawiono po nim mszy w kościele,
Za truną nie szli ni krewni ze łzami,
Ni przyjaciele.
Bo żeby cara zyskać przebaczenie,
On narodowym stał się winowajcą
I dawszy braci swych na umęczenie
Był wolnym — zdrajcą.
Grobowiec jego przy drodze rozstajnej
Pielgrzym ze wstrętem i ze zgrozą mija,
Nie zmówi nawet modlitwy zwyczajnej
Zdrowaś Marja.

OSTATNIE CHWILE
SAMOTNIKA

Między skałami płynie bystra rzeka:
Po jednej stronie tam chata przy skale,
Po drugiej sterczy zamek okazale,
Chata i zamek mieszkanie — człowieka.
Tylko myśl pana i myśl pustelnika
Jako ta rzeka wiecznie obu dzieli;
Pan ma sług tysiąc, licznych przyjacieli,
Samotnik jeden zabłysnął i znika!

W zamku jak w świecie — wesoło — bezładnie,
Krzyk — gwar — zabiegi — tańce i zabawy,
Żal samotnika odgadnąć z postawy,
Z dzikiej siedziby któż duszy nie zgadnie?
Cichy — jak skały odwiecznej urwiska,
Co ziemię kryją w kształt zbroi olbrzyma;
Myśli — jak strumień który z skał wytryska,
I w świat pędzony spokojności nie ma;
Tylko że jego dusza światem gardzi!

Musiał on w życiu przetrzymać już wiele,
Kiedy od ludzi tak daleko stroni;
Kiedy nad ucztę wspaniałą, on bardziej
Woli korzonki i niewinne ziele;
Nad puhar wina — wodę czystą w dłoni,
Nad puch — to łoże co z liści uściele,
A nad śmiech ludzki — łzę co w snach uroni.

Puszczyka krzyki milsze jego uchu,
Niż głos wrzaskliwy niewolniczej zgrai;
Puszczyk przynamniej w samotnym posłuchu
Nie przejmie tego co w duszy zatai,
Z słowa błędnego rzeczy nie utworzy,
Jeźli usłyszy, przed światem nie zdradzi:
I ludzi nie ma którzyby z szatanem,
Ach od szatana stokroć jeszcze gorzej,
Niewinnym płaczom byli w sercu radzi!

On światem gardzić nauczył się wcześnie.
Łzami któremi był kiedyś zalanym,
Cnotą i bóstwem które widział we śnie,
Myślą — że człowiek chce bydź świata panem,
Wczarował w siebie nienawiść dla świata.
Dziś — mało dbały co jutro się stanie,
Żyje samotny. — Czarna jego szata,
Członków zesłabłych jedyne odzianie,
Z włosem który mu bujną wstęgą spływa,
Świadczą nie jedne samotności lata.
Może przyjaciel? — miłość nieszczęśliwa?

O nie — on pewno nie kochał nikogo,
Chyba promienie słonecznego blasku,
Chyba ton smutny dzikich ptaków wrzasku,
Które śmiertelnych przerażają trwogą;
Chyba huk gromu gdy piorun uderzył?
O nie — on pewno nie kochał nikogo!
I lepiej stokroć gdyby nigdy nie żył!

W chacie — jak w sercu — i cicho i smutnie.
Łoże z gałęzi, oto sprzęt jest chaty.
Na ścianie widać zakurzoną lutnię,
Po której brząkał i śpiewał przed laty.—
Otwór nie wielki za okno mu służy,
Przez dach nadpusty wiatr się często zatnie,
Ściany drżą wszystkie przy najmniejszej burzy;
I w tem ustroniu od ludzi daleki,
Samotnik chwile przepędza ostatnie,
Samotnik wiecznie zamyka powieki.

Co za dziw? Dosyć cierpieniom i męce.
Któż drugi kiedy podobne wytrzyma?
Dziś — już ostatni raz rzucił oczyma
W krąg wielki świata — i w duszy świat drugi.
Przecież nie w modłach załamie on ręce,
Niech słaby grzesznik drżąc w swej nędznej duszy,
Bogu wylicza pacierzem zasługi,
Ażeby wiecznej uniknął katuszy —
Boga litości wzywa przy konaniu.
On — życiem gardzi jeszcze przy rozstaniu.
On wie — że nie ma i dziękować za co.
Jeźli za męki tam nadgrodą płaca,
Tem lepiej! — Gdy nie — do nieszczęść nałożny
Przyjmie zarówno i męki i dary.
On wie — że jeźli tam miejsce zabierzem,
Nie płacz przed Bogiem, nie pacierz pobożny,
Poświęci nasze myśli i zamiary.
On wie — że dusza sama jest pacierzem,
Jest źródłem szczęścia — źródłem wiecznej kary!

«Na bok więc na bok, te nikczemne modły,
«I ta łza w oku i ten jęk grzesznika!
«Dusza jak księga, wyrok swój zamyka;
«Skrzydła ją wiodą — tam — jak tutaj wiodły,
«Jak łódź z sztandarem życia w wieczność płynie,
«Jak kropla w morzu, wiecznie może zginie.
«Dziś, kiedy słabną coraz bardziej siły,
«Gdy śmierć już blizka i w nic się zamieniem,
«Czemu choć śmierci nie umilić pieniem,
«Głosami, które do życia wabiły?
«Czyż śmierć pozdrowić od życia jest smutniej?
«Dla mnie? — Nie. — Pójdź więc droga moja lutni,
«Raz jeszcze tylko wydaj głos twój miły,
«I odstrasz życie — życia przypomnieniem!»

Tak myślał leżąc na samotnem łożu,
Pustelnik słaby z omdlałem spojrzeniem,
Lecz w duszy mocny jako wiatr na morzu,
I nie zbadany jak przepaść ukryta.
Ledwie pomyślił — lutnię swoją — w strony,
Głowę podnosi — oczom blask się wróci —
Palce rozbiegłe uderzają w strony,
Śpiew jakiś wygrał — to śpiew ulubiony
W młodości jego — westchnął — i tak nuci:

Kiedy ja umrę, zapadną powieki,
Nawet i listek nie wiewnie na drzewie,
Zginę jak głos mój — jak brzęk lutni w śpiewie,
Na długo — może na wieki!

Ucichną razem wszystkie serca żądze;
Jak żyłem w chacie, tak i usnę w chacie;
Dzwony nie będą bić mi za pieniądze,
Ani ksiądz śpiewać w ornacie.

Świeczniki trumny, oto gwiazd orszaki,
Jeźli ich światło błyśnie w tej ustroni;
Dzwonami — lutnia gdy struną zadzwoni,
Albo zakrzyczy ptak jaki.

Głos nieszczęśliwych ucha nie rozdraśni,
Choćby świat zginął — martwem będzie ciało;
Przyjaźń? — Nie będę potrzebny przyjaźni;
Z wiernych mi nic nie zostało!

Był czas — w snach błogich ułudę goniłem,
W niebiem chciał zbierać nieśmiertelne wianki;
Śpiewałem — śpiew mój był światu nie miłym!
Serce nie czułe kochanki.

Szukałem ludzi — jak śród nocy ciemnej
Żeglarz gwiazd szuka na niebieskim globie,
Bo tutaj — w życia szalonej chorobie,
Człek tylko ulży wzajemny;

Jam go nie znalazł — i dziś dalej płynę;
Ale też za to, nie w smutku, obawie.
Jam w życiu zimną napotkał drużynę,
Po śmierci zimną zostawię!

«Dla mnie» — chciał jeszcze dodać więcej w śpiewie,
Kiedy z zesłabłej dłoni lutnia pada,
I głowa spada — i twarz jego blada —
Usta się ścięły — o pieśni już nie wie —
I tylko w oczach ducha przemoc włada,
Jakby w ostatniem przed śmiercią schronieniu,
Jakby w ostatniem światłości promieniu,
Jak skrzydło duszy ku niebu w powiewie!

Ale dla czego rzucił się tak nagle?
I oczy swoje tak daleko wlepia,
I ręce wznosi, ręką coś zaczepia? —
Duszy to pewno rozpostarte żagle
Ciągną na morze łódź urwaną z brzegu?
Nie — to ostatni sen duszy na ziemi.
I całe życie w błyskawic obiegu,
I wszystkie myśli i czyny za niemi,
Krzyżują pamięć i tłoczą się razem:

I błyskiem obraz pierzcha przed obrazem,
Świat cały, przeszłość, samotne ustronie
W dziwne się kształty, w dziwną mienią postać,
Żal i nadzieja razem w duszę wionie,
Chciałby choć chwilę w życiu jeszcze zostać.
Znów głosy — znane — słyszy — on ich nie śni,
Ten ton — ach dawniej śpiewał on w tym tonie!
A śpiew? — To koniec nieskończonej pieśni:

Dla mnie już szczęścia, już nadziei nie ma,
Kto nie znał w życiu krewnych, przyjacieli,
Ten i wieczności z ludźmi nie podzieli,
Samotną wieczność otrzyma!

Znów cicho w duszy — tylko widzi w górze
Jak niebo całe do połowy pęka,
Widzi aniołów, archaniołów w chórze,
Tron jakiś w dali — każdy przed nim klęka,
I tam przyjaciel przy swym przyjacielu —
Kochankę trzyma oblubieńca ręka;
Znajomych tylu, przyjaciół tak wielu,
A każdy wabi miłemi uśmiechy,
A każdy na dół wyciąga ramiona:
Lecz nie dla niego szczęście i pociechy,
On znowu czuje — że na ziemi kona.

Kona — i wieczność druga się otwarła;
Wieczność samotna — okropna — głęboka —
Tam niewypuszczaj próżno twego oka,
Tam na wołanie nie męcz próżno garła,
Tam głos człowieka nigdy nie dochodzi.
A choćby doszedł, nikt go nie usłyszy,
Bo wszystko jedno w samotnej zaciszy,
Jako na morza obszarach powodzi,
Cicho — nie dostrzedz ani jednej łodzi,
Wschód, zachód, północ, wiecznością bez granic. —

Bez czucia, jedne duchy samotnicze,
Tam błądzą w koło nie uważne na nic;

Dzikie ich kroki — wybladłe oblicze,
Oczy bez blasku — mowa bez wyrazu,
Błądzą — nie widząc siebie ani razu,
Ani też końca nieprzetrwałej kaźni!

Próżno samotnik chce wrócić do świata,
Próżno z ócz słabych łza upadła szczera,
Westchnął do ludzi — miłości — przyjaźni,
Wspomniał na krewnych, przyjaciela, brata,
Póżno — już oczy zapadły — umiera!!

GROBOWIEC NA GRANICACH SYBERYI.

Obyście nigdy nie znali tych krajów,
Gdzie wieczna zima mrozem ścina duszę,
Gdzie gwałt i hańba — męczarnie — katusze,
Prawem narodu — godłem obyczajów;
Obyście nigdy nie znali tych krajów!

Między wiecznością i życiem doczesnem,
Jeżeli wiara i nadzieja nie snem,
Zbawienia chwila jest w skonu godzinie;
Ale kto na wschód z zachodu popłynie,
Ten niech nadziei powrotu zaniecha!
Ach, kto raz dotknął nogą tej granicy,
Temu zagasła nadzieja — pociecha!

Dziś nowy tysiąc prowadzą z zachodu.
Są to ostatnie pamiątki narodu
Który żył chwilę i zginął śród życia;
Są to ostatki okrętu z rozbicia
Płynące — kędy — żagiel burzy spycha.

Każdy w kajdanach wiedziony od kata;
Ubiór ich płachta podarta i licha,
Gospodą, w śniegach zakopana chata.

Młodzi są wszyscy — a przecież już godłem
Starości każdy dotknięty na twarzy;
Oko bez ognia — twarz blada i cicha —
Myśl, widać z oczu, o przeszłości marzy,
Pamięć jedynem serca, ducha źródłem.
Z niej, jako z rogów złoconych ofiara, —
Szczęśliwa jeszcze gdy się pysznić umie,
I w najemników pasorzytnym tłumie,
Pogardza carem i służalcem cara!

Upływał trzeci tydzień ich pódróży.
Połowa w drodze zasypana śniegiem
Zmarła na zawsze — a reszta najdłużej
Jutro w Syberyi! — Nad Uralu brzegiem,
Stanęli dzisiaj ostatnim noclegiem.

Noc była mroźna — na ziemi szeroko
Jak tylko może sięgnąć ludzkie oko,
Blado — okropnie — i na niebie blado.
Gwiazdy w mgle nocnej wisiały bez blasku;
W około śpiących przy ogniska trzasku,
Sterczały piki — tu znużone stado
Tatarskich koni, grzebiąc mech kopytem,
Błądzi po polu — dalej straż kozacka —
Księżyc się czasem za Uralu szczytem
Pokaże nagle, to ginie znienacka. —
Jutro znów pochód za najpierwszym świtem.

Zasnęli — cicho — szczęk kajdan i broni,
Czasami tylko nie wyraźnie dzwoni;
Albo przez usta senne niewolnika,
Imie się jakieś na wiatry wymyka.
O sny, marzenia, wy skarby człowieka!
Wasza opieka jak słońca opieka!

Świata całego ubieracie twory
W suknie jasności, w tęczowe kolory.
Któżby chciał twierdzić że słoneczne cudo,
I blask i kolor, spojrzenia ułudą?
Albo gdy w nocy blask niknie z pomroką,
Że nie rzetelnem w dnie było oko?

Dwóch przecież nie śpi — na starszego łonie
Młodszy — brat może — głową swą oparty,
Leżał i milczał. — Starszy, łzy na stronie
Długo ocierał — w końcu płaszcz podarty
Z siebie zdjął nagle — i drżącego ciało
Okrywa — tuli — lecz milczeli oba.
Jednemu pewnie na słowo nie stało,
Drugiemu usta zamyka żałoba.

Usta milczały — lecz usta milczące
Język uczucia mają za rozmowę,
Tkliwszą nad zimnych wyrażeń tysiące!
Tak więc na głowę swego przyjaciela
Przyjaciel starszy opuszcza swą głowę,
Tchnieniem gorącem tchnienia mu udziela;
Usta przycisnął miękkiem całowaniem,
Rękę przycisnął ręką swoją drżącą;
Onby chciał ducha — życie i gorąco,
Wyciągnąć z siebie i rozesłać na nim!

«Ty mnie nie kochasz umierasz bezemnie»
Rzekł wreszcie z płaczem ów starszy młodzieniec —
«Gdym cię rodzicom wydzierał tajemnie,
«Ze mną męczeński chciałaś dzielić wieniec,
«Ze mną przysięgłaś żyć, umierać razem! —
»Uciesz kochanka jedynym wyrazem,
«Powiedz że żyjesz — że kochasz — żeś moją! —
Próżno! — Przelotny na licach rumieniec
Błysnął na twarzy, jak w nieba przeźroczy
Zachodniem słońcem chmury się ustroją,
I znowu czarne — w słup zbłądzone oczy,

Skryły się nagle w powiece otwartej;
Usta jej sine — przestała oddychać —
Ale i żalów kochanka nie słychać.

I cicho znowu — aż zrana, gdy warty
Znak do pochodu dały obozowi,
Gdy niewolnicy stanęli gotowi,
Dwóch tylko z miejsca swego się nie ruszy;
Przybiegli — patrzą — oboje bez duszy.
Zakrzepłe ręce trzymały się silnie,
Usta spojone w całowaniu stygły,
Oczy na siebie wytężone zgasły,
I tak są razem — jako nieomylnie
Żelazo leci do magnesu igły,
Albo w bój hufce, znajomemi hasły! —

Śród dzikich stepów grób im wykopano.
Grób ich granicznem zostanie kamieniem,
Może i kiedyś zbawcami zostaną!
Bo słońce swobód, wiecznem przeznaczeniem,
Miłości ofiar wygrzane płomieniem!

W NOCY JESIENNEJ.

1832 r.

Przeszła północ — do koła cichość i milczenie.
Jam nie spał i wiatr nie spał — on jeden z żałobą,
W brzęczące okien szyby dzwonił, i za sobą
Strumienie ciągnął liści i kurzu strumienie.
Na niebie księżyc w pasy promienne rozrosły,
Utopiwszy w chmur kłębie zamyśloną głowę,
Płynął, gdzie go wydęte czarne żagle niosły.
Gwiazdy błysnęły czasem jak lampy portowe;
A tak w całym obszarze uśpionej natury,
Jam nie spał i wiatr nie spał i gwiazdy i chmury! —

Do wyższych rzeczy wzdychać przyuczony z młodu,
Obciągałem oczyma z wschodu do zachodu,
I zazdrościłem chmurom — wiatrom — nocy całej:
Chmurom ich błyskawicy — wichrom pędu jazdy.
I ja tam chciałem gonić zkąd te wichry wiały,
I chwycić błyskawicę — i z gwiazdy do gwiazdy
Wyciągnąwszy ramiona, skrzydłem fali płynąć,
I w chmurach, wiatrach, gwiazdach, w światach, w niebie zginąć!
Duch mój objął potężnie przyrodzenia siły!
W bladej twarzy krwi błyski nagle zaświeciły; —
Niech wyją dzikie wichry po pustym przestworze,
Niech fala w kłębach czarnych przesadzi noc czarną —
Jam westchnął! — Siły wichrów czucia nie ogarną;
Jam zapłakał! — Łza stoi za potopu morze.
Światy moje — kochanka — bracia — przyjaciele!
Ku wam wyciągam moje zemdlone ramiona!
A gdy z niemi uczucie i myśli zestrzelę,
Wichry, chmury, czem wasza siła połączona?
Wichry, chmury, dziś mocne, czem jutro będziecie?
Słońce wejdzie — noc spłynie — i inne nastaną,
I słońce kiedyś w nocy, i noc zginie w świecie;
W duchu jednym potęgi znika noc i rano:
Myśli się wiecznie w gwiazdy, duch wyświeca w słońce,
Pamięć, czas, jako więźnia ubiegłego trzyma;
Nie zazdroszczę wam skrzydeł wichry, fali gońce,
W stworzenia ogrom — ducha wybiegłem oczyma!

II.

ELEGIA
NA ŚMIERĆ STANISŁAWA GRABOWSKIEGO, KTÓRY ZGINĄŁ W BITWIE POD WILNEM ROKU 1831.

Kiedym cię raz ostatni żegnał przy rozstaniu,
Do zobaczenia! Wyrzekliśmy razem.

Dziś — znowu smutny — tym samym wyrazem,
Tylko na dłużej — dłużej żegnam ciebie.
Do zobaczenia! — Kiedyś — w zmartwychwstaniu
W wieczności — przy Bogu — niebie!

Płakałem w życiu, ach nie jednej straty!
Łez trudno dobyć już z oka:
Zwyczajne moje są żałobne szaty,
A w sercu żałość głęboka.
A przecież — dzisiaj i twarz bardziej blada —
Suknia czarniejsza — łza spada!

Nie ma! — już umarł! — okropne to słowo
Przyjaźni ludzkiej na ziemi;
Tobie jest niczem — ty między świętemi
Włożyłeś suknię godową,
Suknię wieczności, opuściwszy ciało!
Nam życie w smutku zostało!

Z palmą męczeństwa, ty z liliją białą,
Ręką wiedziony anioła,
Boga i niebo otrzymałeś w dziale!
My w płaczu — nadzieję całą —
Nasz świętych orszak są żałobne koła,
A naszą wiecznością — żale!

Płaczmyż więc płaczmy! Ty módl się za nami
I za mnie dołącz pacierza;
Bóg może twemi nie wzgardzi modłami,
Prośbą anioła rycerza.
I żyć przestanie tułacz nieszczęśliwy,
I tam ożyje — nie żywy!

Do zobaczenia! Zczasem i ja płynę,
Będziemy razem po chwili;
Może zabiją jak ciebie zabili,
Twoim przykładem niech ginę;
Twoją modlitwą urosną zdarzenia,
Mój Stasiu! Do zobaczenia!

III.

Z LORDA BYRONA.

Droga! nie mów mi, nie mów o chwale potomnej!
Ach tylko dni młodości są i chwały dniami:
W dwudziestym drugim roku wart więcej mirt skromny,
Niż wasze wszystkie laury z póżnemi latami!

Na czole pomarszczonem czemże wieniec świeży?
Jakby na zeschłym kwiecie maju rosa lśniała;
Precz więc z laurem, gdy głowę póżny wiek ośnieży:
Tylko z kwiatu młodości rośnie szczera chwała!

Słowo! głos twój jeżeli był mi kiedy miłym,
Nie dla słów, nie dla brzmiących lubiłem cię pieni;
Kochance chciałem posłać kilka twych promieni,
Jej dowieść — że ją godnie kochać zasłużyłem.

W niej jednej cię szukałem — w niej mam cię jedynej;
Jej oko, tobie za blask najpiękniejszy stało;
Gdy nim zajrzała w życia mego lśniące czyny,
Poznałem co to miłość — czułem co jest chwałą!

IV.

CHÓRY NA POGRZEBIE MINIONA.

Z GETEGO, Z PROZY.

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Kogóż to nam niesiecie w to ciche ustronie?

CHŁOPCY stawiając trumnę.

Przynosim towarzysza zmęczonego w wiośnie,
Umieśćcie go w waszem gronie,

Aż kiedyś niebios córy, śpiewem swym radośnie
Wzbudzą go, by żył na wieki!
CHÓR NIEWIDZIALNY.
Pierwiosnku życia bądź nam pozdrowiony!
Z smutkiem cię w naszem witamy dziś kole,
Za tobą niechaj w te wieczności strony.
Żadne nie wbiega pachole!
Ni chłopczyk, ni dziewczyna.
Niech starość jedyna
Znużona w świecie
Spokojnie — z chęcią wita te podwoje.
A ty o dziecię,
Drogie dziecię moje,
W jej zimnem objęciu wypocznij!
CHŁOPCY.
Z jakimże bólem, ach w jakiej żałobie
Złożym ją tutaj — na wieki — na wieki —
Pozwolcie i nam zostać — łzą stulić powieki
I płakać, płakać na grobie!
CHÓR NIEWIDZIALNY.
Patrzcie, o patrzcie! w te ramiona skrzydeł,
Na tę bieluchną i czystą obsłonę;
Na te w jej włosach sznureczki złocone,
Na piękność życia pieścideł!
Jakżeż jej we wszystkiem strojnie,
A spoczywa tak spokojnie —
CHŁOPCY.
Ach, już te skrzydła nigdy jej nie wzgórzą!
W lekkich gry zwrotach nie strzepną się stroje,
Gdyśmy jej główkę umaili różą,
Na nas oczęta obróciła swoje
Tak mile i tak roskosznie!
CHÓR NIEWIDZIALNY.
Więc na nią teraz patrzcie okiem ducha!
W was niech panuje twórcza, boska siła,
Która nad gwiazdy tron swój wielki wzbiła,
Życia powołanie święte!
CHŁOPCY.
Lecz jej już nie ma — w ogrodach już nie ma!

Już i na łące spokojnie schną kwiaty.
Pozwólcie zostać! — głosami czterema,
Będziemy płakać jej straty!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Nie dzieci; w życie powracajcie dziatki,
Tam wietrzyk niebieski
Co strumyk pieści i polowe kwiatki,
I wasze osuszy łezki.
Roskosz — chwila — dzień co świeci
To są żyjącego losy.
Uciekajcie z nocy dzieci
Bo to prawdy, prawdy głosy!

CHŁOPCY.

Więc dalej w życie, kiedy w życiu lepiej.
Niech nam dzień pracę i roskosz odradza,
Spokojność wieczór sprowadza,
A noc, snem siły pokrzepi!

CHÓR NIEWIDZIALNY.

Bieżcie o dziatki w żywota koleje.
Oby wam miłość w piękności obsłonie,
Niebieskiem okiem wskazała nadzieje,
I nieśmiertelność włożyła na skronie!

V.

STRATA ZMYSŁÓW.

Kiedy patrzę na ciebie, na twą bóstwa postać,
W twe oczy kiedy spojrzę, które gwiazd obrazem,
Chciałbym zginąć w tem wzroku, i chciałbym zarazem
Wiecznie w niem umierając, wiecznie w niem pozostać.
Ty się gniewasz dla tego, ty chcesz aby zatrzeć
Całe niebo błyszczące w twoich ócz spojrzeniu,
Posłuszny byłem zawsze twojemu skinieniu,
Ty chcesz — ja oczy tracę — i przestaję patrzeć!

Kiedy słyszę twe śpiewy — moja błędna dusza,
Na dźwięk głosu twojego, jak umarły z grobu
Dotknięty mocą wyższą, do życia się wrusza;
Czuję że świat za mały dla mnie — dla nas obu.
Chciałbym wyżej ulecieć i w myśli ułudzie;
Gdy z tobą jak z aniołem po niebios obszarze
Błądzę — a spodem nikną: świat, ziemia i ludzie;
Gdy tak błogo — tak pięknie — tak cudownie marzę,
Ty już śpiewać przestajesz. — Głos słabieje — niknie,
Z nim marzenia w nic poszły, niebo się rozchwiało?
Jak ów komar bezsilny, kiedy raz przywyknie
Okrążać światło, gonić za łudzącym blaskiem,
Błyśnij światłem — on skrzydłem ciągnie za niem śmiało,
Zagaś — i znowu lotem krążyć będzie blaskiem!

Ty nie masz dosyć na tem — ażebym uciekał,
I wieczny rozbrat z tobą i szczęściem uczynił.
Przeciwko woli twojej nigdym nie przewinił,
Smutny — milczący — nigdy nie będę narzekał!
Niechaj więc żadne słowo nie dotknie ci ucha,
Niech powietrze kradnące każdy żal rozdmucha,
Niech wieczna wojna będzie w sercu i umyśle!
Słuchaj! rozkazy twoje powypełniam ściśle;
Zmyślę duszę inaczej — życie moje zmyślę!
Gdy płakać mi się zachce, oko śmiać się będzie,
Gdy kto o zgonie, śmierci przemówi czasami,
Śmiać się będę — wszak taka zgoda między nami.
Chociażby — choćbym konał — śmiać się będę wszędzie!
Ale nie — śmiech uczuciem — a ty nie chcesz serca,
Jeszczeby może jaki sławy twej oszczerca
Ze śmiechu myśli tworzył — nie chcę więc i śmiechu —
Płakać będę! wszak płacz jest człowieka właściwym;
Człowiek płacze w kolebce po rodzinnym grzechu,
Płacz radości — niedoli — szczęsnym, nieszczęśliwym;
Jak powietrze żyjącym, płacz wszystkim potrzebą. —
Czy kto kochankę stracił, czy kochankę wita,
Czy żegna przyjaciela, zmarłą matkę grzebie,
Czy mu los nieszczęśliwy przeznaczyło niebo,

Czy kochany od ciebie, wzgardzony od ciebie,
Płacze i choć go widzą, nikt o łzy nie spyta. —
Śmiech co innego, śmiech jest dowodem zapału,
Pozwól płakać a nigdy się już nie rozśmieję —
I tego mi zabraniasz — pomału — pomału,
Wszystkie uczucia, mówisz, człowiek stłumić może,
Wszystkie! nawet obawy, boleści, nadzieje!
Byle chciał pewnie zdoła! — Będę więc kamieniem,
Kamieniem który obce, odludne bezdroże
Ciężarem tylko swoim przyciska i gniecie,
Póki go obca ręka z miejsca nie poruszy;
I jeżeli bez zmysłów — bez serca — bez duszy
Kto jeszcze wyżyć może — ja chcę żyć na świecie!

VI.

ŚPIEW STARCA
Z WILHELMA MAJSTRA. (Z GETEGO.)

Kto się w samotności kryje,
Ten wkrótce sam jest w sobie.
Każdy kocha, każdy żyje,
Zostawią go żałobie.

Zostawcie mnie mojej męce,
Bo gdy choć w chwili przelotnej
Samotności się poświęcę,
Już ja nie jestem samotny!

Kochanek czyha bacznie, powoli,
Czyli samotna kochanka;
Tak na mnie czyha w noc od poranka,

Myśl moich nieszczęść — niedoli.
Życia mojego wspomnienie!

Ach jeźli w chwilce przelotnej,
Grobu mnie przyjmą samotne cienie,
Tam będę, będę samotny!

VII.

DO —.

Droga! próżno w przyjaciołek gronie,
Twarz twoją smutną zmuszasz do błędnej uciechy;
Próżno wzrok twój miłosny w fali śmiechów tonie,
Mnie on zwieść nie potrafi — płaczą twoje śmiechy!

Twa wesołość jest różą na grobie wybladłą,
Tylko obcych, podróżnych, wonią swoją znęci.
Ród jej przeczucie w piersiach zbolałych odgadło,
Jam go żywo rozświecił iskrami pamięci!
Droga! znam twoje serce — pozór zwieść nie zdoła,
Śmiech twój — śmiechem boleści i smutku anioła!

VIII.

DO IMIONNIKA SIOSTRY.

Jeźli kiedy — przypadkiem czułe twoje oko
Wbiegnie na ten wiersz słaby, który dzisiaj kreślę,
Zapłacz, o zapłacz siostro i westchnij głęboko,
Niech myśl twoja w pamięci, sercu i umyśle
Kraje senne przeszłości i szczęścia przelata.

A jeżli wdzięcznym czarem obraz wskrzesi brata,
I ja wtenczas niebawnie o tobie pomyślę!
Bo moc duchów złączonych czas i miejsce wzruszy,
Bo dźwięk serc w swym przelocie, wszystko z drogi spycha,
Bo nad zimny słów odgłos, czulszy język duszy.
Dalej sięga niż głosem — kto myśli, kto wzdycha! —

Przecież — jeżli mój obraz w pamięci zaginie,
I odszukasz go w sercu, i w myśli i wszędzie
I nie westchniesz głęboko i łezka nie spłynie;
Siostro! już brata twego na świecie nie będzie!
Mów o nim do umarłych — spleć w wianki grobowe
Smutnych kwiatów liść piękny, ostatki pamiątek;
I pomyśl: «Jam mu życia wyrwała połowę,
«Jam mu życia całego rozdzierzgnęła wątek;
«Dziś i płacz nie pomoże, bo nic wskrzeszą żale,
Kogo raz umorzyły zapomnienia fale!»

IX.

DO —.

Jam ciebie tak pokochał — a tyś nie życzliwa,
Oczy twoje ze wstrętem odwracasz odemnie.
Nie wiesz, co za nieszczęście miłość nieszczęśliwa,
Kochać szczerze i nie bydź kochanym wzajemnie!

Gdyby nie twoje słowo — twój uśmiech — twa postać,
Gdyby — ja sam już nie wiem co obwinić wprzódy;
Trzeba było wyjechać — ale dzienne trudy,
Czas przykry — słota ciągła — tak, musiałem zostać!

Tyś pierwsza słowo do mnie wyrzekła niebacznie,
Jam ci odrzekł i potem, nie wiem co się stało:

Do rozdmuchania iskry potrzeba tak mało:
Biada, biada gdy płomień w górę dążyć zacznie!

Gdyby nie twoje usta — anielskie uśmiechy,
Byłby kwiat marzeń wyższych nie rozkwitał z ziarna,
Dziś zapóźno! — grzesznego gromnica ofiarna
Nie poprawi, gdy z duszy pełnej płyną grzechy.
Tak, kiedy minę prochu raz iskra podraźni,
Wiatrów zimnem przewiewem nie wstrzymasz wybuchu.
A mocniejszą od prochu twórcza siła w duchu;
Draźliwsza iskra boska — miłości — przyjaźni!

Gdyby nie twoja postać uniknąłbym zguby.
Nie dla mnie, wiem, twój pierścień, i ołtarz i śluby —
Lecz droga! czyż w kościele oko katolika
Przy hostyi podniesieniu po opłatku bieży,
Widzi ciało, a przecież że bóg jego, wierzy,
I w boga tylko patrzy bóstwem się przenika.
Tak i ja — więcej nawet — jak pustelnik prawy,
Który przy mszy oblicze pańskie widzieć zdoła,
Przecież by ludzi uniknął i świata zabawy,
Woli krzyżyk drewniany niż świętość kościoła;
Uciekłbym z grona ludzi z twym bóstwa obrazem.
Niechby się inny cieszył twej ręki pojęciem —
I dusza ma swe prawa — my duszy zaklęciem,
Na ziemi tak jak w niebie bylibyśmy razem!

Pieściłbym cię codziennie, choć zdala od ciebie —
Jak obraz boga pieszczą aniołowie święci,
Nie dbając o świat zimny — li sobą zajęci
Wierzaj mi, moja droga, bylibyśmy w niebie.

Nie chciałaś — trudno serce zmuszać do kochania,
Twój obraz dziś inaczej moja myśl spotyka,
Jak boga zagniewanego słaby duch grzesznika,
W jednej zawsze godzinie, w godzinie rozstania.

Samotny i bez wsparcia gdzież tułacz pobieży?
Ludzie gardzić przywykli człowiekiem w potrzebie;
Jeszcze jeden cel życia — gorąco — najszczerzej,
Przez całe życie, boga chcę prosić za ciebie!

X.

DO —.

Dnia 21 Czerwca.

Czemum cię znowu zoczył, o ziemski aniele!
Twarz taż sama i oczy i usta — a przecie
Zmianę w tobie znalazłem, braknie ci tak wiele,
Czego? czułości — czułość cnotą jest w kobiecie!
Dawniej — łezka przelotna — tobie łza do twarzy —
Nie raz twe piękne oko, twych jagód zapały,
Przygaszała na chwilę, jak świętość ołtarzy,
Przed którą w dzień świąteczny świat się zgina cały,
Kapłan skromnie obsłoni przed codziennym wzrokiem.
Dziś wesołe twe oko — i czemuż bydź nie ma?
Albo czas nie upływa? — mija rok za rokiem,
Wszak skąpiec ledwo jeden skarb swój dawny trzyma.
Ty tylko samolubie z uczuciami twemi
Chciałbyś stać niewzruszonym i gdzie? w sercu młodym?
Róża przecie zroszona tylko z słońca wschodem,
I na wieczór czasami — a onaż nie różą? —
Ja od pierwszej młodości odbiegłem daleko,
Może już drogę nawet przebyć mam nie dużą,
Nie wiem dokąd mnie jutro losy me zawleką.
Stoję w świecie jak bańka na wody krysztale,
A przecież — chciałem wzruszyć serce jej jak dawniej!
Człowieku! ludzie razem dumni i zabawni.
Noc nie światłem — źwierciadłem nie są burzy fale!

Mój wiek blizki wieczoru, choć dzień nie upłynął,
Mój czas burzliwszy stokroć od nawałnic morza;
Krwawe w przyszłości mojej przewiduję zorza,
I jutro rzekną o mnie: był, kochał, i zginął! —
Wtenczas przynajmniej klęknij na sypce grobowej,
Żegnaj błogosławieństwem — wspomnij na czas przeszły,
A gdyby na mym grobie białe lilje zeszły,
Liljom i mnie łzy bratnie — daj dwie do połowy!

XI.

ODPOWIEDŹ NA LIST.

Czyż od drzewa w jesieni zdięty liść samotny,
Sierota, uniesiony ręką dzikiej burzy,
Szczęśliwym zwać się może, kiedy wiatrom służy? —
Wzbije się czasem w górę — dla czego? bo lotny,
Bo go nic nad przypadek ni wzbije, ni zniży.
Ale popłyń choć chwilę dzikim jego śladem,
Przypatrz mu się dokładniej — i rozpatrz się bliżej,
Zżółkłym ci w oczach stanie, otoczony gadem,
Który go wskróś przekąsił i wciąż go przekąsa.
Tobie droga! Kwiatkami nadzieja potrząsa
Lata młode — dla tego pozostaw jesieni
Wiatrom chłodnym i burzy listek pożółciały.
One go swą przemocą od matki porwały,
Wiatr go i dzisiaj dalej w powietrzu pierścieni.
Daj mu płynąć — daleko nieboże popłynie;
Ale wierzaj — wkrótce zginie!

XII.

NA MOJE URODZINY.

Dawniej — licznem przyjaciół otoczony gronem,
Z roskoszą uczuć szczerych odbierałem dary,
Ten mi dawał bukiety — tamten wdzięcznym tonem,
Uścisk z słowem kojarzył, a liczne puhary
Roznosiły wesołość z tryskającem winem.

Dzisiaj jakżeż odmiennie! — sam sobie oddany;
Za grono przyjacielskie sterczą zimne ściany,
W nich jak wygnaniec błądzę z cieniem mym jedynym.
Czasem nadzieję w myśli rzeźwie przyszłym czynem,
A gdy i ten o rozum zimny się rozbije,
Gdy wszystkie choć najśmielsze życzeń giną datki,
Serce moje wyciska roskoszy ostatki.
Pamięć mi wierna dotąd — lecz nie — niech niczyje
Ucho nie przejmie mego anioła imienia! —
Wasz słuch, ludzie zanadto zbrukani zwyczajem,
Często gdzie święte bóstwo, gdzie wielkość poznajem,
Wy czczość tylko widzicie — brzęk słów — przywidzenia!
Zdala więc od was ludzie — w mem sercu — pamięci,
Chcę jej obraz popieścić — tak jak pieszczą w niebie
Matkę żywego boga, aniołowie święci —
Ożyłem! — pełną duszą westchnąłem do ciebie!

XIII.

ŚPIEW.

Gdy pozdrowię słońce zrana,
Przed stwórcą zegnę kolana,

Nim znak święty krzyża zrobię,
Pewnie pomyślę o tobie!

Kiedy słonko wpół na niebie
Pół w obłoku lśni w żałobie,
Smutnym wtenczas żem bez ciebie,
A wesoła myśl o tobie!

Lubię wieczora zacisze
Noc i światło — mocy obie,
Jak noc przeszłość w duszy słyszę,
A jak światło myśl o tobie!

W nocy często w łzach się budzę,
I wziąść rady nie wiem sobie,
Jakieś słowa mówię cudze:
Pewnie mi się śni o tobie!

A gdy na śmierci posłaniu,
Z tym światem będę w rozstaniu,
Wstrzymam krok przy samym grobie,
By jeszcze myśleć o tobie!

XIV.

W IMIONNIKU.

1832 r.

Różne są drogi nasze — ja na zachód płynę,
Ty na wschód ty do domu uściskać rodzinę,
Kiedy się zobaczemy? — patrz na niebios pasie,
Gwiazdy tam rozrzucone ręką stworzyciela,
Dalekie, próżno blaskiem ducha patrzą na się,
Nigdy z sobą nie będą — sam Bóg je rozdziela!

XV.

CHÓR STRZELCÓW.

Hej! przez pola, przez parowy
Niechaj suwa koń;
Dziś puścimy psy na łowy,
Strzelcze w trąbę dzwoń.
Niech liść, drzewo i bór cały
Od łoskotu grzmi,
Niechaj pada strzał na strzały
Dym niech światło ćmi,

Hej! myśliwcze dziś bój krwawy;
Pilnie w miejscu stój;
Dalej chłopcy do obławy,
Bo dziś krwawy bój.
I psy krzykną, wy krzykniecie,
Tylko chyżo w las;
Jeleń nam nie ujdzie przecie,
Spotkać musi nas!

Czy on w lewo, czy on w prawo
Wszędzie strzelca łów;
I przed wrzawą, i za wrzawą
Tysiąc zmyślnych głów.
Tysiąc ramion tysiąc złego,
Tysiąc lotnych kul,
Świsną w niego, strzelą w niego
Padnie lasów król!

XVI.

ROZMOWA.

«Pójdź tu dziewczynko» — i ona bieży.
«Czy ty mię kochasz!» — «Kocham i mocno!» —
«Jak matkę, brata?» — «Inaczej, szczerzej.
«Chciałabym tobie być tak pomocną,
«Ulżyć we wszystkiem i dzielić z tobą
«Co mam, mieć będę, i więcej jeszcze.
«W nocy gdy drzewo czasem szeleszcze,
«I wiatr o szyby jęczy z żałobą,
«Tęskno mi — przykro — smutno i ciemno.
«Płaczę i myślę żeś ty nie ze mną!»

«Źle moje dziecie — to ciężkie grzechy!» —
«Ciężkie ty mówisz? — nie — ja nie wierzę,
«Kiedy poranne mówię pacierze,
«A nie za ciebie — nie mam pociechy.
«Wieczorem kiedy zbieram twe słowa,
«I wszystkie sobie dziwnie tłomaczę;
«Jam tak szczęśliwą, choć rzewnie płaczę —
«Żebym tę chwilkę była gotowa,
«Zamienić w wieczność i płakać wiecznie!» —

«Źle moje dziecię — trzeba koniecznie
«O innem myśleć, tak rozum każe,
«Tak Pan Bóg każe!» — «Ja kiedy marzę
«O niebie czasem, tyś w oku zawsze.
«Dawniej robiłam sobie wyrzuty,
«Lecz rzekły do mnie głosy łaskawsze:
«Póki masz serce, kochaj dopóty!»

Zamilklim nagle — słońca nie było,
Wieczór nadchodził — w pokoju ciemno.

I tak mi było trwożnie i miło,
Taka odmiana we mnie i ze mną,
Żem powtarzając: źle moje dziecię —
Ona — że kocha — wciąż, na przemiany,
Ręcem i usta całował przecie,
Byłem w dziewczynie już rozkochany!

XVII.

PIERWSZE SŁOWO.

SONET.

Znów weszła — nie wiem co się w duszy mojej działo!
Uśmiech jej był tak słodki — oczy tak łaskawe,
A przecież czułem w sobie niepewność, obawę —
Gdym chciał mówić, oddechu na słowo nie stało.

Myślałem że na świecie odznaczony mało,
Jej tylko służyć mogę za marną zabawę;
I westchnąłem ukryty przez krzykliwą wrzawę;
To westchnienie ach, było duszą moją całą.

Ktoś imię moje wyrzekł — i podniosłem oczy,
Jak ów we śnie chodzący wzbudzi się na imię;
Patrzę — już się kołuje tanecznik ochoczy,

Znów ktoś na mnie zawołał — czy na jawie drzymię.
To ona — rękem porwał — jakiś duch proroczy,
Serce i myśli natchnął — i w tańczącym rymie,
«Ja cię kocham!» — wyrzekłem.

XVIII.

W NOCY NOWEGO ROKU.

1832.

Rok minął — pierzchły tysiączne wypadki;
Od przyjaciół daleki — samotny — sierota,
Westchnienie oto moja jedyna pieszczota,
A gdy zapłaczę — łzy jedyne świadki!

Rachowałem stłumiony brzęk zegaru z wieży,
Zdało mi się że przyszłe losy duszy dzwoni;
Chciałem żegnać i witać! — lutnia padła z dłoni,
Zamiast śpiewu jęk płynął posępnych pacierzy.
Modliłem się jak dziecko — lecz czyż bóg wysłucha?
Módlmy się tylko wszyscy — pacierz ludzi zbliża,
I do siebie i boga — trzeba było krzyża,
Ale po męce światło rozwinie się ducha!

WSPOMNIENIA Z CZASÓW

WOJNY NARODOWEJ POLSKIEJ

1831.

SPÓŁ-TOWARZYSZOM BRONI

I

SPÓŁ-PIELGRZYMOM.

POŚWIĘCA AUTOR.

ZAPALENIEC MŁODY

DNIA 16-GO GRUDNIA.

Uciekajcie ludzie zgody,
Bo to zapaleniec młody.

Każda choć najdrobniejsza o kraju przemowa
W oczach żar mu obudza i lica płomieni,
Tworzy wnioski z słów błahych, ciało tworzy z cieni;
Przewrotna — zawichrzona — bezzasadna głowa. —
Jednem słowem, ludzie zgody,
Zapaleniec jest to młody!

Niezgodny, niespokojny, gardzi nędzną radą.
U niego czyny wszystkiem i nie patrząc końca
Co tylko u nas widzi chrzci, nazywa zdradą,
Jak ptak nocny co nigdy znieść nie może słońca.
Jednem słowem, ludzie zgody,
Jest to zapaleniec młody!

Plwa codziennie na czasy, ludzi, na ster rządu;
Że źle idzie w ojczyznie, krzyczy i powtarza,
Nie wierzy w żadne łaski i listy cesarza,
Każdy zdrajca u niego wart kary i sądu;

Jednem słowem, ludzie zgody,
Jest to zapalaniec młody!

Niestety! ma przyjaciół, stronników nie mało
Boć ludzi nie rozumnych lada co odurzy:
Ztąd gniewy, narzekania, za to co się stało;
Przekleństwa na praw naszych i ojczyzny stróży!
Jednem słowem, ludzie zgody,
Jest to zapaleniec młody!

Koniec — koniec położyć obowiązkiem świętym,
Kto wraz z nami do celu spokojnego mierzy;
Dość szaleństw — dość odmętu — tylko mocnem pętem
Skrępujmy ręce — czucie — i myśl tych szermierzy!
Sądu! sądu ludzie zgody,
Zdrajcą zapaleniec młody!*)

Zgadnij co było! wprawdzie mógł osieł słowika
Jeżeli nie prześpiewać to zagłuszyć rykiem;
Ale aby bój zacząć i walczyć z młodzikiem,
Trzeba mieć prawdę, ducha i siłę młodzika!
A tak wszystkich ludzi zgody,
Zapaleniec zwalczył młody!

NA DZIEŃ DETRONIZACYI.

Krzyczcie na wszystkie cztery świata strony:
Niechaj od jednej do drugiej krawędzi,
Głos nasz przez lądy i morza popędzi;

---

*) Ścigano wielu członków Towarzystwa patryotycznego którzy przeciwko dyktatorowi powstali.

Na głowie cara nie ma już korony!
Kradzione złoto ze skroni mu zdarto —
Polski wojownik berło mu wytrąca! —
Ludy spółbratnie! od wieków tysiąca,
Dzieje podobną nie zabłysły kartą!

Jednemu Bogu z niczego przystało,
Świata olbrzymią wystawić budowę;
My po nim pierwsi, sercem wzmogli ciało,
Duchem stworzyli zastępy bojowe;
A słowem jednem jak kiedyś prorocy,
Ze szponów orła i cara północy
Wybili berło wolności narodu —
Ludy! to czyny — pierwszych chwil zawodu.

Rok tylko życia, a dziecko w olbrzyma,
Młodzieńczy naród w siły świata wzrośnie;
Rok tylko życia! — a po jednej wiośnie
Słońce mnogiemi zabłyśnie oczyma!
My orłem białym wiewając na przodzie,
Gdy krwawy bęben zagrzmi wojny hasło,
Przechodzić będziem naród po narodzie —
Bagnetem błyszcząc gdzie światło zagasło!

Wtenczas wy ludy, za piersi przedmurzem
Wolnych Polaków danych na ofiary;
Berła, korony, ciężkie wieków kurzem,
Z rąk niedołężnych, z głowy strąćcie starej!
A gdy w rodzinę jedną świat się zmieni,
Królów nazwiska będą dzieci strachem —
Kończąc do czego my dziś przeznaczeni,
Pod rodzicielskim wypoczniemy dachem.

DO WOJSKA POLSKIEGO.

(Duia 6-go lutego gdy moskale Bug przeszli.)

Zedrzyjmy dawne z proporców sztandary!
Gdzie męczenników zabutwiała truna?
Ztamtąd dobądźmy krwawego całuna,
Niech jak płaszcz lekki krwi łaknącej mary,
Wzbija się w górę!

Ot patrzcie — patrzcie! — car napędził chmurę
Narodów swoich — już spadła na ziemię
Ojczyzny naszej, i kurzem się wlecze!
Jak rój błyskawic co w obłokach drzemie,
Krociowe z dymu skrzą się ostrzem miecze,
Jak bracia wichry gdy huczne z obłoków
W prawo i lewo łamią sobie drogi;
Miasta w perzynę zdeptały ich nogi,
A pęd gwałtowny barbarzyńca kroków! —

Gdzie są pioruny? — ach niema proroków!
Już bóg nie mieszka w przymierza kościele;
Więc naprzód młodzi wolności mściciele!
Niech nasz proporzec nad rycerstwem wieje!
Ich tłumy liczne — nas prawda niewiele,
Lecz niosąc w piersiach rozpacz i nadzieje,
I wolność — przed ich tłumen niewolniczym
Staniemy z groźnem sędziego obliczem.

Ich kule ślepe. — Z krwawym ludzi potem,
Z otchłani ziemi ołów car wyważa;
Nasze gwiaździste, gromów prędkim lotem
Przejrzą dumnego szeregi mocarza:
Bo ołów na nie ksiądz wybrał z ołtarza,
Na proch wymienił biedny kmiotek sprzęty;
Ojciec dał dzieci do broni ognistej,
A ojciec wyższy, w trzech osobach święty,
Dzieciom ojczystym wlał zapał ojczysty,

Więc naprzód dzieci! czas woła do bitwy,
Strzelajmy, bijmy, najezdników hordy!
Dziś cnotą zdrada — dziś zasługą mordy,
Dziś jedną myślą za wrogiem gonitwy!

Gdy ich wymieciem z Korony i Litwy,
Nie zatrzymane ni Dniestrem ni Dźwiną
Niech pułki idą; wciąż walczą i giną;
Aż zatkniem sztandar z całuna uszyty,
Gdzie był ostatni męczennik zabity.
Chorągiew naszą z całuna uszytą
W tryumfie zatkniem nad Dnieprem i Dźwiną,
Spytamy cara z dumną jak on miną
Gdzie męczenników krew których zabito?

ŚPIEW

PO PIERWSZEJ BITWIE I ZWYCIĘZTWIE POD STOCZKIEM.

Zaśpiewajmy cześć rycerzom,
    Polskim hufcom cześć,
Niech najwyższe wieże wieżom
    Dzwonem głoszą wieść:
Że już bagnet się z bagnetem
    I miecz z mieczem wdał,
I my z małym sił pocztetem
    Dziesięć wzięli dział.

Tam pod Stoczkiem jeczcze ślady
    Ich radlących kul,
Bo obsiadły nas gromady
    Jako pszczoły ul;
A Gaismara na ich czele

Można stawił wódz,
Tysiącami — nas nie wiele
Chciał od razu stłuc.

Zagrzmiał ku nam z dział bez liku,
Konie popchnął wprzód,
Czernił się tam szyk po szyku
I po ludach lud.
Sam dowódca był straszliwy,
Zna go Turków pan;
Mnogiem wojskiem obległ niwy,
My zaledwie łan.

Ale szabla słucha dłoni,
Czuje jeźdźca koń,
Wódz nasz krzyknął: bij, to oni!
Wróg porzucił: broń,
Dziesięć dział ulanych z spiżu
Pełno żywych głów,
A czterysta tuż przy krzyżu;
Zakopano w rów.

To twój pierwszy liść wawrzynu,
Żyj Dwernicki nam!
Tylko naprzód polski synu
Wszędzie jak dziś łam;
Wszędzie jak dziś bierz armaty
I w pień wroga siecz;
Aż wyszczerbisz jak przed laty
Na Kijowie miecz.

BIWA POD GROCHOWEM.

Któż się zląkł twych żołnierzy okutych w żelazo,
Twych wodzów, prochów siły, paszcz ulanych z spiżu?
«Zgniotę, zniszczę zuchwalców, i za jedną razą
«Ujmę świat — drżyj Londynie, drżyj podły Paryżu!
«Naród cały mym nogom zwycięzkim podścielę, *)
«Rzucą się wszystkie ludy pod cesarskie stopy,
«A ja z tronu mojego jak pan Bóg w kościele —
«Mieczem, prawa napiszę ludom Europy!»

Rzekł — rozkazał — z zimową zamiecią i śniegiem,
Na skrzydłach wiatrów trąba zawrzasła chrapliwa,
Po wszystkich czterech stronach świata się odzywa,
Ze wszystkich czterech części lud jarzmi szeregiem.
Tak kiedy morskie wały księżyc pan zdaleka,
Podszczuje gniewnem w chmurach zakrwawionem okiem,
Morze piersi wydyma, łeb podnosi, szczeka,
I ziemi całej — gardłem zagraża szerokiem:
Tak na rozkazy cara, zastępem bojowym
Pułk leje się za pułkiem w pole pod Grochowem.

Słońce było już weszło — Warszawa z mgły siwej
Świątyń krzyżami w słońcu błyskając wysokiem,
Spokojna — jako w duszy naród nieszczęśliwy,
Wyjrzała na obszerne zawiślańskie niwy
Okiem nie trwożnem prawda, ale czułem okiem!
Tak dziewica spogląda wszerz morskiej powodzi
Gdy jej kochanek życie słabej zwierzył łodzi.
Widzieć w naszej stolicy było bez przestanku
Na każdym wyniesieniu, na każdym krużganku

*) «Je foulerai aux pieds la Pologne, et je marcherai contre la France» słowa cesarza rossyjskiego.

Tłumy ludzi ciekawych, — Tu matka z dzieciną.
Łzawem przebiega okiem rozstawione szyki -
Tu starzec z zadumaną, zasępioną miną
Spychając jedną ręką różańca krzyżyki,
Drugą liczy armaty i głąb wojska zmierza.
Tu znów ksiądz od kielicha, hostyi i pacierza
Na wieżycę szczebluje, wypadków ciekawy,
Bo od nich los ojczyzny, los zawisł Warszawy.

Plac bitwy jest obszerny — nasze prawe ramie
Chwyciło las olszowy, lewe Białołękę
W środku konnica skrzydłom podawała rękę:
I tak szeregi stały jak tama przy tamie
Czekając nawałnicy. — Z gęstego drzew płaszcza
Którym w półokrąg dalej najeżone lasy,
Wyglądały czarniejsze silnych wrogów massy —
I zabłysnęło czasem: to armaty paszcza
Na naszych skierowana — to lont — bagnet w świetle:
Albo rzędem na zwiady kozacka konnica
Ciągnie z borów, śród dymu jako czarownica,
Kiedy z gardła komina wyleci na mietle.

My łupu nie żądamy! jak Wisła spokojna
Kolebie w łonie swojem rysunki kościołów,
Tak w żołnierza sumieniu — wojna, krwawa wojna
Nie panuje — on tylko chce z tłumu popiołów
Pamiątki wskrzesić przodków, ojczyznę, swobodę!
Starzec, pomny na dawne Kościuszki zamiary,
Porwał za broń i sypiąc w broń zabójczy ołów
Myśli, że mu się jeszcze wrócą lata młode.
Młody pamięcią zbiega co doświadczał stary,
Marzy jakim był Polak i zostanie jakim —
A każdy chce bydż tylko wolnym i Polakiem.

Lecz słuchajcie — grzmot blizki — patrz, armat czterysta
I pułków dwieście rusza, wysuwa się z lasu,
Artylerya z najmniejszych pagórków korzysta;
Słychać komendę wodzów — zgiełk — pełno hałasu —

Konnica nieprzejrzana śród kurzu wyrasta.
W tej chwili dzwony na mszą uderzyły z miasta;
«To dzwony są tryumfu!» — rzekł wódz z głośnym śmiechem,
«Przed wieczorem w Warszawie wypoczniecie z pracy,
«Patrzcie na tę ich garstkę, ot wszyscy Polacy.»
I śmiech wodza w szeregach odbijał się echem,
Jak nad skałami kiedy z błyskiem zagrzmi chmura:
Aż w końcu do tysiącznych ust ciągnąc z tysiąca
W grzmienie przeszedł niedźwiedzia i w skrzeki zająca:
Głos dwakroć stotysięczny razem wrzasnął hurra!
«Więc armaty niech biją — kolumny piechoty
«Tymczasem las ten wydrą z rąk nieprzyjaciela»
Rzekł — lonty błysły w górze i razem jak z nóty
Piorunem całej linji artylerya strzela.

Odpowiedziała nasza, — zadrżało powietrze —
W dymie, jak w płaszczu duchy, nasze kanoniery
Klęcząc dodają oka kulom i saletrze —
Chociaż za nasze jedno ich dział bije cztery,
Chociaż ognie ich ryczą jak wulkan w wybuchu,
Dość spojrzeć na ich szyki niespokojne w ruchu,
Które chwieją się ciągle jak na fali łodzie;
Dość spojrzeć na chwilowo rozpryśnięte kupy,
Kiedy kula im z czoła wnętrzności przebodzie —
Żeby za błyskiem naszym liczyć wrogów trupy!
Z stron obydwóch kul tysiąc powietrze rozcina,
A jako twierdzę, kiedy prochu pęka mina,
Kamienie, cegły, dachy, rozrucá szeroko,
Albo jak owa lawa gór strzaskawszy głowę,
Kiedy z wnętrza ciemnego wyświeci swe oko,
Wszystko po drodze niszczy, rozmiata i pali,
Tak granaty gdy śmigniem w kolumny pułkowe
Ręce, nogi, w powietrze unoszą moskali!

Strzelajcie napastnicy! nam w naszej! obronie
Zimny proch posłuszniejszy, oko lepiej świeci,
Bo my broń ojców wznieśli na obronę dzieci!
Mąż umrzeć lub zwyciężyć na krzyż przysiągł żonie:

Na nas ojczyzna cała, świat buduje cały —
Szeregom bitnym, wieje przodków orzeł biały!
«Więc naprzód w imię Boga! na las wróg przypuszcza.
«Czwartego pułku bagnet już poznała tłuszcza,
«Drugi się już odznaczył — grenadyery piąty
«Dziś na was kolej mężni — niech baterya blizka
«Kartaczami ładowna, zajmie ich ukosem;
«Naprzód!» — z krawędzi lasu jak iskry z ogniska
Tysiąc bagnetów błyszczy, migają się lonty,
Lecz i wróg nie daleko — jako kłos za kłosem
Wiatrem na polu wiewa gdy rodzajne pole,
Tak głowy pułków licznych, tak zgarbione ciała
Idą ślepo wypełniać narzuconą wolę,
Krzyk okropny — tu czarna — tam chorągiew biała:
Na ich czele dowódca konno się uwija,
Bęben grzmi — już do lasu przeciska się szyja,
A za nią smok ich wojska czarne suwa kłęby —
Już bagnety na naszych jako z paszczy zęby
Obrócili z stron wszystkich — strzał pada na strzale —
Hurra! hurra! i zewsząd cisną się moskwle!

Bagnet sparł się z bagnetem aż w piersiach przepada!
Gromada jedna padła, znów druga gromada,
Żołnierz polski tysiące trupów w lesie kładzie:
Ten cara przeklinając — coś o dzieciach gada
I umiera — ten — ów się już nie wzbudzi
Ile drzew tyle przy nich konających ludzi,
A trupy leżą w śniegu jako gad przy gadzie
W naczyniu mleka pełnem. — Nakoniec w nieładzie
Reszta pierzcha gwałtownie — ścigają ich nasi,
O, zagnali daleko! — lecz słuchaj, jak w mieście
Gdy wiatr mocny — na rzędem rozstawione domy
Pożar się rozeźre nikt go nie ugasi:
Tak oni, pułków mając uzbrojonych dwieście,
Posłuszni woli cara jak wiatrom źdźbła słomy,
Powtórnie życie swoje na harc wszyscy niosą,
Powtórnie znów padają jak zboże pod kosą.
Cóż tysiące im znaczą? — Próżno wróg uparty

Całe rzędy żołnierzy, jak stawiane karty
Ręka dziecięcia lada podmuchem, utraca;
Niezmordowana we krwi najezdników praca!
Trzykroć odparci byli, trzy godzin bez przerwy
Bój, nie — rzeź trwała w lesie — nakoniec rezerwy
Ostatnie wróg wprowadza — pola czarne ludem.
Nasi walczą! — choć ręka wysilona trudem
Choć dziesięć na jednego z wszystkich stron nastawa,
Każde drzewko jest twierdzą, każdy·błysk śmierć rzuca.
I było widzieć w końcu gdy strudzone płuca
Z stron obydwóch ucichły, zmniejszyła się wrzawa
Jak nasi za odgłosem trąby do odwrotu.
Podpaliwszy brzeg lasu przeciągli w dymie —
Każdy ojczyzny drogiej na głos krzycząc imie!
I wyświeżone ogniem czoło pełne potu,
I oko rozżarzone, i broń przytępioną,
I wrogowi raz jeszcze pokazując łono.

To się na prawem działo — lewego już wprzódy
O zwycięztwie zupełnem chodziły pogłoski —
I tam — świadkiem krwią zlane domy i ogrody.
Dwa razy żołnierz polski wroga wyparł z wioski,
Pędząc przed sobą długo przemożne zastępy —
Z prawego i lewego bagnet nie był tępy.

Przerwa w bitwie na chwilę — wódz strony przeciwnej,
Plan ostatni ułożył gwałtowny i dziwny,
Konnicą na sił naszych uderzyć ognisko:
Jeźli punkt ten przełamie, a pewno go złamie,
Jednym popędem koni stanie w miasta bramie.
Tak więc choć mroźna ziemia — niebezpieczno — ślizko —
Na kolumnę żelazną wskazał swoim palcem. *)
Nazwał Polaka w gniewie waryatem, zuchwalcem;
I gdy trąby zawrzasły, już szeregi tłumne
W mgnieniu oka z stron wszystkich pędzą na kolumnę!

---

*) Kolumna żelazna niedaleko Grochowa:

Oktawami głośniejsze im prędszy bieg koni *)
Dowódców słychać zewsząd wrzaskliwe komendy;
Stęp kopyt jak grzmot ciągnie — jak pękanie lodu
Gór alpejskich; ich trąba coraz głośniej dzwoni,
Jak wały rozhukane, w galopie ich rzędy
Płyną, buczą, wrą!

Czyście widzieli dzikich koni stado
Gdy po puszczach wiatr goni rozdętemi boki?
Czyście słyszeli ryki tysiąca niedźwiedzi? —
Taką, jak dzikie konie, pułki ich gromadą
Lecą, bijąc tumany pod same obłoki —
Tak jak niedźwiedź — gdy z gniewem już na pastwie siedzi,
Tysiące jeźdźców wrzaski rozdarły powietrze —
Na proch garstkę Polaków koń i jeździec zetrze!

Kirasyerów pułk gwardyi nieśmiertelnym zwany,
Sadząc czarnemi końmi przez szerkie łany,
Przodem pędził. — Z pod płaszcza, z pod rozwartej pachy,
Bo każdy wyniesioną w górę broń swą trzyma,
Puklerzów błyszczą złotem rozświecone blachy,
O blachę grzmi pistolet na długiem rzemieniu;
Szyszaki na ich głowach drgają czarną kitą,
I broń leci za bronią, oczy są oczyma,
Koń z koniem — człek z człowiekiem — ramię przy ramieniu —
Cóż się stało! — uciekli a resztę zabito.

Cóż się stało? — uciekli — tylko rzędem długim
Koni pełno i ludzi po ziemi się wala,
Tylko w blachy ich złote jak młoty kowala
Biją lance, bagnety — a pułk piąty z drugim
Ułanów naszych dzielnych, wypuściwszy konie
Długo ich jeszcze ściga przez grochowskie błonie.
Aż z nocą — nigdzie w okrąg niebyło moskala!

---

*) Komendy rossyjskie w attaku coraz głośniejsze im żywiej nacierają, tak więc stęp zwyczajnym, kłus mocniejszym, galop wrzaskliwym, a marsz zupełnie cienkim głosem komenderują.

Któż się zląkł twych zastępów okutych w żelazo
Twych wodzów, prochów siły, paszcz ulanych z spiżu?
«Zgniotę, zniszczę zuchwalców i za jedną razą
«Ujmę świat, drżyj Londynie, drżyj podły Paryżu —
«Naród cały mym nogom zwycięzkim podścielę!
«Rzucą się wszystkie inne pod cesarskie stopy,
«A ja z tronu mojego jak Pan Bóg w kościele
«Mieczem, prawa napiszę ludom Europy!»

HYMN

ZWYCIĘZTWA PO BITWIE POD WAWREM I DĘBEM.

Z wiosennych kwiatów niech koronki wiją,
Na laur żołnierzom dziewic naszych ręce;
Niechaj łzy starca, i krzyki dziecięce
Błogosławieństwem w niebios biją szczyty!
Niech zagrzmią dzwony, i organy szyją
Nadętą w hymny uderzą,
Sztandar nad każdą niech zabłyśnie wieżą:
Moskal pod Wawrem pobity!

O gdybym śpiewem mógł czucie w granity
Wsączyć i łzami roztworzyć krew ludzi,
Śpiew mój, jak obłok ciagnąc przez błękity,
Światby przeleciał zimny, nieużyty.
Łzyby paliły — ale któż obudzi
Płaczem i pieśnią zwyczajną,
Ludy służalcze i ziemię przedajną
I starców w młodości wieku!

Precz więc zgnuśniały bez serca człowieku,
Nie dziś dla ciebie brzmią zwycięztwa hymny,
Wiekom śpiewamy — i wiek je po wieku

Jak skrzydło w polocie wiatr zimny,
Dopchnie ku przyszłej prawnuków puściznie,
Co dziś zabrzmiało w ojczyznie;
Hymn nasz, on w świata rozrośnie się hymny
Zwycięzcom, wojsku, wodzowi!

Śpiewajmyż wszyscy — niech każdy pozdrowi
Jak żeglarz gwiazdę, orła przy pogoni —
Wieszcze! zdejmujcie laur dawny ze skroni,
I wielkiem kołem do śpiewu gotowi,
Dzisiaj w zieleńsze ubierzcie się wieńce!
Oto są moskale, jeńce!
Oto armaty, oto ich sztandary!
Zdobyło je wojsko wiary!

«Niech żyje wojsko, bracia, przyjaciele;
«Dziś czas zmartwychwstać kto obumarł w duchu!
«Już alleluja śpiewają w kościele.
«Dalej do broni, do życia do ruchu,
«Zapalcie wszystkie razem w kraju wieci!
«I z nami starcy, kobiety i dzieci!
«Obóz nasz będzie ojczystą zagrodą,
«Wszystkich na wroga niech wiodą!»

MODLITWA OBOZOWA

DNIA 7-GO MAJA W OBOZIE POD RUDZIENKĄ.

Nie na różańca pierścienie
Dziś liczmy modlitwy nasze,
Niech grzmią działa, lśnią pałasze,
I za szeregowe pienie
Ozwą się jedne modlitwy:
Do Litwy, wodzu, do Litwy.

Nie ten z Bogiem, kto pacierze
Z książki odczytuje pilnie;
Bóg z tym trzyma nieomylnie
Kto w wolności działa wierze!
Nasze więc jedne modlitwy:
Do Litwy, wodzu, do Litwy!

Kraśne są Niemna doliny,
Kraśniejsze Litwinów serca!
Złączą się z nami Litwiny
A żyć skończy przeniewierca. —
Dziś niech spólne grzmią modlitwy;
Do Litwy, wodzu, do Litwy.

Tam wystawim ołtarz wiary
Ołtarz będzie nad ołtarze,
Czołem mu wytną mocarze
Car nam stanie na ofiary.
Hej, za wrogiem dziś gonitwy:
Do Litwy, wodzu, do Litwy.

Kędy słupy Bolesława
Groźne rozbijały fale,
Niech nasz kościoł bracia stawa;
Ja w nim kadzidła zapalę,
Bo znam waszych serc modlitwy:
Do Litwy, — dalej — do Litwy!

Proch wygrzebiem z ziemi głębi,
Ofiar drgające ostatki;
Niech się w niebo dym rozkłębi
Niebo nam służy na świadki,
Na świadki mściwej modlitwy,
Nieszczęść Polski, nieszczęść Litwy.

Łzy współbraci, niech za ciało
Za krew w kielich leją księża;
W jęk niech kapłan śpiew wytęża,

W jęk piekielny: — «tak się działo!
My śpiewajmy krwawe bitwy,
Mordy Polski, mordy Litwy!

Czas zastąpi ofiarnika,
Zimny świat nam mszy posłucha,
I za odmiar nędzy ducha
Niech go śpiew nasz wskroś porusza!
My śpiewajmy krwawe bitwy!
Mordy Polski, mordy Litwy!

Jako iskra gdy w przelocie
W ciało pryśnie, płomień wznieci,
Tak śpiew nasz ziemię przeleci
I zapali duchów krocie.
Śpiewać będą krwawe bitwy,
Tryumf Polski, tryumf Litwy!

Świat cię przeklnie dumny człeku,
W tobie nieszczęść wszystkich wina,
W tobie niesczęść wszystkich wina,
Jak cię śpiew mój dziś przeklina —
Giń morderco, Polski, Litwy,
Oto koniec mej modlitwy! —

ŚPIEW
OCHOTNIKÓW POZNAŃSKICH WYCHODZĄCYCH NA LITWĘ.

Dnia 26-go Maja,

CHÓR.

Hej! rozpuśćmy cugle koniom.
Dalej bracia pędźmy w biegu,

Tam, na tamtym Litwy brzegu
Nieśmy wolność Litwy błoniom!

GŁOS.

Kto bez serca, niech się wstrzyma,
Tępy wzrok niech duszę mrozi;
My wolności mamy oczy —
A wzrok wolny granic nie ma!
Z biciem serca idzie w parze,
Z myślą leci w niebos szczyty;
Prochem przed nim są mocarze,
Sam Bóg przed nim nie ukryty.

CHÓR.

Hej! rozpuśćmy cugle koniom,
Dalej bracia pędźmy w biegu
Tam, na tamtym Litwy brzegu!
Nieśmy wolność Litwy błoniom.

GŁOS.

Patrzcie o litewskie syny!
Niech weselne zagrzmią dzwony,
Oto pierścień niezgwałcony
Śle wam Polska w zaręczyny.
On z prawicy Franków zdjęty,
Świat cały kiedyś zaręczy;
On przymierzem nakształt tęczy!
Bierzcie bracia pierścień święty!

CHÓR.

Hej, rozpuśćmy cugle koniom, etc. —

GŁOS.

Litwa z Polską, Polska z Litwą —
Jedne ich cele, nadzieje;
Tylko bitwy wciąż za bitwą.
Bronią pędźmy czas i dzieje!
Za broń, za broń tylko żwawo,
Dość już więzów, dość niewoli,
W ludów, życia inna kolej;
Wszak i słońce wschodzi krwawo.

CHÓR.

Hej! rozpuśćmy cugle koniom, etc.

GŁOS.

Niech się krew leje strumieniem —
Krew ta drogo zapisana,
Ona spłynie pokoleniem
Kar i nieszczęść na tyrana.
Anioł z nieba, w złotą czarę
Każdą kroplę krwi tej zbiera:
Wie każdego — kto umiera
Za wolność — ojczyznę — wiarę!

CHÓR.

Hej, rozpuśćmy cugle koniom, etc.

GŁOS.

Tak więc za ślubne ołtarze,
Za godło jedności naszej,
Niechaj Litwa z Polską w parze
Podniesie ostrze pałaszy.
Śmierć albo zwycięztwo wszędzie,
Wolność lub śmierć wszędzie razem,
Niech przysięgą naszą będzie,
Ślubu naszego obrazem!
I rozpuśćmy cugle koniom,
I za wrogiem pędźmy w biegu —
Polska — Litwa — na tym brzegu.
Cześć, cześć Polki, Litwy błoniom.

CHÓR.

I rozpuśćmy cugle koniom,
I za wrogiem pędźmy w biegu
Polska, Litwa, na tym brzegu
Cześć, cześć Polski, Litwy błoniom!

NA DZIEŃ POSPOLITEGO RUSZENIA.

Otwórzcie bracia świątyń podwoje,
W lilje i róże obstrójmy ołtarze;
Niech kapłan bierze mszy tajemne stroje,
I w dzwony zagrzmieć rozkaże!
Módlmy się! — głosy wiary i cierpienia
Błyskiem przenikną przez niebos sklepienia
I o Boga słuch uderzą!

Zagaśmy światła gromnic godnych nocy,
Wszerz okna wszystkie otwierajcie księża;
Zbrodnia niech mroków przyzywa pomocy,
Przy słońcu cnota zwycięża!
Módlmy się! — głosy wiary i cierpienia
Błyskiem przenikną przez niebios sklepienia
I o Boga słuch uderzą!

Świętym jest kościoł! — ale dziś kościoła
Obręb za mały dla wolności ducha —
Na bok więc mury! — gdy lud cały woła,
Niebo i ziemia niech słucha!
Unośmyż ołtarz! — on światło powita —
Przed światem całym niech mszą kapłan czyta,
Ona mąk naszych obrazem!

Mordy, pożogi, gwałt żonom zadany,
Zniewaga dziewic nasza rozpacz zimna,
Niech będzie treścią bogobojną hymna —
Tak prośmy pana, nad pany!
Módlmy się! głosy wiary i cierpienia
Błyskiem przenikną przez niebios sklepienia
I o Boga słuch uderzą!

Przecież kto ręczy że zaczęte modły
W umarłych ustach nie zastygną razem?
Wróg nam zagraża ogniem i żelazem —
Nadzieje często zawiodły.
Więc dzisiaj głosy wiary i cierpienia
Niech śmiała ręka w śmielszy czyn zamienia:
Do broni, ludu, do broni!

Nie czekaj bracie aż ksiądz od ołtarza,
Morderczą ręką będzie wywleczony;
Nieczynność Boga i ludzi odraża;
Rękę dał Bóg do obrony,
Ręka uderzy! — godzina wybiła
I padnie przed nią nieprzyjaciół siła.
Do broni, tylko, do broni!

Kapłan w ornatach z krzyżem i kadzidłem
Niech naprzód idzie, prowadzi gromadkę!
Ojcowie, syny, opuszczajcie chatkę,
Pod Boga zostanie skrzydłem;
Czekają na was bracia, przyjaciele,
Jak podniesienia pobożni w kościele —
Jak nieba blizki skonania!

A wy dziewice, skoro szyk bojowy
Wszystkie świąteczne chorągwie rozwinie,
Bierzcie Maryę! — niech wianek liljowy
Ozdobi matkę przy synie.
I wszyscy razem — naprzód żwawo dzieci,
Gdy błyszczą żarem pagórkowe wieci,
Na wroga, wszyscy, na wroga!

Jak wały morskie gdy je wiatry wzmogą,
Jak błysk, gdy chmura pod niebiosa ciśnie,
Taką po wrogach będziem deptać nogą,
Taki grom z ręki wybłyśnie!
Próżno się dumny odgraża siłami

Bóg, Wiara, Wolność dziś walczą za nami —
Biada mu, biada, na wieki!

Tylko wytrwale, a z Bogiem skończemy,
Tylko z tą wiarą co przodkowie czcili,
Tylko się w cnoty niech każdy wysili,
Na zbrodnią głuchy i niemy —
I za broń bracia! — modły i cierpienia,
Bóg z bronią naszą w cuda pozamienia.
Do broni, Jezus Marya!

Niech głos do broni jak tchnienie zarazy,
Do każdej chatki i zakątku wbiega,
Niech się po całym kraju dziś rozlega,
Po tysiąc tysięcy razy.
I serce ogniem niebieskim rozdmucha,
W olbrzymie kształty wzniesie siłę ducha.
Do broni, Jezus Marya!

Starcze! stop siły pozostałe w życiu,
Z młodzieńca jeszcze nierozkwitłą siłą —
Mężu! opuszczaj małżonkę zażyłą,
I synka twego w powiciu;
W imię wszechmocne, w imię przodków wiary
Na ołtarz nieście ostatnie ofiary.
Do broni, Jezus Marya!

II.

(Wojska nasze na Litwę wyprawione pod dowództem Jła Chłapowskiego i Giełguda składają broń na granicy Pruskiej. — Jł. Dembiński wraca do Warszawy — a tak powstanie litewskie zupełnie przytłumionem zostaje. Tymczasem po śmierci Dybicza feldmarszałka rossyjskiego, Paszkiewicz komendę ująwszy, wszystkie siły nad Wisłą koncentruje, i do przeprawy przygotowania czyni. — W całej Europie spokojność, Prusacy wszelkiemi sposobami łamią neutralność przyrzeczoną — Francya nieczułem okiem na sprawę naszą spogląda — sami sobie zostawieni jesteśmy.)

DO LUDÓW.

W WARSZAWIE DNIA 27-GO LIPCA.

Słuchajcież ludy! — kiedyś — niedawno
Żył naród wielki i wolny,
I zginął zdradą. — Świat nie był zdolny
Czuć zdradę, zbrodnię tak jawną,
W swojego prawa obronie.
Krew lał strumieniem i chwilę pożył —
Świat go opuścił przy zgonie!

Tu przerwa w dziejach! — W wielkim narodzie
Inne jest życie, śmierć inna;
Chociaż upadnie, dusza jest czynna —
Jak słońce — gdzieś — po zachodzie!
Łzami kramione serce tężeje,
Czucie zamknięte w moc rośnie,
I życie wszakże wzmaga się po śnie —
Po stracie wschodzą nadzieje!

Błysły! — jak księżyc w kłębie chmur błyska,
Choć przed nim tarcz swą noc trzyma,

Jak w nocy ciemnej, choć słońca nie ma,
Z wiecznego słońca ogniska,
Gwiazdy przypomnień błyszczą oczyma,
I śmierć — gdzieś zbudza na nowo:
Błysły, i ręka była gotową —
I ciałem stało się słowo!

Opadły więzy! — i powstał naród —
Wybiła chwila — skończono.
W młodości, dojrzał cnót wielkich zaród,
Młodości, zrosło się grono.
Ramię z ramieniem siłę stworzyło
Zapał się w cuda rozwinął.
Ludy! — ten naród, który zaginął
Dziś ducha zmartwychwstał siłą!

O gdybym we łzach mógł moje pióro,
We krwi umoczyć niewinnej!
Gdyby jęk matki i płacz dziecinny,
W pieśń można przelać ponurą,
Śpiewałbym Bogu, ludziom i światu!
Przyszłości, wiekom po wieku:
Jak z jarzma rękę brat dawał bratu —
Czem jest duch twórczy w człowieku!

Dziś — w potop zdarzeń arka już pchnięta
Na czasu wznosi się fali,
Tylko majtkowie niech będą śmiali:
Porwijmy kotwicy pęta.
I płynąć — mniejsza że niebo się chmurzy,
Ster naprzód — na wiatry żagle!
Piersią naglicie jak ja bieg naglę —
Wolność jest celem podróży!

Oczy na gwiazdy, rękę na styrze
I tak przez czasu obszary.
Kto myśli szczerze, kto działa szczerze,
Kto pełen czucia i wiary,

Takiego majtka morskie topiele,
I losy szanują ziemi;
Jego duch jako ołtarz w kościele
Nad człekiem — między świętemi!

Puścim gołąbka — ptak srebrnopióry
Niechaj świat cały okoli,
Niechaj się wzbija w niebo do góry
I znów się zniża do woli.
Jak ptak Noego dojrzał gór barki
I różczkę przyniósł oliwy,
Tak i nam różczkę świat litościwy
Przez gońca przyśle do arki.

Wzleciał i zniknął — o bracia moi
Paść nam przed Boga obliczem,
Tam każda cnota na wadze stoi
I cud u Boga jest niczem.
Bóg może natchnie narodom duszę —
Krew to ich serca się leje;
Ludy pomnijcie! spólne są dzieje
I spólne ludów katusze.

Patrzcie, o patrzcie, jako bez miary
Krew nasza płynie strumieniem,
Już pokolenie za pokoleniem
Ginie jak w ogniu ofiary.
A wy płaczecie! — Marne płakanie,
Gdy działać trzeba z zapałem,
Upadniem — wieczność naszym podziałem
Ale cóż z wami się stanie?

Jak krwią twarz zbawcy, na chuście świętej
W wieczne się czasy odbiła,
Tak i wam ludy cud niepojęty,
Tajemna krwi naszej siła,
W pamięci, nasze męczeńskie życie
Obraz mąk naszych wytłoczy,

Każda myśl wasza mieć będzie oczy,
    I każdą na nas spojrzycie!

Zabitych matek tysiące, matka —
    Brat, tysiąc braci przypomni:
A wasze dzieci, wnuki, potomni
    I aż do wieków ostatka,
Jak my za wolność giniemy razem,
    W jarzmie upadną pod mieczem.
I umrą dla wás z klątwy wyrazem,
    Bo my wam dzisiaj złorzeczem!

Słuchajcież ludy! — kar blizka chwila
    Prędzej czy później uderzy,
Patrzcie, duch reszty wolnych rycerzy
    W siódmej się pracy wysila.
Siódmy już miesiąc prac u połowy
    Lecz słyszcie, ósmy nie minie,
Świat wielki, wolność, wszystko zaginie
    Jak płomyk lampy grobowej!

Jeden-li-tylko na martwym tłumie
    Na trupach licznej czeladzi;
Tron swój żelazny, ciężki osadzi,
    Tron wyniosłości i dumie.
Ztamtąd — o zgrozo — resztki narodu,
    Szkielety w człeka postaci
Zarządzać będzie, aż w więzach, z głodu
    I mordów, reszty nie straci!

To wasza pzyszłość! — płaczcież więc ludy
    Nie nas, lecz własnej kolei,
My — póki serce — nie zginiem wprzódy.
    Nie traćmyż bracia nadziei;
Jak dusza z ciałem tak się dłoń z dłonią
    Do końca potrzyma szczerze,
Mniejsza co przyszłe losy odsłonią —
    Umrzemy w wolności wierze!

W OBOZIE POD BOLIMOWEM 5-GO SIERPNIA.

Kiedyś — z czasem — gdy w siedzibie
Przodków moich, w chatce mojej
Znów zasiądę śród rodziny,
A słoneczko się złotem przejrzy w starej szybie;
Może i pamięć złotem się obstroi —
Wtenczas, słuchajcie wszyscy — nie błahe nowiny
Lub miłostki zastygłe, uczucia kłamane
Zasłyszycie w powiastce — ja mą duszą stanę
Nad przeszłości brzegiem.
Utonę w niej, jak w pięknym cichych wód krysztale,
Gdy z wichrami przejdą fale,
Tonie księżyc swym obiegiem;
I oko w głąb wciskając, ślady znane kradnie
Okrętów zgruchotanych i korali na dnie.

Może powieść, wspomnienie przez zapały mowy
I przez waszą uwagę do czucia się wzbije,
Wtenczas jeźli dłonie czyje
Arfę zwykły obiegać — niech sięgną ku stronie —
Muzyka twoja w pamięć moją wwionie
I śpiewać zacznę do grania połowy!

Wsparty na żony ramieniu,
Lub dłoń cisnąc przyjaciela,
Pójdę za głosami twemi;
A gdy zakończać będziesz, i w ostatniem brzmieniu
Ostatni przegraj w strony ręka porozstrzela,
Ja śpiewać zacznę — wtenczas ty wolnemi
I cichszemi dźwiękami dopomagaj śpiewom —
Tak rosa z niebios pada i kwiatom i drzewom,
Do porostu kropelką czystą dopomaga;
Tak i hymn pobożnemu kiedy Boga błaga.

Jako starzec znużony lubi dawnym czasem,
Upominkiem z przeszłości przymilić wieczory
Z końcem grudnia zakrzepłej i zimowej pory,

Kiedy siedząc spokojny za świata hałasem,
Ledwie zasłyszy jak wiatr szyby draźni: —
Tak i często człek młody:
Po odbytej w swem życiu zawichrzeń kolei,
Szczęśliwy jeźli myślą przeszłość zbiegłszy wprzódy,
Gdy nigdzie nię spotyka i śladu nadziei,
Może jeszcze zamarzyć na łonie przyjaźni!

(Zmiana naczelnego wodza — dzień 15 i 16 Sierpnia — wojsko cofa się pod Warszawę. — Prezesem rządu Krukowiecki — dnia 6-go i 7-go Września szturm Warszawy. —)

W NOCY PO PIERWSZYM DNIU SZTURMU.

Spojrzałem w niebo — gdzie noc płaszcz swój ciemny,
Jak kir żałoby zwiesiła —
Gdy tam jej nie ma — gdzież jest boska siła!
Gdzie jest Bóg dobry, wzajemny?
Patrzyłem długo — i w niebios przeźroczy
Jak lampy grobu gwiazd błysło tysiące
I błysły jako oczy konające!
I z nieba spuściłem oczy!

Spojrzałem na dół — a tam trupów stosy;
Ziemia leżała jako olbrzym czarny,
Z ust swych buchała parę mgły ofiarnej,
Czy przekleństw tchnienie. — I słyszałem głosy —
Głosy jęczące konających wkoło!
I z ziemi podniosłem czoło:
Tlały radośnie w około ogniska;
Tu naszych — z drugiej strony ognie wroga —
Tak blizko zemsta — nienawiść tak blizka,
A śpią do koła i spokojni wszyscy!
Westchnąłem — tak i ludzie Boga blizcy,
A przecież wiecznie wzgardzeni od Boga!

Nim zorze niebo na wschodzie zapłoni,
Jak na sąd boży rwą się wszyscy razem,
Krzyczą okropnie do broni! do broni:
Szczękają w okół żelazem!
I ja dosiadłem dzielnego rumaka;
Serce mi żywiej, mocniej uderzyło —
Pędzę — za wolny — chciałbym skrzydłem ptaka
Chciałbym na wroga olbrzyma wpaść siłą,
Życie mu strzaskać prawicą Kaima —
Pędzę jak ślepy — sam Bóg mnie nie wstrzyma!

(Dnia 8-go Września wojsko nasze ustępuje do Modlina—później do Płocka. Dnia 23-go Września rada wojenna, na ktorej sześciu tylko Jenerałów za trzymaniem się do ostatka wotują. — Sejm się zbiera. — Nad wieczorem Jenerał Umiński ogłoszony naczelnym wodzem, w dwóch godzinach po obraniu, widząc że się inni bić nie chcą, naczelnictwo składa — wojsko nasze waleczne, ani w jednej bitwie nie zwyciężone, z rozkazu ostatniego wodza naczelnego Jenerała Rybińskiego na granicy Pruskiej broń składa i do Prus wchodzi.)

WCHODZĄC DO PRUS.

Gdzie wojsko nasze bitne? gdzie Wawru rycerze?
Gdzie Grochowa zwycięzcy, Warszawy obrońce?
Ich sława w burzy tonie jak skrwawione słońce
Zaszło — na tamtym świecie miejsce swe zabierze!

Szczęśliwy kto schronienie już wynalazł sobie.
Jak pielgrzym, co przed burzą w ciemną grotę bieży,
Tak on wszedł w grób przed hańbą! — Ojczystych pacierzy,
Uczyć będą ojcowie synów na twym grobie!

Twoją pamięć wykarmi w krwi swojej dzieciny
Matka, sycąc ją łzami z niemowlęcem mlekiem,
I z rodziny przechodzić będzie do rodziny
I o niej tylko mówić, śpiewać, wiek za wiekem.

Nam inaczej! — Zwycięzcy stoim zwyciężeni!
Napróżno piersią pełną wzmaga się głos wojny,
Żołnierz na kij żebraka broń swoją zamieni
I prosząc chleba rycerz — pójdzie w świat spokojny.

Kto tak przejrzał? O, pytaj przekleństwa tysięcy —
Patrz na uścisk ostatni — długi — zobopólny,
Matek z dziećmi — kochanków — płacz sierot dziecięcy,
I zapytaj żołnierza, czy bić jeszcze zdolny?

Stało się — wołał śmierci — umierać nie dali;
Na obcą ziemię pędzą nieszczęśliwą rzeszę.
Więc i ja tu w ojczyznie lutnię mą zawieszę,
I z wami bracia pójdę — dalej, coraz dalej!

Tylko jeszcze ostatni raz paść na kolana,
Raz ostatni ucałuj prochy matki twojej —
I teraz w pochód — patrzaj! — Graniczny słup stoi;
Tyle ofiar — krwi tyle! — Napróżno — przelana!

Rozłam broń — rzuć daleko — wbij nogą proch w ziemię,
Gdzie nas wiodą, tam zbrodnia pokazać się z bronią.
Kusiło się napróżno krocie wrogów o nią,
Dzisiaj — może na wieki — już senna zadrzemie!

W ROCZNICĘ.

Dnia 29-go Listopada.

Czas przyszedł zwiastowania! —Na całym zachodzie
Okrzyk powstał tryumfu — jako piorun silny. —
Był to grzmot bez piorunu! Naród*) po narodzie
Biorąc hasło Paryża, w nadziei omylnej
Porywał się z letargu — i osłabłe ręce
Ku zachodowi wznosił z jarzmiącej niewoli.
Próżno! — Były to tylko okrzyki dziecięce —
A czyn ich? — Z hukiem na dół rzucona kaskada

*) Rewolucya lipcowa.

Która czując wysokość, gwałtownie upada,
Ale upadłszy — płynie zmęczona — powoli.

Narody oszukane do ziemi przypadły.
Cicho wiały z zachodu w trzech kolorach wstęgi —
Na północy — w dwóch światach szeroko rozsiadły.
Car jeden, z krzykiem gniewu wzniósł berło potęgi
I nim trząsnął — od granic wody lodowatej
Aż do muru chińskiego znak przeleciał Pana —
I pięćdziesiąt milionów padło na kolana,
I czołem uderzyły dwa pobratnie światy.
Dał znak drugi — jak wiatrem utoczona śniegu
Lekka bryła, na ślepo rośnie coraz więcej,
Tak wojska państw ogromnych od brzegu do brzegu
Nim się zlały — urosły w trzykroć stotysięcy.
I trzykroć stotysięcy pan wiedzie nad pany,
I drugie tyle królom wyciśnie po drodze!
I sześćkroć stotysięcznych wojsk chwyciwszy wodze,
Popchnie w zachód — lud zdepcze — i wtrąci w kajdany.

Czas przyszedł narodzenia! — patrz — z Niepokalanej,
Ducha świętego sprawą syn wyszedł prawdziwy.
Młodzież go urodziła w uczucia prostocie —
W mgnieniu oka czyn śmiały rozbłyśnięty w dziwy,
Zachwiał w mocarzu myśli i wojsk jego krocie,
Orzeł nasz, ludów wszystkich oklaskami wzbity,
Jak owa gwiazda wschodnich królów przewodczyni,
Skrzydłem swem białem świata przebiegnął błękity
I nad ludem swym zawisł jak lampa w świątyni!
Arką została Polska — wolności przymierzem —
Z niej miało światło wiary rozpłynąć po świecie
I ludy wszystkie kiedyś wierzyć, jak my wierzem
Że przemoc upaść musi, gdy dzielnie zechcecie!
Że olbrzyma potrafi zgnieść Wolności dziecię!

Cześć więc polskiej młodzieży! jakiej święta Panna
Doznała kiedy Boga ujęła w ramiona;
Cześć im! — Niech w wieki późne wybawców imiona
Nieskażone, przeniesie stujęzyczna sława!

Pamięć ich łzami ludów niech będzie karmiona!
A my śpiewajmy dzisiaj hosanna! hosanna
Wolności zbawicielki, Betleem Warszawa!

Czas przyszedł męki świętej! — od Niemna do Wisły
Miasta, wioski, pożarów płomieniem zabłysły,
Wróg na nas z knutem przyszedł i z ogniem i z mieczem.
Żony nam zabijano — dzieci — niemowlęta,
Męczenników strumieńmi lała się krew święta.
Biliśmy — złorzeczyli — jak dzisiaj złorzeczem
Próżno! — Napróżno wałem wzrastały mogiły
I trzykroć siły nasze stargały ich siły!
Zwycięzcy, my nie z jednym walczyli narodem —
Z trzech stron czarne przemocy zawiały sztandary
Dwóch królów się złączyły z północy Herodem
I Bóg żądał ofiary — spełniono ofiary!

Bracia moi! — nadzieja! — jeźli głosy wieszcze
Nie uwodzą, czas przyjdzie Zmartwychstania jeszcze.
Przyjdzie czas Wniebowzięcia — laur z krzyża wyrośnie,
Tułacze znów się zbiegną na Pańską wieczerzę;
Jak kiedyś apostoły Chrystusa, radośnie
My Polskę powitamy! I Polak zabierze
Miejsce między ludami i na siłach dzielny
Jak dwa razy zrodzony — będzie nieśmiertelny!

ZAKOŃCZENIE.

w Dreznie.

Nie miękkie rymy skandowanych wierszy,
Z których pospólstwo laur z czasem uplata,
Nie w bezczynności przemarzone lata
Wabią mi ducha. — Mój duch w oku szerszy
Świat cały, niebo, podgarnia pod siebie!
Jako ów żeglarz na wody przestworze,
Depcąc okrętem rozhukane morze,
Bieg swój z gwiazd czyta na wysokiem niebie!

Żyłem śród burzy — myśl moja toczona
Jak wały morskie, ujęła w ramiona —
Zgrzybiałej ziemi zapleśniałe końce.
Myślałem zepchnąć z starego łożyska
Ziemię schorzałą, i słońce co błyska,
I z ziemią stopić z nieba zdarte słońce!
Roskosz to była pędzić żaglem burzy,
Na łodzi zatlić portowe latarnie,
Myśleć że łódź ta świat cały ogarnie —
Tylko mi płynąć dłużej było, dłużej!

Dopadłem ziemi na drzewa odłamie,
Szukałem próżno braci mych żeglarzy:
Tu inni ludzie — cichość na ich twarzy
I łza przelotna w oku litość kłamie!
Mówić — nie pojmą — język ich zgrzybiały
Długi, rozwlekły — myśl w słowach zagasła;
A czyny w myślach — nie nasze to hasła
Któremi króle, czas, narody drżały!

W piersiach jedynych zabrzmiały na nowo,
W piersiach raz drugi dalekiemi echy.
Wszystkie nadzieje, uczucia, pociechy,
Zrosły się w myśli — przetworzyły w słowo —
Jam śpiewać zaczął! — Jak pieśnią grobową
Śpiewają pamięć tych których już nie ma,
Aż z końcem pieśni — dzisiaj — przed oczyma
Znów co innego. — Rzucam gnuśne pióro,
Czynów mi trzeba w błyskawicy pędzie,
I walki z czasem — ludźmi i naturą
I wojny takiej jak w mej duszy — wszędzie!.
Chciałbym znów działać i w czynów zachwycie
Na nową burzę, na nowe rozbicie
Pchnąć się — i zginąć — gdy lepiej nie będzie!

SONETY WOJENNE.

JENERAŁOWI

UMIŃSKIEMU

W DOWÓD

SZACUNKU WYSOKIEGO

I

NA PAMIĄTKĘ

KAMPANJI Z ROKU 1831-GO POD JEGO ROZKAZAMI ODBYTEJ,

POŚWIĘCA AUTOR.

Drezno, dnia 7-go Grudnia 1832.

I.

WSTĘP.

Jak na sąd, kiedy zagrzmi trąba archanioła,
Rozpadnie się grunt ziemi jak przerżnięty stalą —
Ludzie, narodów tysiąc, jako listki falą
Porwane będą, skoro głos wielki zawoła.

Na jedno słowo świat się zmieni w gmach kościoła.
W kadzielnicy wszechmocnej słońca ziemię spalą,
I popioły opadłe złych w piekło powalą
A ku niebu się wzbije drużyna wesoła
Tak tu. na ziemi bitwa sądu jest obrazem.

Od jęku dział i grzmotu ziemia drży w przestrachu,
Kłęb się dymi po kłębie, jak ręka w zamachu
Wznosi w górę, i znika gdzieś w niebieskim dachu —
Barbarzyńcy z przekleństwa konają wyrazem;
My z roskoszą za wolność umierajmy razem.

II.

NATARCIE KONNICY NA KONNICĘ.

Znak do natarcia dany — wtem dwa ciała żywe
Jak dwie chmury, nim grzmot z nich śmiertelny wystrzeli,
Wolno się posuwają na wietrznej topieli;
Coraz bliżej nadchodzą krwi i mordów chciwe.

I znak drugi uderza — i koń wstrząsnął grzywę
I parsknął — okiem strzelił — i żywiej i śmielej
Kopytem dziarskim ziemię pod nogami dzieli,
Jakby wiedział że niesie wyroki szczęśliwe.

Marsz, marsz! trzeci raz słychać — patrz — na skrzydłach fali
Nie tak ku niebu morze miota się z otchłani
Jak jeździec, jak koń pędzi — ziemia się tumani. —

Krzyk okropny — szczęk broni — znani i nieznani
Mięszają się — kto wygrał? — Nie rozpoznać w dali
Tamci pierzchli — z trupami zwycięzcy zostali!

III.

WZIĘCIE ARMAT NA GÓRZE STOJĄCYCH.

Parskają w biegu rączym rumaki gorące,
Na koniach młódź bojowa posuwa się nagle,
Wieją nasze proporce jak zwycięztwa żagle,
Lasem sterczą do góry lanc ostrych tysiące.

Tam, na gór wierzchu stoją działobitnie grzmiące —
Te wziąść trzeba! — I lance z ręki na dół nagle

Spuścili z szumem wszyscy — i ja konia naglę,
I ja w ten potok żywy konia nogą wtrącę.

I wtrąciłem, i pędzę jak kropla w potoku.
Marsz! marsz! już koń rwie wiatry, już ziemia zadrżała!
W tem błysk z grzmotem — kartacze świsnęły w obłoku —

Sto koni i jeźdźców w rączym padło skoku;
Sto lanc stu razem przebodło kanonierów ciała,
Szańcowane w półokrąg — nasze były działa!

IV.

NATARCIE KONNICY NA CZWOROBOK BATALJONU PIECHOTY.

Bracia! żwawo w czworobok — — broń naprzód i oko
I nie strzelać i śmiało czekać ich napadu!
Jako chmura śród lata ciężarna od gradu,
Ciągnąc z wiatrem ryczącym nad ziemią szeroko,
Gdzie przejdzie — w dole pusto — niebo ćmy zawloką —
Tak rycząc, z szczękiem broni, w ładzie i bez ładu
Pędzi jeźdźców tysiące — tuman, znak ich śladu. —

Koń rątszy jest od chmury, bagnet nie opoką!
Serce od skały tęższe! — W niewzruszonym rzędzie
Nasi stoją i milczą — już blizko przypadli. —
Jeźli jeszcze postąpi wściekła dzicz w zapędzie,
Koń dziarski w mgnieniu oka w szrankach naszych będzie!
Nasi milczą — czy jeźdźcy pewną śmierć odgadli?
Uciekają — strzelajmy! — Koń i jeździec padli!

V.

UDERZENIE NA BAGNETY.

Bęben zagrzmiał — krok większy — zbliżać się zaczęto.
Sto bagnetów na czele sterczy z pod ramienia
Na ich ostrzu miljonów leżą przeznaczenia —
I wrogów rośnie żołnierz w kolumnę ściśniętą.

Z stron obydwóch na wiatry chorągwie rozpięto.
Z pokoleniami dzisiaj całe pokolenia
Walczyć mają o palmę zwycięztwa, zniszczenia —
Dziś tryumf albo drugie męczenników święto!

Więc naprzód! Tysiąc głosów z naszej strony wrzasło!
Proch z panewki! — Zsypali — już biegną — skry broni
Widać w kurzu — wróg strzelił — dym zaćmił — gdzie oni?

Wszystko jak w kotle jakim zawrzało i zgasło.
Ale patrz — orzeł biały wieje przy pogoni —
Pod nim trupy — i w niebo zwycięztw bije hasło!

VI.

SZTURM DO OKOPU ODPARTY.

Warczą kule w powietrzu — śmigają granaty —
Jeden wpadł do okopu — kręci się i pęka —
Zamięszanie — tam kadłub — tu noga — tam ręka —
Tu ratują — tam z trupa krwawe ciągną szaty,
Na wale znów windują do góry armaty.

Pod spiżu ciężarami ziemia gnie się miękka —
Zwindowali — nabili — i kanonier klęka
I celuje — i pomści krwawej naszych straty.

Już lont swój zapalony drugi w ręku trzyma!
Przyłożył — strzelił dym się skłębił — wzniośł i znika —
Ale co za krzyk! — Wróg się do szturmu pomyka.

Śmierć lub odparcie — innej nadziei już nie ma,
Za broń! — kartacze w działa — śledzim go oczyma —
Ognia wszyscy! — Wał urósł z trupów najezdnika!

VII.

ZWYCIĘZTWO.

Jakiż to grzmot i krzyki i światło i chmury,
Czy słońce nowe wstaje z błyskającej zorzy?
W kłębach się ćmi migając stotysięcy noży
I głos słyszę — to anioł śpiewa hymn u góry!

Śpiew ten zabrzmiał na dole zwycięzkiemi chóry,
Jak człowiek prawowierny wyrok śpiewa boży;
Nim mu śmierć palmę niebios na skronie położy,
Nim po życiu doczesnem duch zabłyśnie wtóry.

To naszych okrzyk zwycięztw i spełnione losy!
Dym opadł i grzmot ustał i krzyki ustały,
A jak pięknej dziewicy spływające włosy
Twarz odsłonią — tak sztandar, wzniesiony w niebiosy,
Opuścił żaglom zwycięztw na dół powiew cały:
Meteorem za wrogiem błysnął orzeł biały.

VIII.

PUŁK NOWY.

Naszych szwadron rozbity — ratuj się, kto żyje!
Już ucieczka jedyną żołnierza obroną,

Suwa koń — suwa jeździec — i broń ma spuszczoną
I przypadł na kark koński — koń wyciąga szyję,
A kopytem kurz miecąc wrogom w oczy bije.

Napróżno — liczne pułki z krzykiem w kurzu toną —
Już nie jednego z naszych przepędził grot łono;
Już i reszty nie schroni dziś skrzydło niczyje!

Nadzieja! — Jakaś garstka — tam — bliżej podchodzi —
Z krzyżem w ręku ksiądz na ich postępuje czele,
A cicho w ich szeregach jak przy mszy w kościele.

W tem: — «Ojczyzna niech żyje, przyjaciele młodzi!»
Wódz zawołał — i naprzód! — Bębny grzmią pułkowe —
Było widzieć jak czynem stwierdzili tę mowę!

IX.

SPOTKANIE KONNICY Z KONNICĄ W BORU.

Przednia straż dała ognia i ku nam ucieka,
Patrole w prawo, w lewo, jako bór szeroki,
I pierwszy pluton naprzód — życia koniom w boki!
Marsz, marsz z miejsca! — Wypadli człowiek na człowieka.

Krzyk — strzały — powstał tuman — nie dojrzy powieka —
Zwarł się pluton z plutonem, jak z jednej opoki
Dwa nadęte wytrysną, zewrą się potoki,
Nim z wód nieprzyjacielskich światu wzrośnie rzeka.

Ale patrz — pluton pierzcha — baczność!— W lewo, w prawo
Drugi pluton i trzeci łance do attaku!
Droga wolna — szlusować — rumak przy rumaku —

Marsz, marsz! Wypadli znowu i z krzykiem i wrzawą.
Tylko tą razą moskal przypłacił nam krwawo —
Trzech jeźdźców legło z moskwy przy każdym Polaku.

X.

POSTERUNEK NA STRACENIE.

«Wy idźcie! — Ja z wyborem zostanę młodzieży,
«Duszą naszą i ciałem będziecie zakryci;
«Na znak ogień rozłożym i zapalim wici
«Teraz idźcie, niech bęben do marszu uderzy.

«Jeźli jutro z nas który do was nie przybieży,
«Dajcie na mszę, niech kapłan ołtarze wyświeci
«I za tych modły wzniesie co w polu zabici!»
Zamilkł — poszli — i ogień błysnął jaśniej — szerzej.

Długo błyskał — żołnierze maszernją drogą —
Znikł — łunę tylko widać w chmurze malowaną —
Może i oni w niebo przyjęci zostaną!

Świta — jeżeli żyją — wnet powrócić mogą —
Przeszedł dzień — przeszło jutro — nowe błysło rano!
Na mszą dajcie! — Zabici — nie widać nikogo!

XI.

NAPAD NA OBÓZ NIEPRZYJACIELSKI.

Tli jutrzenka na wschodzie — zaczaić się w krzaki —
Cicho z lasu — niech szabla nie brząka, nie błyska,

Ha! — patrzcie — tam na prawo — widać ich ogniska —
Kozak na przedniej straży wyrasta z kulbaki.

Zoczył nas — koniem na wschód wykręca majaki*),
Nie spodziewał się dzisiaj takiego zjawiska —
O — poznał — konia zwraca i w lot nazad pryska.
Więc i my żwawo naprzód rozpuśćmy rumaki.

W prawo, w lewo i hurra w całym konia pędzie! —
Hurra! Zagrzmiały trąby od końca do końca,
W obozie rwą się senni — zgiełk — wrzawa — krzyk wszędzie.

Ten ledwie dosiadł konia — ten już niedosiędzie —
Nie uciec najezdnikom od polskiego gońca!
Pięćset jeńców! — Czekajmyż wschodzącego słońca!

XII.

OSTATNI KANONIER.

Konie wszystkie poległy — żołnierze wybici —
Dowódca tylko jeden z dwoma pozostały,
Oszańcowany w trupy jak w zastępne wały,
Z dwóch armat ciągle bije, i dymi, i świeci.

Lecz naprożno — krwi, mordów wrogowie nie syci
Baterjami na zastęp uderzają mały;
Wkrótce się wróg zwycięztwem zupełnem poszczyci —
Wody nie ma — spiż w ogniu — kurzą się zapały.

---

*) «Wykręcają majaki kozacy» mówi się gdy znaki sobie dają zwracaniem w różne strony konia.

Więc strzelać zaprzestano — śród kul, w siarki dymie,
Trzech z lontami jak duchy migają się zdala
Nieszczęście! — Kula znowu jednego obala!

Co za krzyk? — Zkąd ten wystrzał? — czyjeś słychać imię —
Imię wołając brata, spiż moczy w krwi bratniej
I znowu dym i świeci kanonier ostatni.

XIII.

PRZECZUCIE ŚMIERCI.

Już ognie rozłożyli szerokie dokoła,
Kręcą się koło strawy żołnierze strudzeni,
Tu głos słyszeć niezbożnych, tam nabożnych pieni;
Zdaleka straż co chwila, hasła głucho woła.

Jednemu tylko smutno — jego pieśń wesoła
Nie rozśmieszy, nabożna tęsknoty nie zmieni,
I błądzi między wrzawą, jak śród grobów cieni;
I smutek mu na chwilę nie ucieknie z czoła.

Pytałem o przyczynę — nic nie odrzekł na to.
Myślić z drugim, samotnie czuć zawsze jest milej;
Może i on przyczyny niewiedział w tej chwili.

Może płakał nad świeżą przyjaciela stratą?
Może się żegnał w sercu z rodzicielską chatą?
Nazajutrz — bitwa była — i jego zabili!

Dnia 10-go Marca 1833 o godzinie 4-go tej w Dreznie.

Piersi moje zbolałe — myśli jako oczy
Zadumanego wieszcza, drą się w czucia głębie,
I myślami mojemi palę — drętwię — ziębię —
I myślami mojemi, to raz duch proroczy
Jak wywołana mara z ciemnej grobów cieśni —
Wstaje, i świat przestrasza, i przyszłość odkrywa —
To znów myśl jak źrenica na słońcu drażliwa,
W łzach się topi, i kona w rozrzewnionej pieśni!

Wtenczas — o wtenczas — moje piersi samowładne!
I w nich krew jak trysk światła z komety ogniska
Trząsa sercem i z serca przez lica wybłyska;
I przez oczy i usta — leci — mdleję — padnę —
A duch mój skrzydłem wzbity wieszczego natchnienia,
Gdy jak słońce świat okiem, mnie na wskroś przesięga;
Myśl znowu jak słup pyłków gra w świetle promienia,
Albo jak tęczy, w farbach rozwieszona wstęga.

W takiej grze — w takiej walce ustawnej — bez przerwy
Myśli moje i czucie, duch, w różnym żywiole;
Gdy myśli jako orły wypuszczę na wolę,
Oczy ku słońcu ciągną — skrzydła ich nie pierwej
Zmęczone na dół padną, aż serce się wzmoże.
A gdy krew, a gdy czucie jak potoku łoże
Wydmie, rozprzęże wałów tysiące z tysiąca,
Moja myśl jak ów obraz na wodzie powiewa:
Nadbrzeżnego kamienia, cienistego drzewa,
Chociaż go wał po wale co chwila roztrąca.

W nocach moich bezsennych, z rozwartą powieką
Drżącą ręką, z uśmiechem przyjaźni, miłości?
Sięgałem gdzie na wiatry daleko — daleko —
I tuliłem do serca nie przytomnych gości!

W dzień często mowę moją, niespodzianie — nagle —
Przerywam i gdzieś w czucia przypadku odmęcie,

Jak ów majtek w odbitym od brzegu okręcie
Ginie gdy kompas stracił — wiatr poszarpał żagle.

Czasem znów w sercu żałość, śmiech na usta pada,
Czasem znak obojętny łzy z oka wywabi;
I gdy czucie wolnieje — serce bije słabiej —
Lśnią myśli jako w nocy świetlików gromada.

Z przeszłości rozruconych, zagasłych pamiątek,
Wtenczas powstają światy jak gmachu budowa
Tylko że czas już niczem — kres, chwila, początek —
Są tylko myśli jednej wyrażenia, słowa —
Myśli wiecznej — gdzie czary i skończoność ginie!
Lat tysiąc wtenczas mogę przeciągnąć w godzinie,
Lat tysiąc z niej wypłynąć, wyprząść się przed okiem —
I człowiek, zostać w duszy jako Bóg wysokim!

Kto to przeczuł — ten walkę uczucia i myśli
Zakończył — ten nie walczy — chce, myśli, i tworzy,
Jako w Ołtarzu w nim się obudził duch boży;
I w duchu z bóstwem co dzień połączony ściślej
Codziennie zruca bardziej — prędzej — i na wieki —
Ciała swego ostatki jak suknie znoszone;
Aż w końcu ten co rozdarł przyszłości zasłonę,
I cielesne zasunie przed światłem powieki!

Wtenczas — o błoga chwilo — uwolniony z waśni,
Żywiołom skończoności, duch wraca do źródła,
Zkąd go na chwilę tylko myśl Boga wywiodła,
Ażeby na tym świecie było lepiej — jaśniej!

Czy i mój tak powróci? napróżno pytania
Nie raz ja o niebiosach, Bogu, świecie, marzę
Ale jeszcze godzina na moim zegarze —
Kto wie co za godzinę? — Czem mój duch zostanie?

Sypka popiołu może przez wiatry w przestrzeni
Rozgoniona, opadnie gdy wiatry ustaną.

Różni ludzie do różnych działań przeznaczeui,
Burzliwy mają wieczór gdy burzliwe rano!

Jam się w szkole nieszczęścia jako wiatr na górze
Wychodował wyrósł, jak wiatr może zginę;
Ale przeczekam jeszcze tę jednę godzinę —
I przyjmę z męztwem równem na co bądź zasłużę!

XIV.

KRÓL I GERMEK

ROMANS.

Niech germek śpiewa — skupiło się grono:
Germek wziął lutnię, ścisnął, mocno trzyma,
Lepszego nad nią przyjaciela niema!
Tak czule ścisnął lutnię, brząknął stroną,
I strony wszystkie w jeden akord zlewa.
Zabrzmiały — wszyscy słuchają — on śpiewa:

«Dla mnie już szczęścia już nadziei niema
Każdej doznałem na świecie przygody,
Nic mię już teraz na ziemi nie trzyma.
Znałem niebiankę zapaleniec młody!

Goniłem lekkie roskoszy podmuchy,
Wzbiłem się w górę z niebieskiemi duchy,
Z kopiją biegłem za sławą w zawody.
Znalazłem rozpacz zapaleniec młody!

Dla mnie już szczęścia już nadziei niema
Każdej doznałem na świecie przygody
Nic mię już więcej na ziemi nie trzyma
Poznałem rozpacz zapaleniec młody!»

«Precz z temi pieśni» — gniewni król zawoła
«Precz mi! wyrzucić głupiego śpiewaka!
Rycerz co wierzy w broń swą i w rumaka,
Gdy krąży puhar roskoszy dokoła,
Gardzi piosenką jeźli nie wesoła.
Ja wam zaśpiewam, lecz nie, kielich jeszcze
Niech raz okrąży biesiadników rzędy!
Wino rozognia uczucia popędy
Pucharem śpiewniej brzmią natchnienia wieszcze.»
Ledwie Król wyrzekł, Paż w srebrnym puharze
Podaje trunek — kubki się ozwały —
Wypili — umikł znowu orszak cały;
Wszyscy czekają, co im Król rozkaże.
On się tymczasem wyciągnął niedbalej:
Głowę zagrzaną podpiera ramieniem,
Oczyma rzuca, w których się żar pali —
W tem znak dał ręką, i ozwał się pieniem!
A Bard najemny spogląda mu w oczy,
Za jego myślą, brząka lutni stroną;
To nią kołuje, to w kłąb stronę troczy —
Król śpiewa, słucha biesiadników grono.

«Gdy rycerz dopadł rumaka,
W biegu parsknął rumak żywi,
Hasa, pedzi skrzydłem ptaka —
Jakże rycerz ów szczęśliwy!

Kiedy w kniei gwar psów słychać
Strzelam i zwierz pada w chwili —
Jakże miło tam oddychać
W których piersiach kiedy milej? —

Gdy usiędę przy biesiadzie
Wino tryska, Paź się zwija,
Myśli plączą się w nieładzie
Czyjaż roskosz żywsza, czyja? —

A gdy koni i strzelb krocie
I biesiada i dziewczyna,

Puhar tokajskiego wina,
Drugi, trzeci przy ochocie —

Noc w pieszczoty jest bogata
Dzień rozjaśnia szczęście wkoło
Chciałbym żyć, przeżyć wesoło,
Moje lata, koniec świata.»

W zamku rycerze pili i śpiewali.
Za murem, który zamek w straży trzyma,
Dźwięk słychać lutni, i śpiew germka w dali
«Dla mnie już szczęścia i nadziei niema.»

CZĘŚĆ II.

W maleńkiej wiosce śród ubogiej chatki,
Siedział ów germek — przy nim młoda żona,
Ręce złożywszy na jego ramiona,
I poglądając na wesołe dziatki:
«Śpiewajmy» rzekła Wziął lutnię ze ściany,
Śmiejąc się nucił i grał na przemiany:

«Wstać na pracę ze skowronkiem,
Iść w ogrody lub na niwy,
Wracać z zachodzącem słonkiem!
Zrana, w wieczór, jam szczęśliwy! —

Gdy ze strzelbą idę w pole
Na twój obiad szukam ptaka,
W wieczór widzę go na stole!
Co za szczęście, roskosz jaka! —

Kiedy, w wieczór siedząc marzę
U nóg dziatwa się uwija,
Gdy drzemię przy dzieci gwarze
Czyjaż roskosz żywsza, czyja? —

Noc w pieszczoty jest bogata,
Dzień rozjaśnia szczęście wkoło,
Chciałbym żyć, przeżyć wesoło,
Moje lata, koniec świata.» —

Tak nucąc germek, ujrzał cienie pod oknami —
Był to Król który nocą wracał z polowania
I przed germka chałupą stał z towarzyszami,
Przywabiony odgłosem lutni i śpiewania.
I wcisnął oczy w szyby i widział zdumiony,
Tyle szczęścia w samotnym w cichym germka domu!
I uważał nadludzką piękność jego żony!
I pochyliwszy głowę, westchnął pokryjomu!
Germek ich poznał — prędko odjechali,
Długo w ciemności ścigał ich oczyma!
I słyszał tylko tę piosenkę w dali:
«Dla mnie już szczęścia, już nadziei niema!»

REDUTA ORDONA.

OPOWIADANIE ADJUTANTA.

WIERSZ ADAMA MICKIEWICZA

PRZYPISANY

JENERAŁOWI UMIŃSKIEMU. *)

Nam strzelać niekazano. — Wstąpiłem na działo
I spojrzałem na pole; dwieście armat grzmiało.
Artyleryi ruskiej ciągną się szeregi,
Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi;
I widziałem ich wodza, przybiegł, mieczem skinął,
I jak ptak jedno skrzydło wojska swego zwinął!
Wylewa się z pod skrzydła ściśnionia piechota
Długą czarną kolumną, jako lawa błota,
Nasypana iskrami bagnetów. Jak sępy
Czarne chorągwie, na śmierć prowadzą zastępy.

Przeciw nim sterczy biała, wąska, zaostrzona,
Jak głaz bodzący morze — reduta Ordona.

---

*) Wiersz ten pisany pod wpływem opowiadań Garczyńskiego, umieszczam między dziełami przyjaciela jako wspólną naszę własność. Poświęciłem go ostatniemu wodzowi polskiemu, który o sprawie naszej nierozpaczał i do końca chciał walczyć. A. M.

Sześć tylko miała armat — wciąż dymią i świecą;
I nie tyle prędkich słów gniewne usta miecą,
Nie tyle przejdzie uczuć przez duszę w rozpaczy,
Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy.
Patrz tam granat w sam środek kolumny się nurza,
Jak w fale bryła lawy, półk dymem zachmurza;
Pęka śród dymu granat, szyk pod niebo leci,
I ogromna łysina śród kolumny świeci.

Tam kula, lecąc zdala, grozi, szumi, wyje,
Ryczy jak byk przed bitwą, miota się, grunt ryje; —
Już dopadła, jak Boa środ kolumn się zwija
Pali piersią, rwie zębem, oddechem zabija.
Najstraszniejszej nie widać, lecz słychać po dźwięku,
Po waleniu się trupów, po ranionych jęku:
Gdy kolumnę od końca, do końca przewierci,
Jak gdyby środkiem wojska przeszedł anioł śmierci.

Gdzież jest król, co na rzezie tłumy te wyprawia?
Czy dzieli ich odwagę, czy pierś sam nadstawia?
Nie, on siedzi o pięćset mil na swej stolicy
Król! wielki samowładnik świata połowicy.
Zmarszczył brwi, — i tysiące kibitek wnet leci;
Podpisał, — tysiąc matek opłakuje dzieci;
Skinął — padają knuty od Niemna do Chiwy. —
Mocarzu jak bóg silny, jak szatan złośliwy,
Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą śpiże,
Gdy poselstwo Paryzkie twoje stopy liże;
Warszawa jedna twojej mocy się urąga,
Podnosi na cię rękę, i koronę ściąga!
Koronę Kazimierzów, Chrobrych, z twojej głowy,
Boś ją ukradł i skrwawił synu Wasilowy.

Car dziwi się — ze strachu drżą Petersburczany —
Car gniewa się — ze strachu mrą jego dworzany —
Ale sypią się wojska, których bóg i wiara
Jest — car gniewny, — umrzem, rozweselim cara.
Posłany wódz Kaukazki z siłami pół-świata,
Wierny, czynny i sprawny — jak knut w ręku kata.

Ura! ura! patrz blizko reduty, już w rowy,
Walą się, na faszynę kładąc swe tułowy;
Już czernią się na białych palisadach wałów —
Jeszcze reduta w środku, jasna od wystrzałów
Czerwieni się nad czernią, jak w środek mrowiska,
Wrzucony motyl błyska. — Mrowie go naciska,
Zgasł — tak zgasła reduta. Czyż ostatnie działo
Stracone z łoża, w piasku paszczę zagrzebało?
Czy zapał, krwią ostatni bombardyer zalał?
Zgasnął ogień. — Już moskal rogatki wywalał.
Gdzież ręczna broń? — Ach dzisiaj pracowała więcej,
Niż na wszystkich przeglądach za władzy książęcej!
Zgadłem dla czego milczy — bo nieraz widziałem
Garstkę naszych walczącą z moskali nawałem.
Gdy godzinę wołano dwa słowa: pal nabij;
Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi;
A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność —
Nakoniec bez rozkazu pełnią swą powinność.
Nakoniec bez rozwagi, bez czucia, pamięci,
Żołnierz jako młyn palny nabija, — grzmi, — kręci —
Broń od oka do nogi, od nogi na oko:
Aż ręka w ładownicy długo i głęboko
Szukała, nieznalazła i żołnierz pobladnął —
Nieznalazłszy ładunku, już bronią niewładnął,
I uczuł że go pali strzelba rozogniona.
Upuścił ją i upadł — nim dobiją, skona!
Tąkem myślił — a w szaniec nieprzyjaciół kupa
Już łazła, jak robactwo na świeżego trupa.

Pociemniało mi w oczach — a gdym łzy ocierał,
Słyszałem że coś do mnie mówił mój Jenerał.
On przez lunetę wspartą na mojem ramieniu
Długo na szturm i szaniec poglądał w milczeniu.
Nakoniec rzekł: stracona — Z pod lunety jego
Wymknęło się łez kilka; — rzekł do mnie: «kollego,
Wzrok młody od szkieł lepszy, patrzaj, tam na wale,
Znasz Ordona, czy widzisz, gdzie jest?» — «Jenerale,
Czy go znam? — Tam stał zawsze, to działo kierował.

Niewidzę — znajdę-dojrzę! — śród dymu się schował.
Lecz środ najgęstszych kłębów dymu ileż razy
Widziałem rękę jego dającą rozkazy. —
Widzę go znowu — widzę rękę — błyskawicę —
Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę,
Biorą go, zginął, — o nie, — skoczył w dół, — do lochów!»
«Dobrze» rzecze Jenerał — nieodda im prochów». —

Tu blask — dym, — chwila cicho — i huk jak stu gromów —

Zaćmiło się powietrze od ziemi wyłomów,
Armaty podskoczyły, i jak wystrzelone
Toczyły się na kołach; — lonty zapalone
Nie trafiły do swoich panew. I dym wionął
Prosto ku nam, i w gęstej chmurze nas ochłonął.
I niebyło nie widać prócz granatów blasku —
I powoli dym rzedniał, opadał deszcz piasku.
Spojrzałem na redutę — wały, palisady,
Działa, i naszych garstka i wrogów gromady
Wszystko jako sen znikło. — Tylko czarna bryła
Ziemi niekształtnej leży. — Rozjemcza mogiła.
Tam i ci co bronili i ci co się wdarli,
Pierwszy raz pokój szczery i wieczny zawarli!
Choćby Cesarz moskalom kazał wstać, już dusza
Moskiewska, tam raz pierwszy Cesarza nie słusza. —
Tam zagrzebane tylu set ciała, imiona:
Dusze gdzie? — niewiem; — lecz wiem gdzie dusza Ordona. —
On będzie Patron szańców! — Bo dzieło zniszczenia
W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia —
Bóg wyrzekł słowo stań się, Bóg i zgiń wyrzecze,
Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze;
Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
Obleją, jak Moskale redutę Ordona. —
Karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute,
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.